

Tadeusz Kosteczki

Śmierć przyszła w południe

Kształt kominka musiał się przyśnić architektowi w niedobrym śnie.

Ciężkie meble naśladowały coś, ców ogólnie istniało.

Były bardzo brzydkie.

Ale ludzie czuli się tu dobrze.

-Jestem przekonana, że on to zrobi - uśmiechnęła się pani Siek.

Mówiono o morderstwie.

Wiedziała jednak, że w uśmiechu jest jej twarzowo.

- Nie wolno pomijać współczynnika inteligencji - zaprotestował Roleński
- tu nie było działania w afekcie.

- Jasne - pani Siek znowu się uśmiecha.

Być może resztą jest to jeszcze wciąż ten sam uśmiech.

- Ani na chwilę nie zapomina.

Była taka sztuka, potem film, Świadek oskarżenia.

- Była - General Ręczlerusiłuje tłumić głos, ale i tak brzmi jak przed
bardzo szerokim frontem wojska - tylko że nie widzę analogii.

Cała pointa oparta na przepisie prawnym, który unasnie istnieje.

- A jednak może być pewna analogia - profesor Sobczanski układa na
obrusie skomplikowaną figurę z nieużywanych wykałaczek ściąganie

całego impetu podejrzenia na punkt pozornie nieobronny.

-Racja - przerywa generał - wycofuje się w panice.

Aż wstyd.

Elementarz strategii.

- Gdyby pan konstruował zbrodnię - zabiera głos generałowi - byłaby chyba zbrodnią doskonałą.

Roleński potrząsa głową.

- Nie mógłbym sobie na to pozwolić.

Doskonała to znaczy niedo wykrycia.

A ja przecież żyję ze zbrodni.

-Mam na myśli prawdziwą zbrodnię.

Sobczański przeniósł dwie wykałaczki z lewej strony figury naprawą.

Chwilę zastanawia się, potem wmontowuje w układ.

- Niech pani generałówna naszego mecenas pod tym względem nie liczy.

Jak kto wyładowuje pisaniem swoje zbrodnicze instynkty, to mu się już prawdziwej zbrodni z majstrować nie chce.

Czyż nie tak?

Generałówna jednak nie uznawała niedopowiedzeń.

Chce, żeby oświadczył się Roleński.

- Czy może pan sobie wyobrazić sytuację, w której jest pan zmuszony do popełnienia przestępstwa?

Roleński przygląda się lampie.

Przed wojną podobno wisiały nad stołami rulet w sopockim kasynie.

- Cóż.

- mówi powściągliwie - sądzę, że każdy człowiek może sobie taką sytuację w jakimś sensie wyobrazić.

- Przygotowując plan zbrodni, na czym oparłby pan przygotowanie swego alibi?

- Proste - profesor Sobczański przekłada jeszcze jedną wykałaczkę na prawo - na wczuciu się w toki rozumowania osoby, która będzie miała za zadanie wykrycie sprawcy.

Oczywiście przyjmując najbardziej precyzyjną wersję

tegorozumowania.

- Tak - potwierdza Roleński - właśnie na tym.

-Tandem: profesor logiki i autor powieści kryminalnych mógłby się staćjeszcze czymśgorszym niż KubaRozpruwacz- śmieje się generał.

- Zupełnie logiczne - uśmiech pani Siek jest wprosturoczy.

-A gdzie się podział nasz mecenas?

-głos Ręczleraprzebija się zwycięsko poprzez symfonię odgłosówkuchni idącejna pełnych obrotach.

Przy wydawaniu deserujeszczesz wszystko szło na pełnychobrotach.

Bo to były ta6lerzyki, tobyły spodeczki, tobyły szklanki,to były łyżeczki, cukiernice i plasterki cytryny.

Tobyłodużokrzętaninyi bardzo dużo hałasurozbitego na histerycznie wstępujące sekwencje poszczególnych brzęków.

Doktorowa Hrynowska patrzyła, niemalnie widząc,natalerzyki śmigającew rękachkucharki.

Krem, ciasto,ciasto, krem, niewidzialnataśma pracowała rytmiczniei bez błędu.

Głowęrozsadzał ból.

Hrynowska miała zasobą trudny odcinek, każdypiątek byłz reguły niedobrymdniem, ale tenbył chyba najgorszy ze wszystkichzłych piątków.

Nieustający poszum drzew jakby waląca ze wszystkichstronwoda.

Hałas z zewnątrz nie roztapia się w hałasachkuchni.

Nad głową stuka.

Może na dachu, może w kominie.

Stuka.

Wiatr.

Hrynowska nie znosi wiatru.

Nie potrafi być sobą, gdy wieje wiatr.

Znowu generał Ręczler mówi Roleńskim.

Nie słyszeć odpowiedzi Magdy.

Hrynowska odrywa oczy od talerzyków z ciastem i kremem.

Dlaczego Roleńskiego jeszcze nie ma?

Zawsze przychodził jeden z pierwszych.

Coś błyska niewyraźnie, nagle bucha pełne światło.

Przecież Roleński nie mógł przyjść.

-Jezus Maria!

Róziu!

Różia odstawia ostrożnie tacę z herbatą.

- Słucham?

-Zapomniałyśmy o profesorze Steinerze.

Różia wlepia oczy w podłogę.

Rzeczywiście wyszło nieładnie.

- W tym młynie, proszę pani kierowniczkę.

Tomożeja.

- Tak, niech Różia bardzo pana profesora przeprosi.

I jeżeliby chciał obiad dopokoju.

- Postaram mu się wytłumaczyć.

Po jej odejściu tempo od razu zaczyna utykać.

Magda gubi się, talerzyk leca jej z rąk.

Kucharka łypie okiem.

- Magda to by tak więcej dowiedział.

Lada chwiladziwczynyna rozplacze się.

Hrynowska zaciska palce.

Jej nie wolno stracić panowanianad sobą.

- Niech się Magda nie przejmuję - uspokaja, tamtejręce dygocą -nic nie szkodzi, że trochę wolniej.

Aby tyłkonie oblać nikogo herbatą.

- Och, Magda.

-zaczyna kucharka, milkniejednak, zgaszona ostrym spojrzeniemHrynowskiej.

Tyłkomocniej chlapnęła kremem dla zadokumentowania, żeona sobie nie pozwoli.

Ale Magda nabrała nieco otuchy.

W ostatnimmomencieHrynowska dla pewności zdejmuję kilka herbatz tacy.

Nadśłuchuje z niepokojem.

Nikt nie toleruje chluśnięcia wrzątkiem.

Dlaczego ta Różia takdługo siedzi.

Tą by pośmierć.

Czyż nie zdaje sobie sprawy z tego, co tu się dzieje?

Właściwie zresztą nic specjalnego się nie działo.

Rozmowa przy stole płynęła wartko.

Nikogo nie oblano herbatą.

Ale w Hrynowskiej wszystko chodziło.

Wiatr.

- Pana profesora nie ma.

Hrynowska mruga bezradnie oczyma.

Co się jeszcze przydarzy tego dnia?

- Jak tonie ma?

- Nie ma.

Pootwierał w pokoju wszystkie drzwi i okna, a sam gdzieś wyszedł.

- Więc pewno w łazience albo.

- Nie.

Łazienka i ubikacja puste.

Poszedł do parku.

Zapomniał zegarka, pewno śpi na jakiej ławce.

Jak się z Warszawy trafi na taką pogodę.

Palce Hrynowskiej obejmują grubą krawędź kuchennego stołu.

Jest w tym wszystkim coś, czego nie można zrozumieć.

- Musiałabym go widzieć, gdyby schodził z góry.

Sama Różia wie, że nie można zejść, nie będąc widzianym w kancelarii.

Różia rozkłada ręce.

- To już ja nie wiem.

Na piętrzego nie ma.

- Musi być.

-Gdzie?

- Różia nie umie pohamować złości.

Nie jest dzieckiem, aby dała sobie wmawiać.

Widziała na własne oczy.

Hrynowska przesuwa ręką po czole.

Nie schodził, niema go nigdzie tam, gdzie mógłby się znajdować.

- Czy Różia sprawdzała inne pokoje?

-Po co?

- Mógł się pomylić.

Człowiek rozespany nierozgląda się.

Każde łóżko jest dla niego tym samym łóżkiem.

-Ale przecież przedpokój.

Jeden jedyny na całym piętrze.

Ósemkę sprawdzałam.

Zamknięta.

- Co mi tu będzie Różia przedpokojem- niecierpliwicie.

-Profesor jest tupo raz pierwszy, skąd może, budząc się, o takich rzeczach pamiętać?

Niektórzy, wstając w przerwie snu, nawet czunnie otwierają.

Poszedł do łazienki, wrócił do innego pokoju, położył się, śpi dalej.

- Nagle przestraszyła się.

- A jeżeli zasłabł?

Wiele z opowiadania Hrynowskiej nie zostanie utrwalone w protokole.

Przynajmniej, jeżeli chodzi o pierwszy, sporządzony tego samego dnia.

Zdaniem kapitana Lalewicza charakter sprawy czynił zbędnym odtwarzanie zbyt wielkiej liczby szczegółów.

Okazało się, że Różia miała rację.

Wszystkie pokoje poza dziewiątką były zamknięte na klucz.

W dziewiątce zato na przestrzał.

Drzwi balkonowe i okno biegnące prawie przez szerokość całej ściany, z drzwiami do przedpokoju, te znów z drzwiami na korytarz.

Hrynowska dostawała gęziej skórki.

Przeciąg to jeszcze coś gorszego niż wiatr.

Niemal słyszała wycie skotłowanych podmuchów.

Przechodząc te parę kroków, aby wyrzeć na balkon, miała uczucie, jakby ją wciągało dziesiątki wirów.

Dopiero.

później zorientowała się, że starczyło zamknąć drzwi do przedpokoju.

Zamknęła je zaraz.

W pokoju od razu zrobiło się spokojniej.

Steiner potwierdzał wszystko, co było do otwarcia i poszedł.

Dokąd?

Wbrew początkowemu przypuszczeniu nie mógł wejść do innego pokoju.

Róziamowi "zapomniał zegarka i śpi w parku".

Zegarek leży na blacie szafki nocnej.

Duży, płaski, złoty.

Schaffhasen.

Nie powinno się zostawiać tak drogich zegarków w otwartym pokoju.

W jaki sposób mógł zejść i opuścić dom, aby tego nie zauważyła?

Z kancelarii widać dokładnie dolny odcinek pierwszego biegu schodów.

Stopnie głośno trzeszczą przy każdym kroku.

Musiałyby zauważyć.

Pozostawał w kancelarii aż do samego obiadu.

Ale w takim razie.

Nie, nie potrafiła tego wszystkiego zrozumieć.

Na szaragach wisimarynarka i włoski płaszcz z ortalionu.

Obok łóżka nieco zakurzone pantofle.

Prawdopodobnie te, w których przyjechał.

Jedna walizka stojąca podłóż zamknięta.

Zawartość drugiej, rozłożonej na leniwcu, skotłowana w taki sposób, jakto się robi ze złości, że nie można czegoś znaleźć.

Kłębowisko krawatów spływa ażna podłogę.

Zapach.

Niezbyt intensywny, ale przecieżłatwy do wyodrębnienia.

Jakieś chemikalia.

Co tu mają do roboty chemikalia?

Hrynowska podchodzi do szafy w ścianie.

Ale wewnątrz jej jest zupełnie puste.

Tuż obok zatrzaśniętych drzwi mywalni.

Nisza nie wchodzi w rachubę jako ewentualne miejsce pobytu Steinera.

W zamkniętej niktby się nie zmieścił.

Ale ten zapach.

Hrynowska naciska klamkę.

Drzwi otwierają się z impetem jakby pchnięte z tamtej strony.

Hrynowska odskakuje instynktownie.

Do nóg jej ciężko się wali skurczony i naturalnie ciało mężczyzny w jedwabnej pidżamie.

Szkliste oczy wysadzone z orbit.

Steiner.

10 Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę z tego, że krzyczy.

Że krzyczy najgłośniej, jak tylko potrafi.

I że krzyk ten nie wywołuje żadnego echa.

Umilkła.

To nie miało sensu.

I tak nikt nie usłyszy.

Na piętrze ani żywej duszy.

Wszyscy w jadalni i kuchni.

Tam na pewno jest wystarczająco głośno, aby nie dotarł żaden odgłos z zewnątrz.

Nie pozostawało nic innego, jak zejść nadół.

Przedtem jednak zaimie się doraźnie Steinerem.

Spróbuj go w windować nałożko.

Lepiej nie zostawiać w tej pozycji.

Chce badać puls, ujmuj napiętek.

Puszcza go natychmiast.

Ogarniają nowa fala przerażenia.

Ten człowiek chybanie żyje.

W pierwszym odruchu chce zwołać wszystkich.

Niech przyjdą, niech zobaczą.

Podczas gdy oni jedli befsztyki, gdy jedli deser.

Potem rodzą się refleksje.

Jeżeli nie żyje.

Hrynowska zmusza się, aby dotknąć jeszcze raz rękileżącego.

Nie, puls nie ma z całą pewnością.

Tu już niktnie jest w stanie pomóc.

Jaki więc cel podnosić alarm?

Generałowa Ręczler jest poważnie chora na serce.

Gdyby taka wiadomość spadła nanią z nienacka.

Potem, gdy namiejsu będzie milicja, gdy przyjdzie doktor.

Tak, wtedy zupełnie co innego.

Hrynowska zamyka nakłucz drzwi do przedpokoju, następnie te drugie, wychodzące na korytarz.

Przewieszasz się przez poręcz schodów.

W hallu pusto.

Kuchniawciaż jeszcze tętni ruchem, ale mało prawdopodobne, aby stamtąd ktoś teraz wyszedł do hallu.

Hrynowska przemyka się do kancelarii, stopnie schodów oczywiście trzeszcza.

Zamknawszy za sobą drzwi, wyjmuję klucz.

Po co mają wiedzieć, że jest tutaj?

Pospieszne kroki.

Musiano jednak zauważyć.

Pukanie, początkowo dyskretne, staje się coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywe.

Ktoś naciska klamkę.

Łomoce.

Klamka porusza się jeszcze kilka razy.

- Panikierowniczo!

Niech Pani otworzy.

To ja.

Różia.

11.

Hrynowska nie daje znaku życia.

Różia?

Oczywiście, żetak.

Wiedziała o tym od pierwszej chwili.

Wystarczyłoby słówko, aby wznieciła popłoch w całym domu.

Jeszcze dobija się, wreszcie dudnienie oddalających się kroków.

Albo uwierzyła, że w kancelarii nie manikogo, albo wie, że i tak jej nie otworzę.

W każdym razie odchodzi.

Hrynowska dla pewności woli przeczekać.

Podejmujesz słuchawkę po tym, jak stuknęły drzwi odkuchni.

Wykręca numer Powiatowej Komendy MO.

Prosi o połączenie z kapitanem Lalewiczem.

Miał już z nim kiedyś do czynienia.

Zdarzyło się nieszczęście - głos jej brzmi raczej rzeczowo.

- Jeden z naszych gości, profesor Steiner, zadusił się w umywalni.

Tak, nie żyje.

Dopiero przybyciem policji uświadomiło mieszkańcom Naukowa, że zaszło coś niezwykłego.

Przynajmniej tak właśnie wersję podała Hrynowska kapitanowi Lalewiczowi.

Z niszy bije ostra woń chemikaliów.

Rozpięczętowaną paczkę popularnego środka do czyszczenia trixi stoi namydelnicze, brakująca w paczce część proszku, rozsypana grubą warstwą na dnie umywalni.

Otwór odpływowy zamknięty kauczukową zatyczką.

Szare spodnie z przyczepionymi szelkami wiszą częściowo na nikielowanych drążkach odręczników, nogawki opierają się o krawędź miski.

Na lewej nogawce, powyżej kolana duża plama od tłuszczu, najprawdopodobniej płynnego.

- Osiemdziesiąt na osiemdziesiąt, na dwieście - dyktuje porucznik Łącki.

- Precyzyjnie dopasowane - wtrąca Lalewicz.

- Bo jakdenat jeszcze niebył denatem i stał przodem do miski, swoje trzydzieści pięć centymetrów przestrzeni musiał zabierać.

Jak pan sądzi, doktorze?

Doktor Bolkoś zapala papierosa.

12- Co najmniej tyle.

- No więc miska czterdzieści pięć, kandydat na denat trzydzieści pięć, całe osiemdziesiąt głębokości jak oszył.

Ani centymetr tolerancji.

- Jeżeli do tego nachylił się jeszcze nad miską - podporucznik Turek jest dopiero co po szkole i uważa, że powinien jak najczęściej zabierać głos.

- Jakby się nachylił, to bym cały scenariusz poszedłw diabły.

Bo gdy się ktoś z jednej strony nachyla, to z drugiej się wypina.

Tylko niedoszukujcie się jakichś ukrytych aluzji.

Ja w sensie dosłownym.

Wypięty niemieści się w naszych osiemdziesięciu centymetrach.

- Drzwigo mogły docisnąć - upiera się Turek.

- Proszę przejmie.

Niech dociskają.

Ale to raczej już nie w ramach miejscowego przeciągu.

Trzebaby sprowadzić jakieś tornado z mórz południowych.

Po drugie, co w takim wypadku każe zrobić z gałką wieszaka?

- Cholera - klnie z rezygnacją Turek.

-Wieszak mniedorznał.

- Bądźmy łagodni - Bolkoś zdążył sobie wypracować specjalny rodzaj uśmieszku, który nierazi w obecności zwłok - raczej jednak mego pacjenta.

-Ale tego doktornie napisze - stwierdza melancholijnie Lalewicz.

- Bonie wiedziałem.

Napiszę: najprawdopodobniej.

Ustalam wyznaczynienie wielkości i kształtu dwuzłotówki podstawy czaszki.

Owszem mogło spowodować zamroczenie.

Owszem, wszystko wskazuje na gałkę wieszaka.

Alenie można wykluczyć innego narzędzia.

- Wierzy panw to inne narzędzie?

-To inna sprawa.

Ale teoretycznie mogłobyć.

13.

- Po wewnętrznej stronie drzwi - dyktuje dalej Łacki- na wysokości sto pięćdziesiąt centymetrów od podłogi, przykręcony pojedynczy wieszak z białego metalu.

Gałka również metalowa.

Odległość jej od podstawy piętnaście centymetrów.

- Genialny pomysł- komentuje doktor - każdy człowiek musi uderzyć w kark gdzieś pomiędzy pierwszym kręgiem szyjnym a podstawą

czaszki.

-Tylko niekażdego - protestuje Lalewicz.

-Słusznie -godzi się doktor.

- Wyłącznie dla dorosłych o przeciętnym wzroście w granicach metr sześćdziesiąt trzy - metr siedemdziesiąt pięć.

-Tych przeciętnych także nie musi.

-Jak to?

- dziwi się doktor.

-Bo to jest szerzenie paniki, kochany doktorze -śmieje się Lalewicz.

- Przez trzydzieści lat setki przeciętniaków korzystało z umywalni i żadnego nigdy nic, a pan, że koniecznie.

-Gdzie jest powiedziane, że nigdy nic?

-Tu - Lalewicz stuka paznokciem w wieszak -jeśli by kogoś rąbnął, toby odkręcili, tak jak odkręcili klamkę odtej strony.

- Jasne - znowu zabiera głos Turek - stuknęła kogoś w piętą stronę medalu, to wyrzucili na zbity śmietnik.

Zresztą policho była tu potrzebna.

To nie jest nisza do zamknięcia się wewnątrz.

- Mówiąc między nami - doktor przydusza z namysłem niedopałek papierosa - Steinerowi ta klamka by się jednak przydała.

-Facet miał cholernego pecha.

No rąbnąć goten wieszak w kark.

Jeżeli się nieschyli, drzwi nie mogą się zatrzaskać, właśnie ten wieszaknie pozwala.

Jeżeli się schyliwcześniej, siedzenieodgrywa rolę zderzaka.

A u niego wszystko musiało się akurat zsynchronizować.

14-A ja to niby nie mam pecha - Lalewicz patrzy spod oka na nieruchomą postać wpasowanej pidżamie.

-Profesor Ernest Steiner, fizyka jądrowa i te rzeczy.

Tu każdy szczegół będą brali pod lupę.

Akurat musiał z tym swoim trixi paść nanaszeręce.

- Ba - wydyma wargi doktor - od tego Naukowo.

-Właśnie - potwierdza Łącki.

- Wśród takich Bardzo Ważnych Osób wszystko może wystrzelić.

Wziąć choćby ten płaszcz.

-Jak znów płaszcz?

- doktor nie wie, o co chodzi.

-Ukradłiz hallu.

Chyba ze trzy lata temu.

Płaszcz zagraniczny, do hallu prawie przez całą dobę dostęp otwarty, dlaczego niby nie mieli ukraść?

A sęk w o sobie właściciela.

KG wisiała nadrucie, jakby już nic innego nie było do roboty.

- Wisiała - kiwa smętnie głową Lalewicz.

-Im też musieli wisieć.

Apłaszczą i taknie odnaleźliśmy.

- Chyba jednak trudno sprowadzać płaszcz iczłowiekadowspólnego mianownika - obrusza się doktor.

-Nie - potrząsa głowąLalewicz.

- Wcale nie taktrudno.

Wjakimśsensie ten wspólny mianownik tujednakjest.

Doktor z całymzaufaniem podsunął paczkęLalewiczowi, a ten wziął papierosabez żadnych oporów.

Dziś niemógł dostać extra mocnych.

Tymrazem niepomogłykumoterskie chody.

Pomimo otwartego oknai drzwi balkonowych, w pokoju jest szaro od dymu.

Byli już zmęczeni.

Zwłoki zabrano.

Fotograf Metelski zagwarantował delikatesowy komplet zdjęć iwyniósł się na ławkę doparku.

Musiał czekaćna resztę ekipy.

Te kilka kilometrów piachu znaczyło dla samochodu więcej niż kilkadziesiąt po przyzwoitej drodze.

Doktor podał ognia,jakby go ten extra mocny, wydarty spod serca, wcale nie przejął.

15.

-Tak - sobie myślę - postukał paznokciem w szkiełko zegarka - czy mi się opłaci wracać do domu.

-Doktor Sobański, sanatorium dziecięce, brydż - recytował Łącki - zgadza się?

-Jak Sobański, to już nie brydż - Lalewicz zaciąga się chciwie.

Dukaty zostawiał Maksiana.

- Grałem z nim jeden raz za dużo.

-To znaczy jeden raz?

- domyślasz się Turek.

-Uhm.

- Lalewicz rozmyśla, że trzeba będzie jeszcze przesłuchać Hrynowską i tę pokojową, która zajmowała się Steinerem.

Oczywiście w tych warunkach musi to zrobić sam.

Doktor zaczyna się zbierać.

-Ja z minimalistów.

Lubisz co akurat pod ręką.

A nalewkę jego piliście?

-A nalewki jego nie piłem.

Takie moje garbate szczęście.

Dopust brydżowy spotkał mnie na neutralnym terenie.

-Jeśli wam szkoda samochodu, to przejdę się spacerkiem - mówi niezdecydowanie doktor - ostatecznie tepół kilometra.

- Dwa i pół - poprawia Lalewicz.

-Ale nam nie szkoda samochodu.

Nam szkoda doktora.

Musi pan koniecznie już?

- Niemuszę.

Ale do nocy tu z wami siedzieć nie będę.

Sobańskiemu byłoby przykro, gdybym się zameldował akurat po skończonej kolacji.

No, więc wykładaj pan swoje pytania.

- Nie przewiduje pan przesunięcia momentu zgonu?

- Raczej nie.

Jak się przychodzi na świeżo, każdy potrafi być za rebo.

Jedenasta trzydzieści- trzynasta.

Przyczyna oczywiście, aż do przeprowadzenia badań narządów wewnętrznych, jak najbardziej hipotetyczna.

- To już z urzędu - Lalewicz ma taką minę, jakby chciał 16ziwać.

Bo inna trucizna, bo brak tlenu, bo zawał, bo tysiąc i jeden różności.

Ale ja hipotetycznie: trujące składniki lotne, zawarte w trixi.

No więc jak długo go truły, zanim wysiadł?

- Hm.

- doktor ugniata mięsisty podbródek.

-A jak szczelnością?

Łącki zamyka, otwiera, znowu zamyka.

Dyktuje - próg dewy wysokości dwa przecinek siedemdziesiąt osiem setnych centymetra.

Żadnych otworów wentylacyjnych - odwraca się ku doktorowi
-szczelność prawie hermetyczna.

- Co sobie żałować - dogaduje Lalewicz.

-Tylko skąd w takim razie Hrynowska poczuła trixi?

-Jeżeli poczuła - Łącki prawie przytyka nos do linii zetknięcia płyty drzwi z futryną.

- No, rzeczywiście, trochę jednak - przyznaje niechętnie.

-W każdym razie wystarczająco szczelnie, żeby się Steiner zatrzał.

- Precyzja wyższej klasy - śmieje się Lalewicz.

-Teraz już doktor wszystkowie.

No więc uwzględniając taką niezupełnie szczelność, jak pan określa czas?

- Od kilkunastu do kilkudziesięciu minut.

-Tyż piknie.

Jak Kuba Bogu.

- Powiedzmy przy takiej marnej kondycji, bliżej kilkunastu.

Trzeba również uwzględnić odległość ustinosy od preparatu.

- Mam -podskakuje Turek.

Już jest przy umywalni.

-No, oczywiście, teraz wszystko jasne.

Steiner nie musiał się nachylać.

On się tak jakby złamał.

Odpierwszej chwili nurtowało mnie, że coś tu nie tak.

- Brawo - podchodzi Lalewicz.

- Słoniato się niezauważyło.

No, gwarantuję za pełny metr.

- Metr, pięć - wymierza Łącki.

Od tego trzeba byłow ogóle zacząć.

Próbuj robić dobrą minę, ale mu nie wychodzi.

Żeby takie początkujące szczenię.

Potem znów jest zły, że jest zły.

Nie po koleżeńsku.

17.

-Metr pięć Lalewicz aż zagwizdał.

- Bagatela.

Dwadzieścia centymetrów wyżej normy.

- Od razu mi się wydawało, że wyżej - stwierdza doktor.

-Od razu - Łącki wreszcie znalazł ofiarę - wszystkim się wydawało, wszyscy wiedzieli.

Ale strzelił dopiero Turek.

Niech ma, choć jeszcze niewypierzony.

Możenie pomyślałem, żeto ja powinienem był zauważyć, a nie on?

Owszem, pomyślałem.

Piszcie - dyktuje dalej -miska umywalni umieszczona na wysokości stu pięciu centymetrów od podłogi.

- ...

Poleżał sobie, może spał- ciągnie dalej Lalewicz- powiedzmy do jedenastej.

Nie, raczej do dwunastej.

Noi potem chce czyścić te spodnie.

- Trzy garnitury z importowanej setki -wydziwia Łącki-człowiek ledwie zipie.

-Naukowiec - mówi Lalewicz w taki sposób, jakby to wszystko wyjaśniało.

-Różne bywają formy relaksu dla przemęczonego umysłu- komentuje doktor.

- Człowiek zmuszony do precyzyjnej ścisłości przy pracy w życiu prywatnym często ucieka na przeciwny biegun.

Naturalne byłoby wzięcie innych spodni.

- Zapłacił za swój relaks.

-Nie - uśmiecha się doktor - on zapłacił za BHP.

- Paradoks, ale prawdziwy -przyznaje Lalewicz - gdyby nieurządził wentylacji w celu wywietrzenia trujących wyziewów trixi, nie

zatrulby się tymi wyzwami.

-Dobre - Łacki naprawdę jest zachwycony.

- Ale dlaczegonie zastawił sobie tych drzwi choćbykrzesłem, jak mu się majtały w przeciagu?

-zastanawiasię Turek.

- Bo mu się napewno nie majtały-odpowiadaŁacki.

-Podmucha nastąpił dopiero w momencie otworzeniadrzwi wejściowych na dole.

-I ja tak myślę -wtóruje Lalewicz.

-Dmuchnęło, akul8rat stał wyprostowany.

Jak pansądzi, doktorze,ocknął sięprzed śmiercią?

- Jasądzę, żealbo się ocknął,albo się nie ocknął.

Zamroczenie po trzepnięciu wieszakiempowinno byćwprawdzie przejściowe, ale jednocześnie zaczynało działać zatrucie lotnymisubstancjami trixi.

Nigdy się niedowiemy, jakz tym było.

Turekzakrada się do niszy.

- Miał szczęście,jeżeli się nieocknął.

To musi być paskudne uczucie, odzyskać przytomność w takiej komorzegazowej.

Z każdąchwilą człowiek corazjaśniej zdaje sobiesprawę, że stąd nie ma wyjścia.

Chyba nawet nie mógł sięodwrócić przodem do drzwi.

- Z całą pewnością nie mógł - potakuje Lalewicz - gdyby nawet był o połowę szczuplejszy.

-Zresztą niewiele by mu pomogło.

Klamki nie ma, awysadzić takie drzwi z zawiasów.

- Przyjmijmy, że się ocknął - podejmuje Lalewicz.

-Krzyków za Boganił nie usłyszy, na całym piętrze żywego ducha.

A jeszcze męciutkie ciapki na nogach.

Ani kopnąć porządnie, ani co.

Rzeczywiście wszystkie okoliczności miał przeciwko sobie.

- Mogę wam podać sprawcę - doktor znowu patrzy na zegarek.

-Sztuka - przeciąga Lalewicz - pan profesor Ernest Steiner.

- Pośredniego - doktor tym razem zdecydowanie zabiera się do wyjścia.

-Architekt.

Pewnie od dawna powiększył grono aniołków.

- Nie ma trafienia.

Magister chemii.

no, ja wam odnajdę ten artykuł.

Chyba w którejś z niedzielnych gazet.

- Co tu ma do rzeczy artykuł w gazecie?

-wzruszając ramionami Turek.

Jest zły, że mu się nic niekojarzy.

19.

- Przy misce umywalni umysł miał tę lotność - śmiejesięŁacki - a naprasę już nie starcza.

Artykuł o niebezpieczeństwie używaniatrixi w zamkniętym pomieszczeniu,do brzesię domyśliłem, doktorze?

- Prosto w dziesiątkę - doktor zapina guziki płaszcza, potem odpina je z powrotem.

Ciepło jak w lipcu.

Ale jeszcze nie lipiec.

Wieczorem płaszcz się przyda.

- Założę się, że po prostu czytałeś ten artykuł - domyśla się Turek.

-No to co, że czytałem?

Trzebarozszerzać światopogląd.

Ten magister.

Nie, to był chyba docent.

Hm.. Wściekliński?

- Wściekliński - doktor bierze walizeczkę i stwierdza z niesmakiem, że znowu brzęczą instrumenty.

Jak felczer pakuje, można choćby rzucać.

Sam jakoś nie potrafi.

-Skleroza, psiakrew.

Choć, prawdę mówiąc, do nazwisk to od najmłodszych lat.

- Podniósł alarm na stowca - ciągnie Łącki - żeby niesprzedawać prywatnie, tylko pralniom.

- Miał rację - doktor zatrzymuje się przy drzwiach.

- Miał - wzdycha Łącki - mnie też już mdli od tego zapachu.

Będziecie mielidodatkovą sekcję.

- Profilaktycznie ordynuję kielicha.

- Dziś po służbie, to będzie dopiero jutro.

Naszwódnie z tych, co dają ludziom życie.

- Ja właśnie potej linii.

Jeżeli wam Metelski niepotrzebny.

W dziecięcym nie zawsze da się zmontować czwórkę.

Elżbieta Hrynowska, lat sześćdziesiąt pięć, sprawia jednak wrażenie znacznie młodszej.

Kierowniczka Domu Pracy Twórczej "Naukowo".

Lalewicz zetknął się z nią parokrotnie, ostatni raz chyba z okazji tego nieszczęsnego płaszcza Bardzo Ważnej Osoby.

20- Profesor Ernest Steiner przyjechał o godzinie dziewiętej rano.

Był bardzo przemęczony, może nawet niezupełnie zdrów.

Przydzieliłam mu dziewiątkę, ze względu na przedpokój, który pozwala w znacznej mierze odizolować się od hałasów.

Balkon również położony jest wyjątkowo zacisznie.

No cóż, Steiner przyszedł do kancelarii, przedstawił się, wręczył

odcinek skierowania i kwitkasowy.

Powiedział, że chce się jak najprędzej położyć, a lena obiad zjedzie w każdym razie.

Jeżeliby przespał gong, prosi, żeby go obudzić.

Wypełnienie druczków meldunkowych odłożył na popołudnie.

Do pokoju zaprowadził go pokojowa Próchnik.

Ona też zaniósła jego walizki.

- Z tego wynika, że do Naukowa przyjechał po raz pierwszy?

- Tak.

Nigdy go przedtem nie spotkałam.

- Czym mówił coś jeszcze?

- Nic.

- Powiedziała pani, że był bardzo przemęczony, może nawet niezdrowy.

Na czym pan to opiera?

- Dość było na niego spojrzeć.

Cera ziemista, oczy zgaszone.

Zresztą jeżeli ktoś po trwającej niecałą godzinę jeździe samochodem myśli jedynie o jak najszybszym położeniu się do łóżka.

- Nie posłała pani pokojowej, aby go obudziła, gdy nie szedł zaraz po gongu.

Dlaczego?

- Zapomniała go prosić.

Szczerze mówiąc, w ogóle zapomnieliśmy jego istnienia.

Miałam ciężki dzień.

W każdy piątek przyjmujemy transport większości produktów na cały tydzień.

Kucharka je sprawdza.

Ponieważ jednocześnie przygotowuje obiad, wszystko odbywa się w atmosferze zdenerwowania.

Szczególnie gdy wynikają pomiędzy nią a panem Komosą różnice poglądów co do jakości.

- Pan Komosa?

- wtrąca pytając Lalewicz.

21.

- Aach, tak.

Przepraszam.

Pan Komosa zajmuje się dostawą.

Jest dosyć uparty, no a kucharka nie zawsze potrafi panować nad sobą.

Niekiedy dochodzi do scysji, może zbyt głośnych.

Gdy się w podobnych warunkach uzgadnia wykaz, łatwo można przeoczyć jakiś błąd.

Dzisiaj zważył się na nas cały komplet: i różnice w poglądach, i głośne scysje, i wielogodzinne szukanie omyłki w wykazach.

Skończyliśmy uzgadnianie bezpośrednio przed uderzeniem gongu.

A już od tej chwili muszę być w kuchni, by asystować przy wydawaniu porcji.

O Steinerze przypomniałam sobie dopiero podczas roznoszenia deseru.

- Hrynowska opowiada, jak posłała Rózię jak później poszłam sama.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że w zamkniętej niszy może się ktoś zmieścić.

- Nigdy przedtem nie zdarzyło się nic w tym rodzaju?

- Nigdy.

- Czy pani dopuszcza możliwość, że Steiner zdobył trixi tutaj, w Naukowie?

- To jest zupełnie wykluczone.

Pokój był uprzątny dziś rano.

Nie przeoczono by takiej rzeczy.

U nas się w ogóle trixi nie używa.

Mam na myśli oczywiście personel.

Jeżeli chodzi o gości, nie rozporządzam w tym zakresie żadnymi informacjami.

Ale jedyny zajęty oprócz dziesiątki pokój na piętrze był przez cały czas zamknięty na klucz.

Rozalia Próchnik, lat dwadzieścia dwa, wykształcenie podstawowe.

Wysoka, postawna, mocno zbudowana, może nawet trochę przyciężka.

Pokojowa.

Pracuję w Naukach o Ziemi od trzech lat.

Pochodzę z wsi.

Rumieńce naturalne, ale brwi niewątpliwie pociągnięte tuszem.

Ręce zadbane, o co na pewno niełatwo przyjeździej pracy.

Skórka przy paznokciach wycięta.

Jest zdenerwowana, głos roztrzęsiony, co zresztą Lalewicza zupełnie nie dziwi.

- Tak, to ja niosłam temu panu profesorowi walizki.

22 Jak usłyszałam, że samochód podjeżdża, wybiegłam na taras.

- O której godzinie przyjechał?

- A skąd ja mogę.

Na zegarek nie patrzyłam.

No, było już po ósmej, a przed dziesiątą, dużo przed dziesiątą.

O dziesiątej przyjechał pan Komosa i przywiózł produkty.

Lalewicz uganiała papierosa.

Tytoń jest suchy, kruszysię, jakaś wybrakowana paczka.

Żeby coś podobnego wtrzytać komendantowi MO, to już całkiem nie z tej ziemi.

- To była taksówka?

- Tak.

- Warszawska?

-Tak.

Trochę nawet się zdziwiłam, bo jak bezpośrednio z Warszawy, to przeważnie przyjeżdżają prywatnymi samochodami.

- Steiner wysiadło własnych siłach?

-Tak.

Kierowca wystawił zwozu walizki.

Wzięłam jej zaprowadziłam pana Steinera do kancelarii, bo on tu był pierwszy raz.

- Czekala Rózia na niego w hallu?

-Z początku tak.

Potem skoczyłam na chwilę do kuchni, bo śniadania rano nie zdążyłam skończyć.

- A potem?

-Wzięłam walizki i zaniósłam pod dziewiątkę.

Pan profesor szedł za mną.

- Czy w jego wyglądzie coś zwróciło uwagę?

Chwila zastanowienia.

- W jego wyglądzie.

Czy ja wiem?

- pociera przez fartuch kolano.

-Chyba tylko, że był taki zmarnowany.

- Bardzo był zmarnowany?

-Bardzo.

Po tych schodach to ledwo, ledwo.

Przystaje,sapie.

Aż się obejrzałam.

Jak tylko wszedł dopokoju,zaraz obiema rękami o krzesło i ani jużtchu
nie mógł złapać.

Wystraszyłam się.

Trzeba - myślę - po kierowniczkę,23.

bo mi gotów zemdleć.

Ale mu odległe.

Więc powiedziałam, że wodę to tylko z karafki, bo ta w kraniedo picią się nie nadaje i może mu co przynieść, herbaty albo dojedzenia.

Powiedział, że za wszystko dziękuje, teraz się położy, doobiadu, żeby mu nie przeszkadzać.

Na obiad zejdzie.

Jeśliby zaspał, prosi, żeby go koniecznie obudzono.

W czasie jak mu ścieliłam łóżko, zdjął płaszcz, marynarkę zaczął rozsznurowywać buty.

To już wszystko.

Wyszłam, więcej go nie widziałam.

- Czy to Różia sprzątała przed przyjazdem Steinerapokój?

- Ja i Magda.

Magdę Lalewic puszcza mimo uszu.

Trzeba by zaraz przesłuchać, komu to w takiej sprawie potrzebne.

- Czy mogło się zdarzyć, że w pokoju znajdowała się paczka trixi?

- pyta bez przekonania.

- Co też pan kapitan - obrusza się.

- Jakby któraś sprzątała, panikierowniczką nie ścierpiałaby ani trzech dni.

Żadnego trixi tam nie było.

W ogóleu nas się nieużywa.

Pani kierowniczką nie pozwala, bo zapach -powiada - szkodzina zdrowie.

- Kto, oprócz Steinera, znajdował się na piętrze?

-Nikogogusieńko.

Ja zaraz zbiegłam.

W piątektou nas urwaniegłowy i każderęce na rachunku.

-Nie wracała Rózia?

-Wróciłam, jak mnie pod koniecobiadu posłała panikierowniczką.

- Przedtemnie?

-Nie było po co.

Siódemkęposprzątałam wczasieśniadania.

Pan generał Ręczler lubi mieć ze sobą kluczod pokoju.

Reszta pokojów stoiwolna.

- Niktinny teżnie wchodził?

-Ze służbytylko ja zajmuję się piętrem.

A wszyscygo24ście poszli zarazpo śniadaniu dolasu.

Wrócili dopiero nasam obiad.

- O której tu jest obiad?

-Punktualnie o czternastej.

Gong dajemy nadziesięć minut wcześniej.

- Profesor Steiner nie zszedł po gongu.

Dlaczego Różia nieposzła go obudzić, skoro tako to prosił?

- Z głowy mi wyleciało.

Dzień dziś taki, że tylko wrogom.

szefowa z panem Komosą dooczu sobieo jednąszynkę, potem znów skreślili nie tę, pani kierowniczkaażdo gongu siedziała nad wykazami, bo się nie zgadzały, a szefowa od zmysłów odchodziła, że befsztyki wyschną nawiór.

Więc tegowszystkiego.

A może - oczy jej rozszerzawyraz nagłego przerażenia - gdybym pamiętała i poszłagow czas obudzić.

może on umarłprzeze mnie?

Lalewiczwzruszył ramionami.

Formalnie ustaleniadochodzenia stanowiłytajemnicę, sprawa jednak jest takoczywista.

- Umarł jeszcze przed gongiem.

Jak tobyło, gdyRóziaweszła dopokoju w czasie obiadu?

-Jakzobaczyłam, że go nie maani w pokoju, ani w łazience, ani w ubikacji, myślę sobie: nie, tylko przycupnąła jakiejś ławce w parkui śpi.

Zegarek zostawił, to nawetnie wie, że czas naobiad.

Park wielki, gongu mógł nieusłyszeć.

- Żadnego zapachu Różanie poczuła?

-Nie.

Chwalić Boga, żenie.

Gdyby mi tak ni stąd, nizowąd trup pod same nogi.

Jezu.

Chyba bym umarła namiejscu.

Na samą myśl wszystko się we mnie.

Ręka nieświadomie sięga kutorebce.

Palce dotykają zamknięcia.

Odruch warunkowy - myśli Hrynowska - gdy tylko zaboli w lewym boku.

Dzisiaj znów wiatr.

Zerwał się jeszcze w nocy.

Nie mo25.

gła zasnąć.

Nieprzespana noc zawsze wytrącają z równowagi.

I ten wiatr.

Wczasy wiatru jest jakby na wółprzymna.

Wiosna pełna wiatru.

Grali sztukę podobnymtyle.

Nie, jednak chyba niezupełnie podobny.

Ale coś się kojarzy.

Co z tym oknem?

Tego przecież nie można znieść.

- Okno!

-woła.

-Okno!

Nie słyszą.

Kuchnia na wprost.

Parę kroków.

Drzwi uchylone.

Wre swarliwy jazgot podnieconych głosów.

Znowukłótnia.

Kucharka ciska garnkami.

Ona też ma swój niedobry dzień.

Często miewa niedobre dni.

Ale jest doskonałą kucharką.

To rzecz jasna decyduje.

Okno łomocze alarmująco.

Zaraz brzęknie tłukące się szkło.

Hrynowska całasiękuli.

Wszystko ostatecznie ma swoje granice.

- Róziu!

-jakby wołała pomocy.

Z całą pewnością jest w kuchni.

Hrynowska poznała jej głos.

- Róziu!

-Tuż obok pełno ludzi.

Powinni być nakażde wezwanie, ale w tym harmidrze.

Zupełnie jak na pustyni.

Aż ochrypła.

Pójdę po nią- zaczyna niemrawo zwlekać się z fotela.

Właśnie w tym momencie w drzwiach zjawia się Różia.

- Pani kierowniczka wołała?

-Okno.

Zamknijcie wreszcie okno.

Czyż Rózianiesłyszysz.

- Dziewczyna wzrusza ramionami.

Trzy lata jest już tutaj i jeszcze nie zdążyła się oszlifować.

- A bo jak szefowa zacznie rozrabiać, to choćby bomby leciały.

- Nadśłuchuje, rumieńce blakną, potem splezają bez reszty.

- Ale.

- przełyka głośno ślinę - to przecieżna piętrze.

Hrynowska udaje, że nie rozumie.

- Więc co z tego?

- Na piętrze - powtarza - może akurat wdziwiątce.

- głos załamuje się - przysięgłabym, że właśnie tam.

Ja..ja.

za Boga.

26- Dosyć!

- ucina ostro Hrynowska.

Takie rzeczy trzeba ucinać ostro.

Proszę nie opowiadać głupstw.

Różia doskonale wie, że w dziwiątce wszystko pozamykane.

Potrząsa z uporem głową.

W oczach wyraz przestachu.

-Ja nic nie wiem.

Skąd mogę?

Dziewiątka.

- tarnosi sztywne płótno fartucha.

-Nonsens.

Sama Rózia zamykała.

Nikt później niewchodził.

- Dziewiątka.

-Nie może być dziewiątka.

Niech Rózia się opamięta.

-Ajeżeli.

- i jest bardzo blada.

-Ja.tam.

- przesuwa językiem po wargach.

-Dobrze - Hrynowskawoli nie przeciągać struny.

Jeszcze tylko brakowało ataku hysterii.

- Niech Rózia sprawdzi w innych pokojach.

Najpewniej będzie siódemka.

Trzeba przypilnować Trąbę, żeby ten rygiel doprowadził do porządku.

Już pani generałowi się skarżyła.

Ale Rózia myśli tylko o jednym.

- A jeśli niew siódemce i nie w innych?

-Wiatr - Hrynowska gładzirozłożony na biurku arkusz - gdyby się okazało, że wiatr otworzył okno wdziewiątce, proszę przyjść pomnie.

Trzaskają jedne drzwi, potem drugie, teraz okno.

Znowu drzwi.

Oknojuż więcjnie łomoce.

Oczywiście, że niew dziewiątce.

Hrynowska dotyka torebki i znowu siępostrzega.

Żeby takie histerie z Rózią.

Wszystkiesię wystraszyły, wydawało się jednak, że Rózia najmniej.

Ile jeszcze czasu będzie musiało potrwać, zanimżyciew Naukowie wróci do normy?

Dookoła wciąż pełno odgłosów.

Świat skrzypiw wiązaniach.

Hrynowska podnosi głowę.

Główną aleją jedziesamochód.

Stąd nie widać głównej alei.

Oknakancelariiwychodząna przeciwną stronę.

Hrynowska sztywnieje27.

w swoim fotelu.

To niemogą być goście.

Tunie przyjeżdża się bezuprzedzenia.

Wóz hamuje piskliwie, musi być chyba w nie najlepszym stanie.

Słysząc, jak Magda mówi: wyjdź ty.

Różia idzie.

Bez pośpiechu.

On się nie lubi spieszyć.

Męski głos.

Hrynowska od razu poznaje: Lalewicz.

Jeszcze ktoś drugi.

Chyba żaden z tych, którzy byli tu w tamten piątek.

Prokurator?

Kieruje wzrok na drzwi, wyczekując.

Wypadałoby nienaturalnie, gdyby słysząc nadchodzących, wlepiła oczy w rachunki.

Wchodzą.

Tego drugiego Hrynowska widzi po raz pierwszy.

Szczuplejszy od Lalewicza, przerasta go o dobre kilka centymetrów.

Chyba jeszcze zupełnie młody.

Dla Hrynowskiej każdy poniżej czterdziestki jest zupełnie młody.

Lalewicz uśmiecha się, cywilny garnitur nie krępuje go, jeżeli się niewie, trudno zgadnąć, że nie jest jego stałym ubraniem.

Obcy też po cywilnemu, Lalewicz przedstawia: - Kapitan Zieliński z Komendy Głównej - nie potrzebujemy dodawać Milicji.

To itaknie budzi wątpliwości.

Hrynowska wita się powściągliwie.

To nie jest towarzyska wizyta.

- Wciąż jeszcze ta sprawa?

- pyta zdawkowo.

Musi panować nad sobą.

Stan jej nerwów nikogo nie obchodzi.

- Niestety - potwierdza z ubolewaniem Lalewicz - powstały pewne, hm, wątpliwości.

Chcielibyśmy niektóre rzeczy skonfrontować z realiami.

My? Hrynowska nie patrzy na żadnego z nich.

Lalewicz nie ma z tym nic wspólnego.

Oznajmił jeszcze w tamten piątek: "Wypadek losowy.

I nawet architekt trudno winić.

Przez trzydzieści lat nikt się nikomu nie stało".

Wątpliwość przywozi ten kapitan z Warszawy.

Więc wszystko znów się zaczyna od początku.

Kanciasty kamień uciska boleśnie lewy bok.

Nieprzespana noc, wiatr, no i przecież to, co się stało w pokoju numer dziewięć -ona jest już starą kobietą.

Coraz częściej czuje jak bardzo starą.

28- Czy tamten pokój został przez kogoś zajęty?

- pytam atowo Lalewicz.

- Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zdążył się tam wprowadzić.

- Nie jest z siebie zadowolony.

Może nieco zbyt pochopnie kazał zdjąć pieczęcie i oddał pokój do dyspozycji Hrynowskiej.

Więc cóż.

Nie przewidywał żadnych komplikacji z umorzeniem dochodzenia.

- Nie - obie ręce Hrynowskiej leżały płasko na biurku.

Były zupełnie spokojne.

- Tamten pokój nie został przez nikogo zajęty.

Żaden pokój napiętrze nie jest zajęty.

Sądzę, że musi jeszcze sporo czasu upłynąć, zanim wygasną opory psychiczne przed wypoczywaniem w sąsiedztwie miejsca tragicznej śmierci.

Dla samego pokoju numer dziewięć czas ten będzie na pewno znacznie dłuższy.

Zieliński jest w Naukowie po raz pierwszy, ale na tym odcinku mógłby się swobodnie poruszać, zamknąwszy szczelnie oczy.

Ze schodów korytarzem naprawo.

Poprzeżściu czterech kroków, czyli trzech metrów, po lewej ręce siódemka, w której mieszkali wtedy generałostwo Ręczler, po prawej łazienka, dwa kroki dalej ubikacja.

Dodrzwi przedpokoju, przecinających w poprzek korytarz, było niespełna siedem kroków.

Z przedpokoju: na lewo wejście do ósemki, naprawo do dziewiątki.

Wymiary pokojunumer dziewięć: trzy na cztery, przy czym krótsze sąściany poprzeczne.

Lewa ściana jednolita, tylko na długości studwudziestu centymetrów.

Dalej oszklone drzwi na balkoni trój skrzydłowe okno.

Pod metalowym parapetem potężna bateria grzejników, jak przystało na narożny pokój wolnostojącego budynku.

Pomiędzy oknema drzwiami wejściowymi: kwadratowy stolik przykryty lnianą serwetą.

Na nim ceramiczny wazon nastroszony wiechciem zeschniętych badyli, wazon pochodzi chyba gdzieś z lat dwudziestych.

Przy stole dwa gięte krzesła.

Ściana przeciwna do drzwi - pozbawiona otworów.

29.

Przy niej kolejno od ściany balkonowej w lewo szaragi, szafka nocna w stylu strasznych mieszkań, metalowe łóżko z biało lakierowanymi prętami, wreszcie leniwiec.

Jego poręcz dotyka kafałki zwałistego pieca.

Górne i dolnedrzwiczkiw piecu zamknięte.

Na prawej ścianie, w odległości stu pięciucentymetrów od pieca, szafa w murze.

I niemal bezpośrednio futryna, obok futryny: płytowedrzwiu mywalni.

Klamka jak klamka.

Nic nie wskazuje, że nie posiada odpowiednika po tamtej stronie.

Tę właśnie klamkę nacisnęła Hrynowska w tamten piątek.

Teraz wystarczy pociągnąć.

Na polecenie Lalewicza wymontowano sprężynę.

Nie ma także wieszaka.

Tylko dwa otworki znaczą miejsce, gdzie był przykręcony.

Lalewicz wzrusza lekko ramionami.

- Zgodnie z obyczajem narodowym po szkodzie.

Alerekwizyty pod ręką.

Jeżeli KG małżeństwo.

Zieliński odchrząkuje nijako.

Sprężyna, wieszak, terdeczy były potrzebne dopiero w momencie szczytowym.

Nie wierzy, by zaplanowany eksperyment miał do tego momentu doprowadzić.

Lalewicz, rzecz jasna, nie jest zachwycony.

Nikt nie jest zachwycony, gdy mu stawiają robotę na głowie.

Ale zadaniem Wydziału było stawianie nagłowie tego,co nie stało dostatecznie mocno nanogach.

Na oko niszawydaje się jeszcze płytsza, niż jest.

Niełatwo uwierzyć,że ktoś mozesię w niej zmieścić.

Anozmieścił się.

Do tego Steiner wcale niebył chudy.

W niszyczuć jeszcze nikły zapach chemikaliów.

Poośmiu dniach.

Cyklon,psiakrew.

Nawet było coś w prasie.

Zieliński nie przypomina sobie szczegółów.

Trzeba będzieustalić.

Mogą nie być pozbawioneznaczenia.

Szafka nocna,łóżko, leniwiec, to wszystko na swoimmiejsu.

Krzesła za to tak,jakby.

- Stolikczybazaostał przesunięty?

Lalewicz sprawdza zeszkicem.

30- Hm.

tak.Trochę.

- Co on tu będzieczarować.

Przestawiajednak.

- Wazon!

-woła Zieliński.

Wazono mało nie poleciał, Lalewiczowi udało się podtrzymać go w ostatniej chwili.

No cóż, zachwiał się.

Znaczenie tego faktu jakoś do niego nie dociera.

A przecież naszkicudałoby się przeprowadzić od drzwi wejściowych do okna linię, która przechodziłaby dokładnie przez środek wazonu.

-Teraz co do milimetra - otrzepuje z palców drobin pokruszonego suszu.

Problem wazonu wciąż dla niego nie istnieje.

Wyjmuję extra mocne, tym razem zaopatrzyłem się, podsuwa gościowi.

Ten uznaje tylko z filtrem, ssie swoje siłesie.

Dobre i to.

- I tak montujemy rekwizyty?

-Może.

Ale to następny etap.

Lalewicz przysiadł bokiem na krześle.

Następny etap.

Dobre.

Ile właściwie on sobie tych etapów planuje?

A przesłuchania w Wielkiej Gospodarce idą non stop.

Potempewno bez mózgu elektronowego się nie obejdzie.

Alerzecz jasn nadzór musi szukać dziury w całym.

Nadzór musi się wykazać.

- A tak międzynami, co w Warszawie nie gra?

- Nie wiem Zieliński patrzy na wazon nie wiem, czy nie gra.

Ale nie jestem wcale pewien, czy gra.

- Unik?

- przymruża oko Lalewicz.

- Ależ nie.

Ja zakawała walogią.

A więc przeciąg.

- Mówiąc szczerze, nie bardzo rozumiem.

Przeciąg przecież był.

- To nie ulega wątpliwości.

- Hrynowska mówi: głowę człowiekowi urwało.

- Ale jakoś nie urwało.

- Za to zatrzasnął drzwi umywalni.

- Hm.

Mnie przy tym niebyło.

31.

- Drzwi jednak zatrzasnęły się.

-Fakt.

Był przeciąg, drzwi się zatrzasnęły.

Aleja chciałbym zobaczyć, jak to się ze sobą pożyło.

Chciałbym zobaczyć, jak ten przeciągamykał te drzwi.

- Nie ten przeciąg, tylko gdy otworzono na dole.

- W porządku.

Pamiętam.

No więc urządzimy przeciąg, aż głowy będzie urywał, i otworzymy na dole.

- W takim razie jednak tę sprężynę - już się chce zrywać, biec montować.

Aby prędzej.

Bo tam na Komendzie młodociany Turek z dojrzewającym prokuratorem warzą kocioł czarownic.

Zielińskiego powstrzymuje: - Tymczasem popatrzmy, czy w ogóle zadziała.

Hrynowska kuli się podściana.

Żałosna imitacja tamtej Hrynowskiej, która ich przyjmowała w kancelarii.

- Proszę się dokładnie rozejrzeć - mówi Zieliński - czy wszystko jest tak, jak wtedy, gdy pani weszła do pokoju.

Niby to się rozgląda, ale czyni to, aby zbyć.

Na pewno niewiele można w taki sposób stwierdzić.

- Tak.

-przesuwa ręką po włosach, potem splata obie ręce, potem dotyka dużej broszki z kameą, spinającej kołnierz bluzki.

Ręce są niespokojne i cały czas wruch: - Chyba tak.

- Stoliki wazon też?

-Ja..

- zupełnie jakby chciała się wcisnąć w mur - niemogę tego stwierdzić.

Nie przyglądałam się specjalnie.

Potem mogli przestawić w czasie sprzątania.

- Nas interesuje, czy pani czegoś nie przestawiła przed przybyciem milicji.

-Ja?- Niekiedy takierczy robi się zupełnie bezwiednie.

No, może uważała pani, że coś stoi nie tak, jak powinno.

- Ach nie.

W pokoju, w którym ktoś już mieszka, to32nie.

Tutaj niczego nie dotykałam.

Tylko ku drzwiom balkonowym, potem z powrotem.

Spieszyłam się, nie znoszę przeciągów.

Zamknęłam przedpokój i wtedy do umywalni, bo ten zapach.

- Czy pani po drodze do drzwi balkonowych nie potrafiła stolika?

-Nie.

Dlaczego bym miała potrafić?

"Co on tak z tym stolikiem?

" -złości się Lalewicz.

Niepotrafi schwytać pointy, a jakaś przecież musi być.

Nie tenszczebel, żeby gadaćbyle co.

Ustawia drzwi umywalni pod takim kątem, aby podmuchobjął jak najszerszą płaszczyznę.

Sprawdza kąciakiem oka.

Bez obaw, czcigodna KG, zadziała.

Zadziała jak wszyscy diabli.

Dzisiaj też wieje na całego.

- Możemy zaczynać o najmiejscu Zieliński.

Hrynowska opiera się ciężko o futrynę.

Ma wyrazić twarz człowieka, który szykuje się do skoku w przepaść.

- Róziu - woła w wysiłonym głosie - drzwi.

Słysząc, jak się otwierają na dole.

Wionęła potęgę.

Rzeczywiście jakby głowy miało urwać.

- Wazon!

-Hrynowska wyciąga ręce, by złapać w locie.

Nie zdąża.

Wazon rozpryskuje się o podłogę w odłamki glinianych czerepów.

Z suchym trzaskiem kruszą się badyle.

Na jasnym parkiecie rozlana kałuża cuchnącej zbutwieniem wody.

- Poszedł- Zieliński gładzi się po podbródku - otóżto.

Za to drzwi umywalni.

Lalewicz patrzy z ukosa.

Ani drgnęły.

Aleco z tego wynika.

Znalazł się magik od przeciągów.

- Widocznie wtedy podmuch był silniejszy.

-Hm..

- Bez porównania silniejszy - zabiera nieoczekiwanie głós Hrynowska.

-Działo się coś potwornego.

Aprzecież nadolebyło pozamykane.

Wiatr był bardziej porywisty.

Więc przeciąg.

Przeciąg też.

33.

Zieliński przygląda się jej z uwagą.

-Jest pani tego pewna?

- Tak.

Wiry.

Wprost trudno sobie wyobrazić.

Dzisiaj nawet w drobnej części.

- A..

wazon?

Zamrugła powiekami.

- Wazon?

-Tak.

Jego równowagę można by zaliczyć raczej do chwiejnych.

Przed ośmioma dniami kwiaty były świeże.

Ciężar bukietu jeszcze bardziej tę równowagę zmniejszał.

Pani mówi: podmuch wtedy był bezporównania silniejszy.

Ale wazon nie wywrócił.

- Cholera - Lalewiczowi przestaje nagle smakować papieros.

Hrynowski kamilczy.

Twarz jej ściąga żalosny grymas.

Jakby ładachwila miała wybuchnąć płaczem.

Zieliński obserwuje ją spod oka.

Co jest właściwie z tą kobietą?

- No, więc - ponagla - może pani zechce wyjaśnić, jak pani sobie to wyobraża?

-Ja..

- usiłuję przełknąć coś, co jest niezmiernie trudne do przełknięcia-ja.

zaraz.

- Podmuch.

tak, podmuch był silniejszy.

A wazon.

Przepraszam.

Trudno mi zebrać myśli.

Ja weszłam, w pokoju szalał potworny przeciąg.

A wazon.

tak, wazon leżał przewrócony na stoliku.

- Przewrócony?

- Zieliński fraso bliwie trze podbródek kostkami palców.

- Przewrócony?

- Wiatr.

Chciałam powiedzieć przeciąg.

Pewno wtedy, jak teczwi na dole.

Pan pytał, czyż czegoś nie przestawiałam albo.

W pierwszej chwili mi jakoś.

Aleja ten wazon.

Odruchowo.

Tak, całkiem odruchowo.

Więcej ten wazon postawiłam z powrotem i.

- nagle urywa.

Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, na co patrzy Zieliński.

Bezkształtna plama zielonkawej wody odbija obcym akcentem od nienagannie czystej posadzki.

Hrynowska blednie jeszcze bardziej.

Końcem języka zwilża wargi.

To..- splatać się dłonie.

- Proszę mi wybaczyć.

Ja.. Niewiem, co się ze mną dzieje.

Czy nie można by.

zamknąć drzwi?

- Ależ oczywiście.

O mało mu nie wyrwało klamki z rąk.

Szyby oddzwoniły cienko.

Hrynowska wlepiła oczy w rumowisko na podłodze.

Lalewicz szuka czegoś na suficie.

Jest bardzo nieprzyjemnie.

- Nawietrze - mówi cicho Hrynowska - czy w przeciągu.

niemożna brać pod uwagę tego, co mówię.

Jestem na wpół przytomna.

Zieliński podnosi ociężałym ruchem głowę.

- Kwestia wazonu?

- Nie mógł leżeć przewrócony.

Woda.

Teraz, gdy jestem w stanie zebrać myśli, jest to dla mnie oczywiste.

Niepojmuję, skąd wzięłam całą tę historię.

Nagle wydało mi się, że sobie przypominam obraz leżącego na stole wazonu.

Podchodzę, stawiam go, porządkuję kwiaty.

Ja to wszystko widziałam.

Widziałam niezmiernie plastycznie.

Tylko że tego nie było.

- W takim razie - Zieliński wciąż nie zapala wsadzonego do ust filtra - również nie może pani być pewna, czy nie przesunęła tego stolika.

- Toprawda - przyznaje jakby z poczuciem winy - niemożę być pewna.

- Chwilami - Lalewicz patrzy gdzieś w bok - obawiałem się, że Hrynowskianie wytrzyma tego hm.

przesłuchania.

Zielińskiego dręczy niesmak.

Nie było nasto procent fair.

Na pięćdziesiąt także nie.

- Była zdumiewająco rozstrojona -potwierdza zdawkowo.

-Ballada o latającym wazonie.

-strzepujepalcami.

35.

- To jest starakobieta - stwierdza sucho Lalewicz.

-Niezauważyłemobjawów sklerozy.

Zresztą prowadzenie tego rodzaju zakładu.

- Wprostchorobliwieuczulona na przeciągi.

Bywająludzie chorobliwie uczuleni na takie czy inne bodźce.

- Przeciąg -Zieliński zdejmuję okruch zeschniętego liścia z kłapy swej marynarki - to prawda.

Przykro mi, że dostrzegłem to dopiero pod sam koniec.

- Podkreślała już przy pierwszym przesłuchaniu.

-Nie było mnie przy pierwszym przesłuchaniu.

Natomiastw protokole.

- Wyjmujęzust papieros z odklejonym filtrem.

Zamierza go położyć napopielniczce.

Rozmyślasię.

Rzuca do koszyka naśmieci.

Lalewiczusiłuje sobie przypomnieć treść protokołu.

- Nie zostało zanotowane?

-Och - Zieliński przebiera w paczce siłesii z takim namaszczeniem, jakby od tego zależały losy świata - nie mam zwyczaju stosowania metod trzeciego stopnia.

-I jednocześnie daje sobie sprawę, że to, co robił przed chwilą, niewiele od takiej własnej metody odbiegało.

-Tak czy inaczej kryptonim "wazon" wpisują tymczasem na konto alergii.

Przeciąg resztą, poza pogębieniem starszej pani, nie zagrał.

- Nie.

-Lalewicz przysiadana poręczy leniwca.

-I czego to dowodzi?

- Że niezamknął drzwi do umywalni.

-Genialnie.

Skoro dziś nie, to czy w ogóle też nie.

Hrynowska już niewyklucza, że mogła nieświadomie przesunąć stolik.

Przypuśćmy, że w momencie głównego podmuchu stał poza jego granicami.

Hrynowska przesuwa stolik już po zlikwidowaniu przeciągu.

W rezultacie podmuch mógł być znacznie silniejszy.

-Mógł - zgadza się obojętnie Zieliński- tylko że tonic nie daje.

36- Nierozumiem.

-- Lalewicz rozciera kostki palców.

-Podstawa waszych wątpliwości, że podmuch wtedy był silniejszy.

- Nie - przerywa Zieliński - przedchwilą powiedzieliście: "poza granicami podmuchu".

-Pozagranicami?

- patrzy z wysileniem na niszę, już jest przy wejściu do przedpokoju, mruży oko, celuje wyciągniętym ramieniem.

-Cholera!

Najłatwiej, że przeciąg i odfajkować, ale który ten przeciąg.

Piec!

-woła nagle, jakby wołał ratunku.

- Jeżeli drzwiczki były otwarte i Hrynowska je zamknęła w ramach likwidacji przeciągu.

Wyobrażacie sobie przekrój luzu w takiej kolumbrynie?

- Owszem.

Tylko że też pozagranicami.

Drzwi mywalni pozostawały od podmuchu na balkon o metr dziesięć.

Od ewentualnego ciągu na piecokoło dziesięć centymetrów.

- To niedużo.

-Nie.

Ale wystarczy, żeby nie drgnęły.

Podmuch mógł się odchylić.

Nie mógł.

Nie było powodu.

- Tak powiedziała KG?

-Lalewicz zaczyna ponosić.

- Tak orzekłbiegły.

Biegły.

Lalewicz myśli o straconej twarzy.

Biegły z zakresu aerodynamiki.

Cóż prostszego.

To on powinien o tym pomyśleć.

Teraz podtykają pod nos.

Pruj, bracie, spartoliłeś.

To zawsze tak, jak się człowiek zapatrzy na jakąś jedną sprawę.

- A więc nie przeciąg?

-Aż do przeciwnego dowodu.

- Bagatela - mówi przez zęby Lalewicz - czy znacie, kapitanie, listę gości przebywających w Naukowietamtego dnia?

37.

- Samobójstwo odpada - tutaj Lalewicz czuje się o wiele pewniej.

- To jednak wzięliśmy pod uwagę.

Cóż, ludzienie kiedy w dziwaczny sposób żegnają ten świat.

Ale niewychodzi.

No, stanął w niszy, no, pociągnął za wieszak, wyciągając rękę poza siebie

ponad ramieniem.

Uderzenieo minimalnejsile, utrata świadomości nie wchodzi wrachubę,
drzwi przeważnie nie zatraskują się.

Nasz doktor twierdzi, że człowiekjego budowy, będąc w tak
podłej kondycji, w ogóle niezdolałby zatrzasnąć drzwi.

Zieliński wchodzi do niszy, wyciąga rękę ponad ramieniem.

- Steinerbył od nas niższy.

-Pamiętam.

-Próbuje jeszcze raz.

Mało prawdopodobne.

Jeżeli do tego uwzględnić cechy fizyczneSteinera.

-Cóż -wraca dopokoju i siada nakrześle tak porywczo, jakby nagle
poczuł siębardzozmęczony.

Sądzę, że waszdoktormasłuszość.

Da to na piśmie?

-Jestniezmiernie ostrożny.

- Rozumiem - uśmiecha się.

-Czyli nieda.

Prawdęmówiąc, ja na jego miejscu takżebym nie dał.

- Wierzycie wmożliwość samobójstwa?

-pyta Lalewicz.

- Absolutnie nie.

Wierzę natomiast, że ostrożnym łatwiej się żyje.

- Ale nam nie będzie teraz łatwiej - krzywi się Lalewicz.

- Może raczej zresztą wam.

Ma się tę nadzieję, że KG przejmie sprawę.

Pomyślcie kapitanie: fizyka jądrowa, Steiner, ba.

Między innymi pracował tu, w sąsiedztwie.

Ale to była chyba najmniej ważna ze wszystkich jego prac.

No więc weźcie pod uwagę powiązania i te rzeczy.

Czy to na siłę powiatówki, która i tak już sknociła w sprawie, co mogła?

Zieliński prztykał zapalniczką, patrząc w zamyśleniu na żółtawą języczkę płomienia.

Sprawa rzeczywiście nie zanosila się na łatwą.

Z jednej strony osoba Steinera i jego specjalność, z drugiej elitarne środowisko Naukowa.

Diabelnie łatwo się potknąć.

Najprościej byłoby zwrócić dochodzenie powiatówce, niech uzupełnia.

Ale chyba nie zwróci dochodzenia.

Właśnie przez te haczyki.

Cholerne upodobanie do włożenia samochcą w kabałę.

- To nie ode mnie zależy - bąka wreszcie.

- Jasne - potakuje Lalewicz.

- A wniosek będzie składał Dziadek Mróz.

-Gdybyśmy nawet przejęli, nie liczcie na absolutorium.

Dokooptujemy i po krzyku.

- Witam uprzejmie.

Po to sknociłem, żeby nadal wtymtkwić?

- Knocenie rzeczprzewidziana.

Co się sknoci, to sięnaprawia.

A nie żeby inni.

Wten sposób każdyby chciał.

- Morderstwo- Lalewicz wstaje, przeciągasie, wkładaobieręce do kieszeni marynarki - w tych warunkach diabelnie mocnarzecz.

-Kto twierdzi, że morderstwo?

- Tylko co?

-Okaze się przy zamiataniu.

- Albo się nie okaże - to już ostatni strzał Lalewicza, zestraconej pozycji.

-Albo nie- potakujezgodnie Zieliński.

- Bywa.

Hrynowska powtórzyła niemal dosłownie:- Przedstawił się, wręczył odcinek skierowania, kwityiprosił, aby go obudzono, jeżeli nie zejdzie po gongudojadalni.

-W sumie ile czasupozostawał u pani w kancelarii?

-pyta Zieliński.

Lalewicz już odjechał do Komendy.

Musiał być obecny przy wyznaczonych nadziejach dzisiejszych przesłuchaniach.

- Czyżawiem.

Bardzo krótko.

Może jakieś dwie minuty, może trzy.

39.

- Pięć?

- podsuwa Zieliński.

Bo poza cudowną opowieścią o wazonie jest jeszcze coś, co go niepokoi.

- Nie.

Pięciu minut tonie mogło trwać.

Nawet druczków meldunkowych nie chciał wypełnić, tak mu było pilno.

Miała słuszość.

Jeżeli wszystko się odbywało tak, jak mówiła, nie mogło trwać więcej jak trzy minuty.

Ale pokojowa Próchnik zdążyła w tym czasie i czekać w hallu, i zjeść śniadanie w kuchni.

- Jak długo czekała panina profesora Steinera?

- pytają Zieliński.

- Na zegarek nie patrzałam.

-Niechodź mi odokładność.

Tak mniejwięcej?

- Kwadrans to w każdym razie.

-Kwadrans?

- Może i dłużej.

-A krócej nie?

-Jak mogło być krócej?

Wpierw to czekałam w sieni, myśląc, że pan profesor łąda chwilawyjdzie z kancelarii.

No to zeszło dobrychparę minut.

Potemmyślęsobie: widaćsię zagadali, możezdążę zjeśćśniadanie.

I na ryzykopoślałam do kuchni.

Aprzecież zdążyłam zjeść śniadanie, i wypić, i jeszcze przyszło trochęczekać.

No więc piętnaście minut na to wszystko, bo już bardzokąpo.

- Co pani jadła?

-Dwakawały chleba takie przez całą szerokośćbochenka, a u nas bochenki spore, przeszło dwa kilo każdy.

No więc zesmalcem.

Ikubekkawy.

- Takie śniadanie jednak niekoniecznie musi trwaćpiętnaście minut.

-To już, proszę pana śledczego, jak kto.

Ja tam przyjeździe nie lubię się spieszyć.

Nie idzie mi na zdrowie.

Dlatego właśnie nie zdążyłam.

- A co przez cały ten czas robił Steiner?

- Siedział w kancelarii.

40- Siedział i co?

- No..

rozmawiali.

- Nie słyszała pani przypadkiem oczym?

Obrusza się:- Co też pan śledczy.

Ja nie z tych, co podsłuchują-ale oburzenie nie wypada przekonująco.

- Może podniesione głosy.

Albo szept?

Albo coś, co zwraca uwagę?

- Po prawdzie to ja w ogóle ich nie słyszałam.

- Nie słyszała pani, że rozmawiają?

- A gdzie.

Ja szefowa znacznie ciskać garnkami.

Choćby pioruny.

- Dlaczego więc pani mówi, że rozmawiali?

- No bo co by innego?

- Gdzie siedział Steiner?

-Przed biurkiem pani kierowniczk.

Na tym krześle bliżej okna.

- Nie wstawał?

-Nie.

- Nagle uderza się dłonią w czoło.

-Co ja.

Przecież było itak, że skoczył.

Jak oparzony.

- Skoczył?

-znowu coś, co nie wiadomo, w jaki sposób połączyć z resztą.

Człowiek, który ledwo nogami powłóczy.

- Znaczący poderwał się z krzesła.

Nawet myślę sobie, co on tak.

Była pewna, że wyjedzie.

Ale nie, tylko z powrotem na to krzesło.

- Corobił, jak się zerwał z tego krzesła?

-Chyba nachylił się nad biurkiem.

Ale tego dokładnie widziałam.

- A pani kierowniczka?

Próchnik potrząsa głową.

- Żeby zobaczyć, co tam się dzieje za biurkiem, trzeba by aż ku samym drzwiom.

Az jakiej niby miałabym racji?

- W jakim to było momencie?

- Przedtem nim weszła do kuchni.

Jak zobaczyłam, że41.

siada z powrotem, od razu tknęło mnie, że zanosi się nadłużej.

Przez to poszłam jeść śniadanie.

Zielińskikreći nasadką długopisu.

"Co najmniej piętnaściminut.

" Hrynowska twierdzi: "najwyżej trzy".

Zagląda do protokołu.

- Steiner w pani obecności zdjął płaszczy marynarkę?

-Tak.

-Jakie miała sobie spodnie?

- Nie potrafię powiedzieć.

Chybanie bardzo ciemne.

- Zauważyła pani jakąś plamę?

-A skąd.

Wcale się nie przyglądałam.

Zielińskipostukuje czubkiem podeszwy o podłogę.

Noga mu zdrętwiała.

Do kituz takim świadkiem.

Czegosiemożna od niej dowiedzieć?

- Pani kierowniczkaniwychodziła z kancelarii?

-Nie.

Aż do samego gongu.

-I pan Komosa?

- Pan Komosa to owszem.

Jak wyszła sprawa z szynką, biegał parę razy do kuchni.

- I wtedy pani kierowniczka pozostawała w kancelarii sama?

- Och nie.

Nawet na najkrótszą chwilkę.

Jeszcze byliśmy tam z panem Komosą, jak wpada Magda.

- Magda?

- Jest tu też zapokojowa.

Magdalena Ziemba.

Więc, że ona z tą instalacją w oficynie już nie ma sił.

Wszystko się w palcach rozłazi, a goście mają pretensje.

To jak pan Komosa wyszedł do kuchni, Magda została w kancelarii.

Szefowa kuchni Zofia Pieczonka.

Lat pięćdziesiąt pięć.

Waga z pewnością wyżej osiemdziesięciu.

Twarz rozlana, pokryta glansiem potu.

Małe oczka, tonące w tłuszczu nadają podobieństwo do groteskowo rozbuchanej myszy.

42 Nie widziała Steinera ani za życia, ani po śmierci.

O tym, co zaszło, dowiedziała się dopiero przyjeździe milicji.

Ledwo sięmieści wkrześle.

- Dzień był pechowy od samego początku.

Pod kuchnią ciagu zagrosz, z wodą się pokociło, potem ta szynka: wstyd powiedzieć - sadłana czterypalce.

Trzeba było słyszeć, jak pan Komosa wygadywał, a do nas przecież ministrowie przyjeżdżają.

Wreszcie to okropne nieszczęście pod dziewiątką.

Jak żyję, nie słyszałam, by ktoś ni stąd, ni z owąd zadusił się na śmierć w umywalni.

Owszem przypominam sobie, jak Rózia jadła wtedy śniadanie.

Możek wadras, może więcej, ale kwadras to już najmarniej.

Rózia nie znosi pośpiechu przy jedzeniu.

Więcej Pieczonka nic w tej sprawie nie wie.

Magdalena Ziembalata dziewiętnaście.

Jest tu dopiero od roku.

Przyszła bezpośrednio ze wsi.

"U nas świat zabity deskami.

" Znacznie bardziej surowa niż Rózia.

Włosy w koronę, nie znać żadnych starań utrzymania w formie rąk.

Wykształcenie: trzy klasy szkoły podstawowej.

"Nie było warunków.

" Steinerja nie widziała ani za życia, ani po śmierci.

Okropnie boi się nieboszczyków, a jeszcze takiego co "taką straszną śmiercią.

". W tamten piątek przyszła do kierowniczkę, żeby kazała panu Trąbiezrobić wreszcie coś z tą wodą w oficynie, bo już człowiekowi ręce opadają.

Z kranów kapie, umywalnie przeciekają, kurki w palcach się wprost kruszą.

Goście mają pretensje, a co ona może poradzić?

Tak, do kancelarii.

To byłorano.

Niepotrafi podać dokładnie godziny.

Na zegarek nie patrzyła.

Chyba gdzieś około jedenastej.

Tak, to przynajmniej wynikało to przepieranie się względem szynek.

Pan Komosa wciąż biegał do kuchni.

"Z tą kucharką - powiada - to nawet anioła szlag by trafił.

" Pan Komosa chodził kilka43.

razy.

Raz to nawet trochę dłużej w kuchni przesiedział.

Niepotrafi określić jak długo.

Jakieś kilkanaście minut.

Ona była w kancelarii przez cały czas.

Nie, pani kierowniczka nigdzie niewychodziła.

Potem, jak pan Komosa już wrócił na dobre i zaczął szperać w tych swoich wykazach, kazała się jej zabierać, bo nie ma głowy zajmować się instalacją.

"Sama widzisz, co się dzieje.

Przyjdź jutro samego rana.

" ją też wzięło.

Aż rumieńców dostała.

Wtedy, gdy przyjechał Steiner, Ziemia był w kuchni.

Czekała na przybycie Komosa, bo Trąba dopiero po rozładowaniu produktów mógł się zająć instalacją.

Ale Komosa tego dnia się spóźniał.

Różia przy niej jadła śniadanie.

Napewno zajęło jej co najmniej dwadzieścia minut.

Ona się nigdy nie spieszy przyjeździe.

Tak, to było w czasie, gdy Steiner przebywał w kancelarii.

Potem Ziembawrócił do oficyny.

Do pani kierowniczkii przyszła, dopiero jak skończyła w oficynie sprzątać.

Nie, całkiem niemożliwe, żeby Steiner dostał w Naukowie trixi.

Tu nikt tego nie ma.

Skąd mogłoby się znaleźć wdziwiątce?

Pokój był sprzątny tuż przed przyjazdem profesora.

Wie o tym, bo przecież to ona go sprzątała.

Tak, razem z Rózią.

Tak, to przy niej wyszła ta historia z szynką i pan Komosa latał do kuchni, użerać się z szefową.

Tak, doczekała się w kancelarii, aż pan Komosa wrócił na dobre.

Nie, pani kierowniczkii niewychodziła wtedy z kancelarii.

Później chyba także nie.

Siedzieli z panem Komosą nad rachunkami prawie aż do samego obiadu.

Pomoc kuchenna Genowefa Dziuba lat osiemnaście.

Szarachusteczka na głowie, spod niej wymykają kosmyki tłustych włosów nieokreślonego koloru.

Pod samym fartuchem wygnięcionasukienka z barwnego kretonu, okreszej pierwszej świeżości minął chyba już bardzo dawno.

Rękom i twarzy przydałoby się natychmiastowe zastosowanie wody, mydła i jakaś twarda szczotka.

O wypadku dowiedziała się dopiero po przyjeździe milicji.

Steineranie widziała ani za życia, ani po śmierci.

W ogóle ona do gości rzadko.

Przy robocie usmoli się, gdzie potem ludziom na oczy.

Tak, wtedy, co ten biedny pan przyjechał, Różia jadła śniadanie w kuchni, póki nie był kancelar i z panią kierowniczką.

A jak wszystko zjadła, jeszcze sobie trochę posiedziała, zanim wyszedł.

Dziuba na zegarek nie patrzyła, co jej zegarek, i tak musi zrobić wszystko, co jest do zrobienia, żeby nawet nie wiadomo jak późno.

Najbardziej rozum panna Różia siedziała wtedy w kuchni jakie pół godziny, może trochę więcej, może trochę mniej.

- A może dziesięć minut?

- podsuwa Zieliński.

Dziuba kategorycznie zaprzecza.

Dziesięć minut to już w żadnym razie.

Może w dwójnasób.

Ale raczej więcej.

Ignacy Trąba, lat siedemdziesiąt trzy, jest dozorcą Naukowie od momentu uruchomienia Domu, to jest od lat trzydziestych.

Tylko przez czas okupacji, gdy fundację zajęli Niemcy, przeniósł się do Sielni, znaczy siętej wsi tuż za rzeką.

No i w czterdziestym piątym, jak ich diabli wreszcie wzięli, na

nicnieczekając, gratyna wózki z powrotem do dozorcówki.

Jeszcze piec po Foksie, co tu był za dozorcę, nie zdążył ostygnąć.

O wypadku poddziewiątką dowiedział się, jak przyjechał pan kapitan Lalewicz.

Profesora Steinera niewidział.

Steiner do Naukowa przedtem nie przyjeżdżał.

Ani teraz, ani przed wojną.

To bardzo dziwne, że ktoś się mógł w tej umywalni zatrzasnąć.

Przez tyle lat korzystają z niej i ani razu nic się nie zdarzyło.

- Jest pan pewien, że ani razu?

- pyta Zieliński.

Trąba potwierdza stanowczo.

Wiedziałyby przecież.

Między innymi do niego należą drobne naprawy instalacji.

45.

- A jak było z odkręceniem klamki od wewnętrznej strony drzwi?

Trąba zastanawia się, trącczoło.

Nie przypomina sobie, żeby ją kiedykolwiek widział.

Pewno jeszcze budowniczy kazał odkręcić albo może komisja przyjmująca dom.

A może od samego początku była przykręcona.

-Wieszakna drzwiach był od samego początku?

- No, od samego początku to nie.

Ale w każdym razie jeszcze przed wojny.

- Powracając do bytności Steinerau pani kierowniczkii kancelarii - zaczyna z namysłem.

-Tak?

- patrzy naniego wyczekująco.

Palce znowu dotykają metalowego zameczka, ale tym razem nie głaszczą, zaciskają, aż skóra pod paznokciami blednie.

Zieliński odchrząkuje.

Nie tak łatwo sformułować pytanie na temat tylekroć już wałkowany.

- No.

coś mi się tu jednak nie zgadza.

- Comianowicie?

-Czas - mówi cicho Zieliński.

- Wydaje się, że zachodzą pewne dysproporcje.

-Jakie dysproporcje?

To niemogło trwać dłużej niż trzy minuty.

- Tak - zgadzasie.

-To, o czym pani opowiedziała, rzeczywiście nie mogło trwać dłużej.

- On się bardzo spieszył - przypomina Hrynowska.

-Właśnie dlatego.

Czy pani jednak nie zapomniała o jakimś szczególe?

Wtedy też przecież był bardzo silny wiatr.

- Alenie w kancelarii.

Tu nie było ani wiatru, ani przeciągu.

Pamiętam dokładnie każde wypowiedziane przez Steinera słowo, każdy jego najdrobniejszy gest.

Dlaczego- obserwuje jej ręce - dlaczego aż tak dokładnie?

Wtedy przecież nie mogła przewidzieć, że znajdą powody, aby to wszystko sobie zapamiętywać.

46- A jakiego rodzaju szczegół miał panna myśli?

- pyta Hrynowska po chwili.

- Powiedzmy zaśląbnięcie.

- Zasląbnięcie?

- teraz przecież otworzy torebkę i wyjmie z niej to, co przyciąga jej palce.

Nie otwiera jednak,- Zasląbnięcie?

Zieliński poprawia się na krześle.

To jest chyba ten właściwy trop.

- Czuł się tak bardzo źle, wszedł do kancelarii, zasląbł.

Być może uważa pani, że gdyby został zawezwany lekarz, Steiner nie wchodziłby do umywalni.

- Nie - ręce jej zsuwają się z torebki.

-Steiner niezasłabł.

Nie było powodu wzywania do niego lekarza.

Niezapomniałam żadnego szczegółu.

Zieliński pochyla się nad protokołem.

Dwie prawdy.

Prawda czterech kobiet: kwadrans.

Dwadzieścia minut.

Więcej niż dwadzieścia.

Jaki cel w nieprawdzie mogła mieć Dziuba, która do gości nie bardzo, bo jej wstyd, żetaka brudna?

Jaki cel mogła mieć Ziemia, jak cel kucharka?

Próchnik, która znudziwszy się czekaniem w hallu, zabrała się do chlebasek smalcem i wrzącej kawy?

I prawda, za którą stała tylko jedna jedyna kobieta: trzy minuty.

Jaki cel mogła mieć Hrynowska w mówieniu nieprawdy?

Ale jedna z tych prawd musiała być nieprawdziwa.

Bo trzy minuty nie są tym samym co kwadrans.

Dla prawdy Hrynowskiej kwadrans jest o wiele za obszerny.

Prawda czterech kobiet nie mogła się zmieścić w granicach trzech minut.

Konfrontacja?

Skrobie się nasadką długopisu w podbródek.

Ale co to właściwie da?

Jakie znaczenie można przypisać czasowi pobytu Steinera w kancelarii?

Żadna z kobiet nie patrzyła na zegarek.

W kuchni nastrój gorączkowego pośpiechu.

Zaraz przywiozą produkty, tyle rzeczy jeszcze jest przedtem do zrobienia.

Tym, które zwijają się same jak w ukropie, patrzona czy47.

jąś bezczynność, chwile tej bezczynności niewątpliwie są długie.

Każda minuta może wydawać się dwiema.

W kancelarii zaś człowiek, który przez ciągłe podkreślanie jakmu pilno do łóżka, stwarza nastrój pośpiechu, przez co czas zdaje się płynąć znacznie szybciej.

Komosa mieszka we własnym domu na peryferiach powiatowego miasta.

Jest akurat w domu.

- O, aż z Warszawy?

- Gładziwas.

- No, ja rzecz jasna do dyspozycji, tylko pożytku ze mnie tej sprawi tyle co nic.

Profesora Steinera nie znam i nigdy go nie widziałem.

O wypadku dowiedziałem się dopiero na drugi dzień, może jako jeden z ostatnich w całym mieście.

Leon Komosa ma lat siedemdziesiąt cztery, ale nie w nim nie kojarzę się pojęciem starości.

Zaopatrzony wiec.

Pracuje w dwóch sanatoriach po pół etatu, a w Naukowie na podstawie umowy-zlecenia.

To prawda, że w tamten piątek siedzieli z panią kierowniczką nad wykazami aż do gongu.

Wszystko przez kucharkę.

Nie ma żadnego sposobu, żeby się z nią poludzkudogadać.

Jak zaczęła rozrabiać z powodu szynki, że za dużo tłuszczy, można było zgłupieć do reszty.

Drzesię, jakby ją kto przypiekał, a głos, niech ręka boska.

Z tego całego zdenerwowania spisałnie tę szynkę.

Teraz dopiero była zabawa nacałego.

Nic się nie zgadzało.

Ani naleźność, ani waga.

Tak, w czasie tej awantury kilka razy wychodził do kuchni.

To było gdzieś około jedenastej.

W kancelarii pozostawała Magda, która wpadła wcześniej z żalami na instalację w oficynie.

Gdy wrócił do kancelarii na dobre, Magda jeszcze wierciła pani kierownicze dziurę w brzuchu, że kurki się nie dokręcają, że spod umywalek cieknie.

No i różnie takie.

Pani kierowniczką obiecała, że jutro, i popędziła Magdę.

Nie, potem już nie wychodził.

48 Tego dnia przyjechał później niż zwykle, tuż przed dziesiątą.

Pani kierowniczką nie wspominała mu o przyjeździe Steinera.

Rzadko zresztą rozmawiają o gościach.

Lalewicz był akurat w swoim gabinecie sam.

- A co wy, kapitanie - roześmiał się, gdy Zieliński wspomniał o późnej porze.

-My, w terenie, dawno już przestaliśmy wierzyć w życie pozasłużbowe.

Gdy się kiedyś trafido domu przed osiemnastą, kumoszkizaraz wypytują, naco to komendant zachorował albugo może zawieszono, różnie się przecież zdarza.

Albo są pewne, że to wcale nieja, tylko jakiś gaszek korzysta z męzowskiej nieobecności.

Podsuwa papierosy, zapala, gdy Zieliński, podziękowawszy, wsuwa do ust własnego filtra, popycha w kierunku gościa wielką popielniczkę.

- No i co, szanowna KG osierociła w końcu Naukowo?

- Jeszcze w starszej pani trochę życia kołacze.

- Zieliński patrzy na zieleń przeciwnej stronie ulicy.

Swoją drogą powietrze tu trochę lepsze.

Zaciąga się dochodząc do wniosku, że to rzecz bez znaczenia, skoro i tak oddycha się przeważnie dymem papierosów.

- Przynajmniej kołatało w chwili, gdy m odjeżdżał.

Niezłego haka mi wbiła.

- Haka?

- Uhum.

Takiego na dwanaście do dwudziestu minut.

- Synchronizacja niegra?

- Nie chce zagrać.

- Zieliński wyjaśnia.

-Jak myślicie,po czyjej stronie prawda?

- Cholera.

-Lalewicz dymi jak lokomotywa.

-A jamyślę, która mogła mieć motyw do kłamstwa.

Zresztądla większości kobietpojęcie czasu - księga na siedempieczeni.

Jedna mówi "dwadzieścia minut", druga "pięć",a przyjrzeć się bliżej, obie mówią o jednym i tym samym.

Na czym właściwie polega problem?

49.

- Cholera wie.

Nie lubię nie rozumieć.

Tymczasemproblem numer jeden to zaludnienie piętra.

Lalewicz mruży porozumiewawczo oczy.

-Jasne.

Nikogo nie ma,nikt nie mógł wejść, a ktoś zadziałał.

W duchy, psiakrew,wierzyć nie wypada.

No i kłopot.

Tocobyło dyskredytować przeciąg?

- Chyba że w którymś ztych zamkniętych pokojów.

Ostatecznie mała mechanizacja na szczeblu wytrycha.

- Uhum.

I wyszedł wtedy, gdy Hrynowska zamknęła się w kancelarii?

- Sęk w tym, że wtedy ani rusz.

Specjalnie nadśluchiwała, czy ktoś po tych schodach.

- Coś podobnego.

Co jej do głowy strzeliło?

- Z waszego polecenia.

Lalewicz robi wielkie oczy.

- Z mojego?

- Tak mówi.

Powiedzieliście, że bynikt niewchodził.

- Do pokoju.

- Ona zrozumiała: na piętro.

Fakt pozostaje faktem.

Nikt z piętra nie schodził.

Wniosek: jeżeli zeszedł, to później.

- Później byliśmy my.

- Ale jeszcze później odpłynęliście.

Wprost idealne warunki: nikt nie pilnuje, zamieszanie.

Lalewicz krzywi się.

Koncepcja nie bardzo mu odpowiada.

- W jaki sposób Warszawa sobie to wyobraża?

My w jednym pokoju różnetam czynności śledcze i wszystko, co przynależy, a morderca w sąsiednim, czeka, aż diabli nas wezmą i gwizdże bosanowę?

Może jeszcze rozciągnięty na łożku?

- Nie powiedziałem, że gwizdże i że na łożku.

Ale resztę, biorąc rzecz w ogólnych zarysach.

- Cholerne ryzyko - Lalewicznie jest przekonany.

50- Każde morderstwo to jednak kryzys.

A wykorzystanie któregoś z pokoi na piętrze.

- wykonuje nieokreślony gest.

- Nie było podstaw do ich przeszukiwania.

Liczył resztą pewno, że chwyci koncepcja przeciągu.

- No i chwyciła - stwierdza ponuro Lalewicz.

- Jakie wrażenie?

- Zieliński szybko zmienia temat.

- Opowiadają, że szalowa babka.

Podobno o połowę od niego młodsza.

- Podobno - kiwa głową Lalewicz.

- I opowiadają, że szalowa.

- Nie byliście obecni przy stwierdzaniu tożsamości zwłok?

-To ona nie była obecna.

Świadectwo lekarskie.

Tożsamość stwierdzał pracownik instytucji.

- Też dobre.

Dalszeczynności funkcjonariusze MPP.

Mnie to co.

Ale tak jakoś towszystko bez wydźwięku.

Pozbywanie się remanentu, który już nikomu do niczego nie może się przydać.

Zieliński bez komentarzy patrzy, jak Lalewicz końcemółwka przewraca pękaty portfel z krokodyla.

Ciekawe, ilu ludzi obmacywało to przedtem gołymi rękami?

- Pięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt w żywej gotówce - mówi Lalewicz.

- Na książeczce PKO trzydzieści pięć, nie licząc procentów.

Nie podejmowano ani grosza odświeżonej pamięci.

- Czterdziestak to już coś - przyznaje Zieliński - ale natym poziomie materialnym szóstka w totku ostatecznie tonie jest.

Samych poborów zbierał najmarniej dziesiątaka.

- Dla Steinerowej w ogóle nic.

No leżą u nas, zawiadomiliśmy.

A ona sobie bimba.

A jak się naczterdziestakabimba, pytam uprzejmie, ile tego musi być podreką.

- Zawsze jakiś tam drobiażdżek na otarcie łez.

- Zieliński patrzyz zastanowieniem na zawartość otwartychwalizek coś mi tu jakby odbiega.

51.

- Od czego?

- Kiedyś, jak komu nie wychodziło w tańcu, nawracałdo pieca.

My do Hrynowskiej.

Myzawsze do Hrynowskiej, jak cośniewychodzi.

A więc opowieść o skotłowanychrzeczach i kłębowiskukrawatów.

Lalewicz oglądaz nagłym zainteresowaniemkrawędźszklanej płyty na biurku.

Kto do choleryzdążył tak poszczerbić?

I właściwie kiedy?

- Funkcjonariusz, który spisywał rzeczy.

- Jasne - wzdychaZieliński.

- W sortowni chłopa by nawagę złota.

- Czy istnieje możliwość - pyta ze złością Lalewicz - aby po rozdzieleniu kotłowaniny na elementy, ułożyć jenastępnie w identyczny sposób?

- Hm - Zieliński trze czubeknosa - będzie jeden zerodla was, jeżeli sprezentujecie zdjęcie stanu pierwotnego.

Bo może ten chaos jest w jakimś sensie ścieżką.

- Że niby nie Steiner, a ktoś czegoś tam szukał?

- Uhm.

- Na mój gust bez kryształowej kuli nie ruszy.

Bo jak znalazł, to nie ma, a jak nie znalazł, także nie ma.

A czynie Steiner.

Steiner nam tego nie powie.

Morderca tymmniej.

- Rozumiem - uśmiech się półgębkiem Zieliński.

- Czyli że fotografii niema.

- Nie ma - potwierdza Lalewicz.

Jest niemal agresywny.

- Odpowiedzialność całkowicie na moich słabych barkach.

Koncepcja wypadku losowego powoduje siłą rzeczypewną kompresję czynności śledczych.

Zresztą, mówią szczerze.

- Domyślam się przerywa Zieliński.

Psu na buty.

Niewykluczone, że właśnie tak.

- Opróżnia walizkę.

Trzy garnitury.

Uważnie ogląda każdą sztukę.

Podchodzi dookna, gdzie widniej.

Nowe albosprawiające wrażenie no52wych.

Odprasowane.

Czyściutkie.

Pachną świeżością i dobrą wodą kolońską.

- "Makikalifornijskie" Atkinsona - stwierdza Zieliński.

Lalewicz wciąga powietrze nosem.

- Możliwe.

My tu powiat.

Gdzienam do high life'u.

Aleo stopiewyższych sfer,owszem,czytało się.

Walizki, cholera, ciuchy, cholera, wszystko cholera.

A nam starczy CDT.

Zieliński badamarynarę, w którejSteiner przyjechałdo Naukowa.

Leżała oddzielnie.

Tu także ani najmniejszejplamki.

Sięga poszare spodnie z szelkami.

Plamanadnogawką jest wprost niechlujna.

-Jak to pogodzić resztą?

- Nijak- Lalewiczwodzi palcem po nierównym kanciepłytyzszklanej.

-Jednospewne: z domu w poplamionychspodniach nie wyjechał.

Dowód na załączonymobrazku -oszczędny ruch głowy w kierunku rozłożonychna biurkurzeczy.

- Plamy nie daliściedo zbadania?

-Byłobyw aktach.

My tu więcej po wsiowemu.

Dorodzinnychalbumów ekspertyz Instytutu niewklejamy.

- Płynny tłuszcz - Zieliński udaje, że nie dostrzega kolącegotonu.

-Raczej awaria wdrodze.

Pomagalkierowcy przy naprawie.

Może się na tymznał.

- Zgadzasię.

Miał prawo jazdy - Steiner nie byłdlaZielińskiego istotą nieznaną.

-Ale, hm.

Przypuszczacie, że wczółgałsię pod wóz?

- No, aż do tego stopnia, raczej nie.

Kondycjanieta.

- A znów pod maską.

oliwa musiałyby na niego trysnąć.

Wykluczyć trudno, ale nie bardzo mi się widzi.

- Dlaczego?

Taksówka.

Jeżeli wóz na dorżnięciu, żaden cud nie jest cudem.

Pamiętajcie opłaszczu.

- Też racja.

Musiał mu sięgać za kolana.

A plama naudzie.

Wwozie płaszcz się nie zdejmuję, za to wychodząc 53.

do roboty przy motorze, owszem.

Śmiałbym się, gdyby ekspertyza stwierdziła olej jadalny.

- Poczucie humoru rzecz pożyteczna.

U mnie widać szwankuje.

Dodatkowe komplikacje jakoś nie bawią.

Jadalny, to znaczy co?

Jadł coś wozie?

- Niemógł?

- Mógł.

No, jadł, kapnęło.

Przepraszam.

Kapnięcie urzęda.

Musiało pocieknąć.

A płaszcz?

Na płaszczu ani śladu tłuszczu.

- Odwinął się.

- Czemu nie.

Więc płaszcz się odwinął, tłuszcz poplamiał spodnie.

A co z resztą tłuszczu?

- Wyrzucił.

-Cóż.

Potrafię sobie to wyobrazić.

Rozzłości się człowiek i buch przez okno.

- Zieliński przegląda zawartość drugiej walizki.

-Swoją drogą ciekawe.

- Co znowu znaleźliście?

-Nie znalazłem.

Ani szczotki do ubrań, ani przyborów do czyszczenia obuwia, ani nic.

- Znaczy się, gość nie miał wyczaju osobiście dbać o czystość swojej garderoby.

Stop - podnosi rękę -coś wita.

Problem trixi?

-Jeżeli brak mechanicznych środków, gdzie miejsca chemiczne?

- Sęk.

W żadnej z walizek ani śladu zapachu chemikaliów.

Na miejscu byłoskad.

Ale jeżeli nie ma trixi, jakie znaczenie ma plama?

- Żeby pomyślano: wszedł do umywalni czyścić plamę.

Trixi przecież też się znalazło.

Lalewicz przysiadana poręczy fotela.

- Dla mnie dobre.

Nie ma trixi, nie maplamy naspodniach.

Ręcznika ani mydła Steinerz walizki nie wy dostał.

Pytam uprzejmie, po kiego licha, ondo tej umywalni.

Bo napisuar miska za wysoka.

54- A gdziejest powiedziane, że ondo tej umywalni?

-Hm..

- Lalewicz ściąga brwi.

-Fakt.

Nigdzie.

Przychodzimorderca: "Dzieńdobry".

I łups Steinera żelastwem w kark.

Dalej już we własnym zakresie.

I plamę, i trixi, i upchanie zemdlonego w niszy.

Teraz już tylko przeciągi zatrzaśnięćdrzwi.

Koniec.

Czy nie tak?

- Wkażdym razie logicznie.

Gładko też.

Żeby jeschzewiedzieć, jak było naprawdę.

Zielińskiego i tak żółc zalewała, choć nie było właściwie żadnych trudności.

Że też, cholera, każdymusi powiedzieć swoje.

Duszo, nie ma czym oddychać, a ci jakże młynki.

"Stary" był młody, sprawiał zaśwrażenie jeszcze młodszego.

Świadomość, że tak jest, nie zawsze wpływała korzystnie na jego usposobienie.

Skoro kapitan musiał się prowadzić sprawę.

Wszyscy wiedzą, że w Wydziale Zabójstw.

Ale wszyscy wiedzieli, że to jest sztuka dla sztuki, bo nawet gdyby Zieliński chciał przejść, nigdzieby go nie puszczono.

Tylko że nie dalej niż dzisiaj rano ktoś powtórzył: "Iks nigdy nie przypuszczał, że w tak młodym wieku.

". Iks- oznaczało wartość, której nie dało się potraktować obojętnie.

Bolący odcisk został nadepnięty, dalej działało prawo reperkusji.

Wciąż przeszkadzano w trybie nagłym.

Tu wszystko zawsze szło w trybie nagłym.

- Nie - złościł się zastępca komendanta - ja bardzo przepraszam.

To nie są żadne warunki.

Następnym razem spróbujemy w budce przy MDM.

Może tam znajdzie się odrobina spokoju.

A .wogóle o czym dyskusja, kiedy wszystko jasne?

Starszy pan w nienagannie skrojonym garniturze wygłosił króciutkie expose.

Na podstawie aktualnego rozzezna-
55.

nia ministerstwa brak powiązań pomiędzy śmiercią profesora Steinera a wykonywanymi przez niego zadaniami.

Rzecz jasna każdej chwili mogą wyjść na jaw okoliczności zmieniające radykalnie cały układ.

Prosi, żeby pozostawać z nim w stałym kontakcie.

Pożegnał się i wyszedł.

Jego rola była skończona.

Potem podniósł się zastępca komendanta.

- No więc dobrze.

Ja osobiście nie mam więcej pytań.

Dla mnie gra.

- I poszedł, bo znowu się do niego dobijano.

Ze sprawą, która bezwzględnie miała być załatwiona przedwczoraj.

Szef wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie.

No to może ja pójdę na rondo kierować ruchem w godzinach szczytu.

Podpisał zresztą, co należało podpisać.

- Barcik tak.

Pirek?

Zresztą, co on teraz.

Niech będzie, skoro nie możecie bez niego.

Lalewicz oczywiście.

To się samo przez się.

Dalsze wnioski w miarę aktualnych możliwości.

Tylko wiecie.

Hm.. Środowisko cholernie uczulone.

Naukowcy i.

Zresztą, co ja będę.

Sami rozumiecie.

- Ktoś tu łze Barcik próbował zonglować paczką mentolowymi dwoma pudełkami zapalek, ale mu niewychodziło.

Odzwyczajał się od palenia.

Po takiej zabawie papierosy rzeczywiście nie bardzo nadawały się do użytku, wobec czego palił dwa razy więcej.

To znaczy te, które się już wykruszyły, uzupełniał innymi, których nie zdążył wykruszyć.

- Kogo konkretnie masz na myśli?

- pyta Zieliński.

Barcik otwiera paczkę, częstuje, nikt nie korzysta.

Zapalam, po chwili ma całe wargi oblepione okruchami tytoniu.

- W każdym razie do Spizowych Postaci to nie ja.

- Przyłączam się - oświadcza Pirek.

-Albo postać historyczna, albo świadek.

Przecież o Ręczlerze uczono mnie w szkole.

Niepotrafiłbym przesłuchać kogoś, o kim uczono mnie w szkole.

- Tak na was liczyłem - mówi Zieliński.

- Że załatwimy Ręczlera?

- Wręcz przeciwnie.

Że go nie załatwicie.

Znamy się od dziś.

A on przecież chrapie po całych nocach żonę i sztorcuje, gdy coś nie tak poradzi przy brydżu.

- I to ma nas niby zachęcić?

- pytasz sceptycznie Barcik.

- Nie.

To ma nie zachęcić.

Myślicie, że nie mam stracha?

Na przykład: uprzedzam historię o odpowiedzialności za fałszywe zeznania.

Wcale nie takie proste.

Jakoś.

no, cholera wie.

- Ręczlera?

-Pirek skrobie się z zakłopotaniem w szczękę.

-Przecież nie musisz.

- Zawsze się może zdarzyć, że będę musiał.

Apomyśleć, że chrapie, zaraz człowiek nabiera odwagi.

Bo ci napomnikach nie chrapią.

Resztę gości dzielimy uczciwie według łebków.

-Jak można uczciwie podzielić osiem łebków na trzy?

- zastanawia się Barcik.

-Bardzo proste.

Ty weźmiesz troje.

Dla nas z Pirkim zostanie po dwa.

Temat: czy rzeczywiście wszyscy pozostawali razem w godzinach dziewiąta -czternasta.

- Ze szczególnym uwzględnieniem odcinka jedenastatrzynastego
-trzynasta?

-precyzuje Barcik.

- A gdyby się okazało, że właśnie Ręczler w tych godzinach zniknął z pola widzenia?

-wtrąca Pirek.

- Dobrze - stęka Zieliński.

-Pirek mnie wprost wzrusza.

Żeby uprzedzić ze sto czterdziestego to nie.

Ale żeby podejrzewać o morderstwo.

Biurowo było monumentalne, generał był monumentalny, ale zachowywał się z prostotą.

- Morderstwo?

-No więc nie interesował się, Hrynowska 57.

przedstawiła jako nieszczęśliwy wypadek.

Steinera nie znał, nigdy nie zdarzyło mu się o nim słyszeć.

Swoją drogą, dziwny zbieg okoliczności: poprzedniego dnia prawie przejechały obiad dyskutowali o morderstwie.

Chodziło o wyrok w sprawie profesora Wuza.

Tandem: autor kryminalny i profesor logiki - uśmiech się generał - jak zaczęli roztrząsać elementy zbrodni doskonałej, zimno się człowiekowi robiło.

- Autorkryminalny?

-powtarza pytając Zieliński.

- Zenon Roleński.

Musiał pan coś jego czytać.

On płodzi systemem taśmowym.

- Chyba coś czytałem.

Ale Roleńskiego nie ma naliście gości przebywających w dniu śmierci Steinera w Naukowie.

- Gdyby był, nie byłoby dnia śmierci Steinera.

To brzmi całkiem tajemniczo.

Zieliński bezskutecznie siłuje wyłuskać pointę.

- Przyznamsię, że nie bardzo rozumiem.

- Proste, Roleński zajmował właśnie dziewiątkę.

- Rzeczywiście proste - potwierdził Zieliński.

Osoba Roleńskiego przestaje go interesować.

Pyta o wycieczkę do lasu.

W tym celu właściwie tutaj przyszedł.

- Umówiliśmy się poprzedniego dnia.

Radio zapowiadało wspaniałą pogodę.

Tym razem zresztą trafili.

Parę minut po ósmej byliśmy wszyscy po śniadaniu.

No i wymarsz.

- Czym mógłby pan generał wymienić imiennie, kto szedł?

- Proszę bardzo.

A więc profesor Sobczanski, ten od logiki.

Pani Siek.

Pani doktor Borska.

Dla odmiany chemia.

Profesor Pieska.

Ta sława od polonistyki.

Pani i pan Ley.

Oboje coś robią w PAN.

Jeszcze nie tak znani, by wiedzieć bez pytania, co mianowicie.

Poza tym docent Skulski.

Matematyka.

Moja żona i ja.

To już wszyscy.

58- Daleka wycieczka?

-Mekka tych lasów: tysiącletni dąb.

Około sześciu kilometrów w każdą stronę.

- Wróciliście państwo dopiero na obiad?

-Dokładnie na obiad.

Było tak późno, że nikt niewchodził nawet na górę.

Od razu do stołowego.

Podwzględem pory posiłków w Naukowie klasztorny rygor.

Punktualnie godzinie czternastej rozpoczynają podawanie obiadu, choćby się cały świat walił, a przy stole nie było nikogo.

- Czy przez cały czas trzymali się państwo razem?

Generał opiera skrzyżowane dłonie o brzeg biurka.

- Cóż, zdaję sobie sprawę z wagi tego pytania w danych okolicznościach.

Stracenie kogoś z oczu na parę minut, o ile się orientuję, nie gra roli?

- Oczywiście, żenie.

-Tak.

No więc trzymaliśmy się razem.

Ale w Czerwonym Uroczysku natrafiliśmy na tłące się poszycie lasu.

To jeszcze nie był pożar, ale nie potrafiliśmy zdusić ognia.

Może dlatego, że jedynym sprzętem pożarowym były nasze ręce.

Zrywanie mchów i wygrzebywanie spod nich ziemi, to jednak niszczy chyba gorzej niż zbieranie kartofli.

Niektórzy ludzie bardzo dbają o swoje ręce.

U pań to zjawisko niemal powszechne.

Wówczas profesor Sobczanski zaofiarował się iść do Sielni i sprowadzić pomoc.

- Czy to Czerwone Uroczysko jest położone dalej od Naukowa niż tysiącletnia dąb?

Generał potrząsnął głową.

- Bliżej.

Mniej więcej na połowie drogi.

Rzeczywiście sprowadził ludzi z łopatami.

Zanim wspólnymi siłami udało nam się zlikwidować ostatnie zarzewie, zrobiło się bardzo późno.

Umyliśmy się podrodze w strumyku.

- Jak długo trwała nieobecność profesora Sobczanskiego?

59.

- Około półtorej godziny.

Niecierpliwiąc się, że odsiecz nie nadchodzi, kilkakrotnie patrzyłem na zegarek.

- Hm.

-rozważa Zieliński-sześć kilometrów.

- Sześć i pół - koryguje generał.

-Bo jednak dowsijeszczco najmniej dwieście pięćdziesiąt metrów.

- To prawda.

Czy przez las idzie się tamciężko?

- Tego bym nie powiedział.

Żadnych gąszczów, bagien czy innych przeszkód utrudniających marsz.

Idzie się raczej zupełnie normalnie.

- O które jto było?

-Odszedł około jedenastej trzydzieści.

Wrócił z ludźmi cztery po trzynastej.

- Pan generał mówił, że zanim zdołaliście ugasić ostatnie zarzewie, zrobiło się bardzo późno.

To znaczy która?

- Trzynasta trzydzieści.

-Do tego mycie się w strumyku.

Ile mogło zabrać czasu?

- Nie więcej niż pięć minut.

-Czyli, że przebyliście państwo drogę do Naukowaw ciągu dwudziestu pięciu minut.

- Zgadza się.

Wzięliśmy ostre tempo.

Na obiad zapowiedziano befsztyki.

Specjalność kuchni Naukowa.

A coś wartę befsztyki, które czekają zbyt długo na talerzu?

-Różnica około pół godziny.

Bagatela- długopis Barcika przypomina zawisły w powietrzu wykrzyknik.

- Matko, nie przegrzewaj dziecka.

-Zieliński przekartkowuje notes.

-Takie proste to jednak nie jest.

-Jak dla kogo- włącza się Pirek.

- Dla niego proste.

Barcik marszczy się.

Nikt nie lubi, gdy gogasz.

- W czym problem?

-Tempo -wyjaśnia Zieliński.

Pirek zaciera ręce.

- Otóż to, czcigodny.

Trzy kilometry w pół godziny nieznaczy sześciu godzinę ani połówki w pięć minut.

-Doliczyłem pięć minut na drobne wydatki.

Tych ludzi przecież spotkał, jak szli z łopatami, gdzież tu więc strata czasu?

- Niechodzą ludzi z łopatami, tylko chciałbym zobaczyć, jak ktoś gna szósty kilometr z tą samą prędkością co pierwszy.

-Phi - Barcik wydyma lekceważąco wargi - jak może wynikać różnica na dystansie sześciu kilometrów?

- Kilka minut.

- Zieliński nie jest zupełnie pewny.

- Dziesięć-oznajmiakategorycznie Pirek- ostatecznie robiło się wsparcie.

-No więc dobrze.

Niech będzie, że dwadzieścia minut w zapasie.

- Wolnego.

Autrudnienie z powodu dojścia przez piach?

- Niech wam piach będzie lekki- wybucha Barcik.

-Więc w końcu jak uważacie: mógłby gospodarować jakąś ilość czasu czy nie mógł?

- No, coś tam.

-przyznaje łaskawie Pirek.

Zieliński patrzy w sufit, który w jakimś sensie odgrywa rolę katalizatora przy pracy szarych komórek.

- Mnie wychodzi około dwunastu.

-Mnie to samo -poważnieje Pirek.

- Sobczański zajmował pokój w oficynie?

-Tak - Zieliński przykłada całówkę do szkicu sytuacyjnego.

Naparterze.

Dwanaście minutświat czasu.

Skoczyć dosamego pokoju, złapać cotrzeba.

Potem napiętro.

Załatwienie Steinera, powrót, droga do bramy.

Ilew sumie na to potrzeba?

- Dziesięćminut z górą - decyduje Pirek.

-Jak gładko pójdzie, siedem też starczy.

Barcik szkicuje na bloku BardzoDziwną Rzecz.

Zresztąsam jeshczenie wie, co ma z tego wyjść.

- A co z poszóstną gardą?

61.

-Poszóstną?

- powtarza Zieliński.

-HrynowskaplusKomosa, plus czteryobywatelki z kuchni.

Psiakrew, nawetnie przypuszczałem, że aż tyle się tego zebrało.

- Świadkowie Dnia Ostatniego - Pirek przecierakawałkiemirchy szkła

swoich okularów.

-Absolutnie każdeczłowiek nacałym świecie ma codo tej sprawymurowane alibi.

No, bo skoro nie mógłwejsć, a niezostało ustalone, byktoś ukrywałsięw którymś z niezajętych pokojów.

- Nie wierzepiosence - oznajmia Zieliński.

-Bagatela - wzdycha Barcik.

- Zeznania sześciu świadków.

-A ja nie wierzę.

Wolnomi być niewierzącym.

W duchyteż nie wierzę.

Pirek kręciz powątpiewaniem głową.

- Trochę zbyt liczne kadry jak na znowę.

-Wcale nie twierdzą, że kłamią.

Są przekonani, że to, co mówią, jest prawdą.

Ale nią nie jest, bo coś się z czymśnie zgadza.

- Tylkojedno?

-dziwi się Barcik.

-Oklaski dla jasnowidza.

Ciekawe coś wybrał z całejkolekcji.

UśmiechZielińskiego nie jest najweselszy.

- Będziemy musieli wszystko dokładnie prześwietlić-stwierdza z rezygnacją.

Profesor Wojciech Sobczański, nieco wyliniały panokoło sześćdziesiątki.

Gabinetumeblowanyskapo, dywancienki, fabryczny.

Widać, że okres jego nowości minął dawno.

Na ścianach ciemne prostokąty po obrazach, które już nie wiszą.

Hm- myśli Zieliński -jakoś łysawo.

Początek rozmowy niemal identyczny.

- Morderstwo?

-nie tai zdumienia.

-Nigdy bym nicpodobnegonie przypuszczał.

Byłem pewny, że nieszczęśliwy wypadek.

Doktorowa Hrynowska przedstawiła to właśnie w ten sposób.

No i następnie w prasie.

Tak przecież62czytałem.

Prasa również pisała o wypadku.

Morderstwo?

- powtarza.

-Któż by Steinera.

Ido tegow Naukowie.

Nie, proszę mi wybaczyć, ale, mówiąc szczerze, nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Zatrzaśnięcie w umywalni, trixi, to wszystko razem sprawia wrażenie czegoś teatralnego.

Zbyt skomplikowane jak na prawdę.

- A przecież jest prawdą - stwierdza Zieliński.

Żeby profesor logiki był tak mało logiczny - dziwi się duchu.

Okazało się, że upraszczał zagadnienie.

- Prawda - mówi Sobczanski - ale w znaczeniu samego zdarzenia.

Steiner został zatrzaśnięty w umywalni, poniósł śmierć wskutek zatrucia wyziewami trixi.

To są fakty.

I one stanowią prawdę obiektywną.

Teraz pan, panie kapitanie, powiada: to zrobił ktoś trzeci.

- Dopuszczamy możliwość, że zrobił ktoś trzeci - poprawia ostrożnie Zieliński.

- Uhum.

A więc przypuszczenia.

Przypuszczenie to dopiero ścieżka, którą się wybiera, aby szukać prawdy.

Tylko że nie każda do tej prawdy prowadzi.

Czyżby pan był odmiennego zdania?

- Czyż tu może być odmiennie zdanie?

-Zieliński postanawia mieć się na baczności.

Na tym orzechu łatwo sobie połamać zęby.

- To, co powiedzialemo nieprawdzie, dotyczy rzeczoczywista nie faktów, tylko przypuszczeń.

Inscenizowanietych zdarzeń?

To przecież wymagałoby uprzedniegoobmyślenia i przygotowań?

- Niewątpliwie.

-Nie - potrząsa głową.

- Zbytzawile.

Trzebaby stawiaćna zbyt wiele zbiegów okoliczności na raz.

Czy wolno spytać, na czym zostało oparte przypuszczenie morderstwa?

- Niestety- Zielińskirozkłada przepraszającym ruchem ręce - pan profesor powinien zrozumieć: tajemnica śledztwa.

63.

- Rozumiem - uśmiecha się dyskretnie.

-Czy wolnodla odmianyzapytać, co znaczy pański uśmiech?

- pyta Zieliński.

-Hm.A nie pociągnie mnie pan do odpowiedzialności za obrazęurzędnika?

- Z całą pewnością nie.

-Bowidzipan, pomyślałem sobie, że taka formułka,to niezmiernie dogodna rzecz.

Można pod nią ukryć nie tylko wszelkie przesłanki, które powinny być zachowane w sekrecie, ale także.

zupełny brak wszelkich przesłanek.

Jasnowidz, psiakrew - Zieliński usiłuje nie okazywać, jak celnie został trafiony.

- Czy możemy pan powiedzieć, co pan miał na myśli, mówiąc o stawianiu na zbyt wiele zbiegów okoliczności?

- Pokój numer dziewięć, bo przecież tylko on posiadamy kaną umywalnię.

No i Steiner z trixi w tej umywalni.

Tęgo wszystkiego z góry nie można było przewidzieć.

Zieliński woli się powstrzymać od roztrząsania szczegółów.

Temat był śliski.

Zresztą on nie był tym, którym miał mówić.

- Czy pan znał Steinera?

- Owszem, od dość dawna.

Spotykaliśmy się raczej na gruncie towarzyskim i neutralnym.

Dyscypliny nauk, którym się każdy z nas poświęcał, były tak odległe, że kontakty zawodowe ograniczały się do współuczestnictwa w imprezach o charakterze ogólnorodowiskowym.

- Bywał panu tego w domu?

- Nie.

O ile mi wiadomo, Steiner nikogo nie zapraszał do swego domu.

Dlaczego?

Chyba w grę wchodziły komplikacje rodzinne - odpowiada po chwili wahania.

- To znaczy?

-Trudno mi powiedzieć.

Kursowały różne plotki.

Co za cel powtarzania plotek?

A konkretnego nic właściwie nie wiem.

64- Czy pan profesor wiedział, że Steiner ma przybyć do Naukowa?

-Tak.

Wspomniała o tym doktorowa Hrynowska.

- Kiedy to było?

-Jakieś dwa, może trzy dni przed tym fatalnym piątkiem.

Byłem akurat u niej w kancelarii, gdy telefonował jeden z sekretarzy PAN z prośbą, by zapewnić Steinerowi maksimum warunków pełnego relaksu.

Ona chyba w ogóle nim przedtem nie słyszała.

- Czy mówiła również o tym, że umieści go w dziewiątce?

-Nie.

To przecież było niemożliwe.

- Nie rozumiem.

-Dziewiątkę zajmował Roleński.

Ten pisarz powieści kryminalnych.

- Zwolnił przecież przed przybyciem Steinera.

- Tak.

Ale wtedy i kto tego nie był w stanie przewidzieć.

- Nawet Hrynowska?

- Nawet ona.

Roleński przerwał pobyt zupełnym niespodziewaniem.

Powiedziałbym nawet: nagle.

Z nikim się nie pożegnał.

Miał jeszcze pozostawać w Naukowie około dwóch tygodni.

- Jak był powód tak nagłego wyjazdu?

- Nie wiem.

Wtedy, jak już wspominałem, nie miałem okazji rozmawiania z nim.

Może powiedział Hrynowskiej.

Po opuszczeniu Naukowa nie widziałem go ani razu.

- Co pan profesor pomyślał, widząc, że Steiner nie przyszedł na obiad?

- Nic.

- O ile to możliwe, poprosiłbym o konkretną odpowiedź.

- Taką właśnie pan otrzymał.

Nie zastanawiałem się, z jakiej przyczyny nie zszedł na obiad, ponieważ w ogóle wyleciało mi z pamięci, że miał akurat tego dnia przyjechać do

Naukowa.

Byłem zmęczony, przyjemnie zmęczony65.

ny.

Pierwszy dzień pogody i pierwszy dalszy spacer oddwóch tygodni.

Trzeba panu wiedzieć, że jak na drugi dzień mego pobytu w Naukowie zaczęło lać, to lało prawie bez przerwy.

Bywały zresztą momenty, w których tylko siąpiło.

A już mżawkę musieliśmy uważać za szczytowe osiągnięcie pogody.

W ten zaś piątek wspaniałe słońce, niebo bez chmurki, no, człowiek się na oddychała za cały tamten czas.

Na obiad befsztyki.

Kucharka w Naukowie podobno ma przykry charakter, ale kreowane przez nią befsztyki są ponad wszelką konkurencję.

Rozmawialiśmy tym i owym.

Nie było powodów do przypominania sobie Steinerze.

Ostatecznie, nie byliśmy z sobą tak blisko.

- Tak.

- Zieliński ugniata filtra - rozumiem: zmęczenie, atmosfera relaksu przy stole.

No i wypoczynek fizyczny.

Ostatecznie taki kilkukilometrowy wypad.

- Wypad - dłonie Sobczańskiego leżą płasko na ciemnożółtym blacie biurka.

Są spokojne i nieruchliwe.

Nic w nich niemówi o reakcjach psychicznych- nie zmęczył mnie nadmiernie.

- Pomimo aż tak ostrego tempa?

- "Aż tak ostrego" - powtarza Sobczanski - mógłbym pomyśleć, że byłem obserwowany.

- Kłusownictwo na pańskich terenach, profesorze - uśmiech się Zieliński
- logicznie rzecz biorąc, musi być bardzo ostre tempo.

- Wniosek oparty na niezbyt pewnych przesłankach rodzi tylko przypuszczenie.

Bardzo ostre tempo mogłoby mi wchodzić w rachubę tylko w wypadku bezwzględnej konieczności.

- Pożar lasu chyba taką konieczność stanowi?

- Stanowiłby.

Tylko że nie był pożar lasu.

Tlił się poszycie.

Poszycie było wilgotne, drzewa nie zdążyły wyschnąć.

Deszcz przestał padać dopiero poprzedniego dnia dobrze popołudniu.

Nie zachodziło więc do 66 rażne niebezpieczeństwo rozprzestrzenienia się ognia.

Pośpiech, owszem, ale w granicach umiaru.

Brakło konieczności gnania na łeb, na szyję.

- Karty- rozpoczynając relację Barcik.

-Myślicie może, że przeprowadzenie tego wywiadu należało do łatwych?

- Nie myślimy - zapewnia go Zieliński.

Pirekoczywiście przepuszcza sposobności.

- Począwszy od kapitana, myślenie nie obowiązuje.

Barcik rozsiada się, otwiera paczkę silesii, z wnętrza sypie się pokruszony tytoń.

Patrzyz dezaprobatą, odsuwając chętnym ruchem paczkę, zwraca się do Pirka.

- Daj papierosa.

-Jak to: daj?

- Zwyczajnie.

Skoro moje się wykruszyły.

- Samesię wykruszyły?

Nie możesz używać do tych swoich żonglerskich numerów zapalek albo czegoś w tym rodzaju?

- Może i mógłbym.

Nie próbowałem.

Gdzie ten papieros?

- Masz- podsuwa mu nawet płomień zapalniczki - aley mniewykończysz.

-No to co?

Lepszych wykańczali i też świat się nie zawalił.

- Zaciąga się.

-A więc karty.

Poker słony jak stądo mostu.

- Poker ma sporowspólnego z logiką.

Profesor od teje powinienmieć szansę.

- "Tejże"- Pirek podkreśla w powietrzu -to zostałaadnie powiedziane.

-Sobczański pewno właśnie wychodził z tegozałożenia ciągnie Barcik alewidocznie w pokerze obowiązujeinna logika.

A od tej widać nie specjalista.

-Dużo wpadał?

-Mówiąo dziesiątkach tysięcy.

67.

- Nieźle - Pirek masuje nasadęnośa -jak mnie stuknąna setkę, zaraz sumienie gryzie.

A tu kilkadziesiąt patyków.

No cóż, według stawu grobla.

- Wtym sęk, żewcale nie.

Zarobki rzędukilku tysięcy.

- Plus wpływy z prac naukowych- dorzucaZieliński.

-Żadnych plusów.

Tyle tych prac co kot napłakał.

Kilkatysięcy tojużglobalnie.

Bez przeciętnej oberchapków byłoby za ledwie parę.

Dane od czynników uniwersyteckich.

Pewności zaufanie.

Mucha nie siada.

- Zarabiakilka, przegrywa kilkadziesiąt.

- Pirek w roztargnieniu bierze papieros, stwierdza jego wiotkość i pełnym niesmaku ruchem wyrzuca do kosza.

- Coś tuniegra.

- Wręcz przeciwnie - protestuje Barcik.

- Jeszcze jak gra.

Sobczański mianowicie w pokera.

- Zasoby lepszych czasów.

Twarde wdoniczczę drzewkiem szczęścia.

Pękataksiążeczka PKO.

Wujek w Ameryce.

- Guzik - ucina Zieliński.

- Biurko za trzy grosze i obrazy, których nie ma.

Łyso odsamego progu.

- Masz trafienie - przyznaje Barcik.

- Łysiny się zasłania pożyczkami.

Irzeczywiście, proszę wysokiego sądu.

Gość po uszy wdługach.

- Dobrze.

-Zielińskiego ogarnia podniecenie.

-U kogow tychdługach?

- Drobiazg.

-Barcik wyrzuca do kosza drugi papierosrzędu.

-Kocham takie pytania.

U kogo w długach?

Inneokoliczności?

Sposób zabezpieczenia?

Czy wierzyciele duszą?

Owszem, ciekawe.

Ale po odpowiedź nie do mnie.

Gdybym wszystko wiedział, poszedłbym wygrywać telewizor.

A nie żeby z takimi, których trzeba błagać o każdy papieros oddzielnie.

-Co mi pozostało dostracenia?

- pyta Pirek głosem pełnym rezygnacji.

-Nic mi nie pozostało do stracenia⁶⁸- kładzie przed Barcikiem otwartą paczkę - adios papierosy.

Ale to rzucanie.

To zamawiam.

Dorzucania używaj własne.

- Znał się z Sobczanskim - wysuwa Zieliński.

- Może Sobczanski też grywał wysoko w pokera.

- Marzyciel to niczym niemowlę - bezmiar pobłażliwości w tonie Pirka zdolny był wyprowadzić z równowagi anioła - wierzy, że mu wszystkogołowe wpadnie dogąbki.

- Któż niepotrafiłby ocenić doskonałego piękna kompozycji: Steiner w roli tego, który zgrywa donitki Sobczanskiego.

- Może i zgrywał - Barcik przebiera papierosy w paczce.

- Brak danych.

Taki dzings niełatwo wyskoczy.

Steinernie powie.

- Prosta droga, znaczy: Sobczanski - stwierdza Pirek.

- Uhum - potakuje Barcik.

- Czym może być prostsza?

- Prosta - wścieka się Zieliński.

Sam przecież wie.

Ale w kontekście podobne pytanie nabiera niemal wagi oskarżenia.

- Dlaczego go więc nie zapytacie?

- Marzyciel - powtarza Pirek.

- Teraz znów mu się marzy, że niezadługo załatwimy pana profesora od logiki.

Aprzecież sam go sobie przydzielił.

-Gdzie tu problem?

- zastanawia się Barcik - No, przychodzimy, no, obsiadamy gościa z dwóch stron.

Dzieńdobry, dzień dobry.

Czy te kilkadziesiąt kół przegrał pan profesor akurat do denata, gdy był dopiero kandydatem na denata?

O ile tak, prosimy o łaskawe przyznanie się do małego morderstwa.

Agdy się okaże, że nie do denata, że nie kilkadziesiąt i nie w pokera, może się też okazać, że pan profesor nas załatwi, aniemy pana profesora.

- Nie lubię być załatwianym - krzywi się Pirek.

-A kto lubi?

Był pewien frajer, który się nadstawiał za Wyższe szarże, ale wybył, gdy go ożenił z żoną jednej z nich w ramach upłyniania zbędnych rezerwów.

69.

Panięskie nazwisko Hrynowskiej brzmiało Trzciska.

Podawała trzy adresy.

Na Sadowej mieszkała czterdzieści lat temu.

Tamtego domu już nie było.

Teraz straszy murowana stodoła z zakresu urbanistyki łupanej.

Wbrew przewidywaniom sprawa potoczyła się gładko.

Dozorca podaje adres poprzednika.

- Zналиśmy się przed wojną.

- Parę minut drogi, drugie piętro, tabliczka: "Punkt usługowy".

Stary człowiek chętnie powraca do wspomnień.

Tak, był tam dozorcą.

Trzciniński?

Oczywiście.

Jego nieboszczka służyła u nich przez parę lat jako pokojówka.

Cztery pokoje, pierwsze piętro, oficyna.

Pan Trzciniński był prokuratorem w banku, panna Elżbieta skończyła pensję na początku tamtej wojny.

W dziewięćset piętnastym roku została sanitariuszką w wojskowym szpitalu, taka wtedy nastąpiła moda.

A potem, już za okupacji, gdy pan Trzciniński zachorował i cienko się im przedło, znowu pracował w szpitalu, lubiła to.

"Pójdę na medycynę" - powiadała zawsze.

A no stała się inaczej: doktora Hrynowskiego poznała w dwudziestym drugim czy nawet trzecim.

Mieszkała w Kredytowej.

Pan doktor zginął w czasie powstania, aleco dalej.

- rozkładające.

Starzy Trzciniński nie przeżyli wojny, jego żona również, zabrakło

kontaktów.

Ciekawe- zastanawia się Zieliński -tyle lat pracy w szpitalu i nie potrafiła od razu się zorientować, że Steinernie żyje?

Na Kredytowej ani ślad ludzi, którzy mogliby coś powiedzieć o Hrynowskiej.

Próby odtworzenia tego okresu życia należało uznać za nierealne.

Dom na Polnej ocalał.

Tendźniczka był tu dopiero od niespełna dwóch lat.

Oczywiście nie wiedział.

W ADM-ie podają adres poprzednika.

-Wątpliwe, czy chętnie będzie wspominał tamte czasy.

-Dlaczego?

70-Jego syn, oho, ho.

Dyrektor.

Z tych ważniejszych.

Daleki Żoliborz.

Nowe budownictwo, meble na wysoki połysk.

Gąbczasty nos upstrzony gęstą siatką fioletowych żyłek.

- Zgadza się, byłem tam za dozorcę.

Doktorowa Hrynowska?

Owszem, mieszkała.

Ale żeby jakieś szczegóły?

Panie kochany, po tylu latach.

Zdawałoby: porzućcie wszelką nadzieję, ale polichromianosa ma swoistą wymowę.

Tutaj trzeba przez bufet.

Przez bufet da się załatwić wszystko, jeżeli tylko jest coś do załatwienia.

Zieliński znapewien lokal w pobliżu.

O tej porze powinno być jeszcze pusto.

-Przy szkle - mówi Zieliński - łatwiej wspominać.

-Hm..

- noszący nabierać samodzielnego życia.

Chrząknięcie nie jest jeszcze zgodą, ale nie wyraża niechęci.

-Ja oczywiście zapraszam.

To decyduje.

Idą. Jest zacisznie i pusto.

Stolik na uboczu.

Zieliński napelnia kieliszki.

Gość nie mówi nie.

Potem już odpadają pot z napełnianiem.

Robi to sam we własnym zakresie.

Zieliński wciąż ten pierwszy, można rzec: urzędowy, niemal kropla po

kropki.

Gąbczastemu nosowi to wisi.

Wyrabia planszybkościowy za dwóch.

Kolejkilecą do centrali nonstop, poziomzawartości karafki
opadawtempiealarmującym.

Zielińskiego ogarnia panika.

Przy takim sprinciesytuacja grozi katastrofą.

I żeby choć płacił ciekawymśłowem.

Nic z tych rzeczy.

Gębęotwiera tylko by wpuścić kielichaalbo coś na ząb.

Żadnego gadania.

To nie jest konwersacja.

Tojestkataklizm.

Pokazuje się ludziom, psiakrew, te koniaki, teszałoweochlaje, caledolce
vita MO w ramachpościgu, co dziwnego, że potem każdy by też rad.

Były dozorcaz Polnej bez zahamowańwytrząsa tę karafkę nad swym
kieliszkiem itenwzrok jakby go kto tę71.

pym nożem.

Złamane życie.

Płakać,ale zamawiać.

Rzecz zresztą była do przewidzenia.

Koloryt nie pozwalał się ludzić.

A jeśli zakwestionują tę drugą karafkę, trzeba będzie z własnej kieszeni.

Na filmie nic nikomu nie kwestionowano.

A w życiu wowszem.

W życiu zdarzało się.

Zieliński patrzył ukosa: gąbczasto nosy przypina się do nowej centrali jakby całymi tygodniami niewidział nikropi.

Dobra.

No, cóż, na równej drodze też można obie nogi połamać.

Leci jeden kielich, leci drugi, ale trzeci już nie.

Zieliński mało oczu nie przeciera.

Facet szkło nabok, wrękuje playery, częstuje, podaje ogień.

Sam wybiera, nie zapala, postukuje o pudełko, zamyśla się.

Nicpo nim nie znać, że tyle wchłonął.

- Doktorowa Hrynowska.

tak. No jakże bym mógł nie pamiętać.

Wszystko przecież na oczach.

Raz byłoz niątak,razinaczej.

Jakw życiu.

Ale pod koniec całkiem sięzałamało i tylko wdół i w dół.

Zupełnie, znaczy się, niedobrze.

A w roku pięćdziesiątym czwartym.

To już przyszłonajgorsze ze wszystkiego, bo ona siostrzenicę kochała więcej niżniejedna rodzoną córkę.

-Jaką znów siostrzenicę?

- Zieliński stara się nie okazać zniecierpliwienia.

-To pan niewie, że życie sobie odebrała?

-Siostrzenica?

- No ta, co wyszła z profesora Steinera.

Zieliński otwiera usta, potem je zamyka.

Oczy mu wyłazą zorbit.

Jestcałkiem zatkany.

Zupełnie jakby naglepałką w łeb.

- Co.

hm..- przełykaślinę.

Na taką rzecz przecieżniemógł być przygotowany.

Łapie kurczowo powietrze.

Trzeba się jakoś zebrać.

- Ach, ta.

- mówi powoli - siostrzenica.

No tak.

Jasne.

Ta, co wyszła za Steinera.

Więc powiada pan w pięćdziesiątym czwartym?

72- Nno.

- niezapalony players tkwi pomiędzy palcami ołówka.

- Nie przysięgłbym.

Kawał czasu.

Może w pięćdziesiątym piątym.

Zresztą kociło się od samego początku.

Ile razy patrzę, a ona przylatuje do pani doktorowej z gorzkimi łzami.

Okna tam zawsze na oścież, rzecz jasna każde słowo.

- Rozumiem - Zieliński bębni pokręciastym obrusie - rozumiem.

Iz jakiego ona to powodu?

- Uczucie miało delikatne - zapala z namysłem papierosa.

- A ten cały Steiner, cóż z tego, że profesor?

Ordynarny za przeproszeniem kur.

hm..dziwkarz.

Nie była w stanie tego znieść.

I którejśnocy głowę do piekarnika, gaz na cały regulator.

Koniec pieśni.

Najgorzej, żenie na śmierć.

Długo szła przez mękę do swojej śmierci.

Doktorowa wrzeszczała, jakby ją kto żywcem ze skóry: "Zapłaci.

Za każde jej westchnienie zapłaci.

Nie byłoby chyba Boga w niebiosach.

Jasama, własnymi rękami ten jego oślizgły łeb do gazu.

Choćby mnie to życie miało kosztować.

".Zielińska zaciąga się.

Coś aż za fajno.

Jak w kryminałce, której autorowi nie chcesz wysilać.

- "Niech posmakuje, jak ona cierpiała" - powiada - ciągnie dalej gąbczastonosy - "dopiero potem pozwolę mu umrzeć" - obserwuje narastający na końcu papierosa jasnoszary stożek.

- Jak takiej rzeczy nie zapamiętać?

- A skąd.

Miała taką jedną od serca.

Przyszła ją pocieszać, to było po pogrzebie.

Wtedy właśnie.

- Znapan nazwisko?

-Co mniedo nazwiska?

Przychodzi, to przychodzi.

Każdemu wolno.

Barcik skrobie się paczką mentolowych w podbródek.

- Łeb do gazu?

Lepszy numer.

73.

Pirekjest zupełnie załatwiony.

- Bomba, psiakrew.

Wizyta ustarszej pani.

Przyjeżdżano i spotkanie w Naukowie.

Wyobrażam sobie, co musiałczuć.

Ale na odwrót było już za późno.

Barcikodkładapapierosy.

- Gdzie jest powiedziane, że ją w ogóle znał?

-Jedno ogniwo musi być fałszywe-zabiera głosZieliński.

- Na przykładZiembra.

-Dlaczego akurat ona?

- Barcik nie poważa zbytlichuproszczeń.

Zielińskizgarnia z biurka rozsiane przez Barcika okruchytoniu.

- Nieważne "dlaczego".

Ważne "czy".

I to właśnie przyjdzie w każdym razie ustalić.

Bo jak nie ona, to ktoś inny.

Ale jakaś luka musibyc.

Dla Hrynowskiej potrzeba by tylko kilku minut.

W tak gorącym dniu jak wtamten piątek kilka minut łatwo się mogło zgubić.

Ostrym ruchem odkłada torebkę.

To zaczyna już przechodzić w jakąś manię.

Zanim się spostrzegła, znowu znajduje się w jej rękach.

Nie myśli o torebce.

Myśli o tym, co dalej.

Gdy się doszło do takiego momentu, trzeba wyciągać wnioski.

Tu już nie można ani naprzód, ani w tył.

Tu już w ogóle nic nie można.

Chowanie głowy w piasek nie daje żadnego rozwiązania.

Nie łatwo wyciągnąć wnioski.

Są właściwie jednoznaczne.

Tym ciężiej się pogodzić z tym, co przyjdzie potem.

Jest starą kobietą.

Dla starego człowieka wszystkostante sięniełatwe.

Dopiero co wyszła stądRóżia.

Prosiła, żeby jązwolnić.

Chciała odejśćjeszcze dzisiaj.

- Nie chcę za te dni,co przepracowałam, nie chcęświadectwa, nicnie chcę, tylko niech mnie pani pozwolizabrać manatki.

74Niekiedy nazywała pieniądze: "krwawica".

Musiała siębardzonaharować, aby zarobić.

Perswazje Hrynowskiejosiągnęłypołowiczny skutek.

Różia zgodziła się tymczasem pozostać.

Była także kucharka.

Ta nie prosiła o zwolnienie.

Przyszła się wyżalić.

-Jak żyję, nie byłam wmieszana w takie coś.

Trudno było zrozumieć, w jakimśensie uważa, że została wmieszana.

W całej kuchni nastrójpaniki.

Geniaprzycupnęła na niskim taborecieprzy piecui szlocha:- Nie ma sposobuprzemówieniajej do rozumu.

Nicdo niej nie dociera.

Szlocha tak bez przerwy odpół godziny.

Od chwili, gdy milicja zabrałaMagdę.

Zabrała?

Hrynowska przesuwa fakty jak paciorki różańca.

To jednaknie było dokładnie tak.

Różia powiedziała:- Tylko czekać jak jedną po drugiej w kajdanach.

Ten milicjant był wNaukowie po razpierwszy.

- Chodzi o pośpiech, dlategoradiowóz zamiast,żebyprzez telefon.

Niemal sięprzestraszył, widząc, że Magda gotowa wybuchnąć płaczem, jak jądo tego samochodu.

- Co obywatelka?

Pankomendant powiedział, że najdalej zagodzinępodrzucimyobywatelkęz powrotem.

Ale na dobrąsprawę, co takiwłaściwiemoże wiedzieć?

Przysłali z wezwaniem,oto całe jego zadanie.

-Jestem niewinna.

Zieliński mruży oczy.

Co ona tak?

Nikt jej przeciezo nic nie oskarża.

Nasuwa się myśl o jakiejś niewykrytejkradzieży.

Nie maochoty zawracać sobie głowy, ale skorosprawa została postawiona w ten sposób.

- Wczym niewinna?

-pyta podchwytliwie.

- Niewinna - powtarza dramatycznie.

Machnął ręką.

W ten deseń można donocy.

75.

- Jeszcze raz przedrzam o odpowiedzialności za fałszywe zeznanie.

Wytrzeszcza na niego oczy.

- Ja..

miałabym fałszywie?

Ja? - Twarz cała w cętki.

Nerwy ponoszą.

Bolkoś byłby rad, że może błysnąć erudycją.

- Grozi pięć lat więzienia.

Magda kuli się na krześle, jakby już została skazana na te pięć lat.

- Ja zawsze tylko samą najszczerzą prawdę.

- Proszę dokładnie opowiedzieć, co świadek robił tamtego dnia do obiadu.

- Jakiego dnia?

Zieliński zaciska w palcach długopis.

Tylko spokojnie.

Dla niej dniem zero może być jakiś zupełnie inny dzień.

- Mam namyśli dzień śmierci profesora Steinera.

Jakbytrochę się uspokoiła.

- Więc z samego rana byłam woficynie.

Tak unaspostanowione.

Bo może któremuś z gości trzeba usłużyć albo co.

Potem.

- wszystkie szczegóły zgadzają się dokładnie z tym, co podała poprzednio.

Zieliński żuje wargę.

Nie po to ją sprowadzał, żeby się zgadzały.

Atakuje.

- W czasie tej rozmowy oszynkę Komosa pozostawał około dwudziestu minut w kuchni.

Przypominasz sobie świadek?

- Było tak, że jak poleciał do kuchni, długo nie wracał.

Ale czy akurat dwadzieścia minut.

- Kto w tym czasie pozostawał w kancelarii?

- Nno.

Pani kierowniczkai ja.

- Nikt inny wtedy do kancelarii nie przychodził?

- Nikt.

- Kierowniczka nie wychodziła?

-A skąd.

Ani nawet wstała.

Przez cały czas zatym swoim biurkiem.

76 Zieliński odginanaróżnik blankietu.

Jeśli rzeczywiście przez cały czas, to niewypał.

Wciąż jednak nie wierzy.

- Świadek również nie wychodziła?

-Nie.

Uderza w nią ostrym spojrzeniem.

- Czy aby napewno?

-Na..

na pewno-ale przecież zająknęła się.

- Ani nawet nachwilkę?

-nie daje jej złapać tchu.

-Niech sobie świadek dokładnie przypomni.

Za kłamstwo pięć lat więzienia.

- Aleja.

-nagle policzkijej spływają krwistym rumieńcem.

Zarzewie przebija aż do szyi.

Patrzy na nią spodoka.

Co znowu u licha?

- O tym nie będę przecież mówić.

-Cotakiego?

- ledwo nie podskakuje.

-Obowiązkiem świadka jest powiedzieć wszystko, co wie.

- Ale to.

-wierci się niespokojnienna swym krześle- o takich rzeczach.

No jakbyto wyglądało, żeby do protokołu.

-Jeżeli obywatelka ma ochotę zostać oskarżona z artykułu sto czterdziestego.

-Jezusie najśłodszy -wyciągaramiona, jakby wzywałanatychniastowej ingerencji niebios - Oskarżona.

No to musiałam wtedy za swoją potrzebą.

- Na długo świadek wyszła z kancelarii?

-Skąd tam długo - widać, że temat ją uwierają jak ciasne pantofle - wyskoczyłam.

- Minuta, dwie?

-Eee.

tak krótko takżenie.

Bo jak już trzeba o tym, to i wody nie było, miałam bóleści.

Trochę musiało potrwać.

- Dziesięć minut?

-Całych dziesięciu chyba nie.

- W każdym razie kilka?

77.

- Kilka to zeszło.

Wystarczy - Zieliński kręci długopis w palcach - aż nadto wystarczy.

Hrynowska mogła całą sprawę załatwić nawet w granicach poniżej pięciu minut.

- Czy świadek się orientuje, o której to mniej więcej mogłoby być?

- Niedługo przed dwunastą.

W dozorcówce grało radio, a hejnał był dopiero wtedy, jak mnie panikierowniczka już odesłała do kuchni.

- Po powrocie Komosa do kancelarii?

- Tak.

Pan Komosa, znaczy się, załatwił z tą szynką i więcej do kuchni nie miał potrzeby.

Tym razem Zieliński zajął miejsce za biurkiem.

Hrynowska przed nim, oni trzej w pobliżu drzwi, a drzwi rzecz jasna nie miały z tym nic wspólnego.

Starakobieta, ich czterech, byłoby śmieszne.

Po prostu usiedli, gdzie stały krzesła, nie było powodu do ich przestawiania.

Hrynowska znówu maltretuje torebkę, co ona z tą torebką?

Zieliński przekalkulowuje jeszcze raz plan rozgrywki.

W takiej torbie śmiało zmieściłoby się pudełko trixi, buteleczka oliwy i odważnikczy tam co.

Przy odtwarzaniuprzeciagu w dziewiątceHrynowska nie miała z sobą torebki.

Nigdy się z nią nie rozstaje, ale akurat wtedy.

Torównieżmoże nie być pozbawione znaczenia.

Lalewicz przyglądasięz zainteresowaniem oknu.

Drewno imetal lśnią bielą emalii, tu siębardzo kurzy, alena szybach nie ma ani śladukurzu.

Zresztą oknogo nicnieobchodzi, ale woli nie patrzeć wkierunku Hrynowskiej.

Nie wierzy, żeby to ona.

Pomimo wszystkonia.

ZatrzasnąćSteinera w umywalni,to nie budziło sprzeciwów.

"Śmierćza śmierć, niech poczuje,jak to się umiera od gazu.

"Ale wszystko wskazuje,że Steiner został ogłuszony pozaobrębemumywalni.

No więc jak?

Wchodzi, waligo żela-

78

zemw kark, wlecze bezwładne ciałodo umywalni i tamgo upycha.

Właśnie:"upycha".

Trudno to w inny sposób nazwać.

Nie, Lalewicz nie był w stanie wyobrazić sobie Hrynowskiej w tym obrazie.

Pirek myśli: zdawałoby się, gdzie jej tam do tego, co zrobiono ze Steinerem.

Stara, słaba kobieta, a Próchnik mówi: "Pani kierowniczka tę paczkę prawie że jedną ręką.

Aż wierzyć się nie chciało, że trzydzieści kilo".

Zieliński przekartkowuje akta, rozkłada blankiet, nadczyms medytuje.

Film w zwolnionym tempie.

Numer przechodzi bez wrażenia.

Rumieńce na policzkach Hrynowskiej aniocien niezmieniają swej początkowej barwy.

Z resztą od początku niesą prawdziwe.

- Więc cóż- długopis Zielińskiego dziobie powietrze.

- Nie powiedziała nam pani prawdy.

W oczach nagły wyraz napięcia.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi?

- O Steinerze.

Teraz już wiemy wszystko.

- Tak?

- zupełnie jakby ją nie obeszło.

Jakby w ogóle nie rozumiała.

Oczywiście zagrane.

Ale zagrane w sposób niesłychanie sugestywny.

- Wiemy, że pierwszą żoną Steinera była pani siostrzenica.

- To jakieś nieporozumienie.

Nigdy nie miałam siostry.

- No więc krewna, którą pani kochała jak córkę.

Hrynowska prostujesz się sztywno.

- Nie bardzo rozumiem, jaki cel ma cała ta rozmowa.

Zechce pan jednak przyjąć do wiadomości, że moja córeczka umarła, mając niespełna pół roku.

To było prawie czterdzieści lat temu.

Od tej chwili nikogo nie kochałam tak, jak się kochałam własne dziecko.

- Świadek Caber zeznał.

- Kto to jest Caber?

- O! - Zieliński patrzy na nią przymrużonymi oczyma.

Nazwisko Cabernic paniniemówi?

79.

- Caber.

- trzepalcem brwi - Caber.

Tak, niewątpliwie znam skądś to nazwisko.

Tylko jakoś mi się niekojarzy z konkretnym człowiekiem.

- Ciekawe.

Jak długo panimieszkała na Polnej?

- Och, długo.

Prawie dziesięć lat.

- Wyprowadziła się pani w czterdziestym czwartym?

- Na początku pięćdziesiątego piątego.

- Wkrótce czas po tym, jak pierwsza żona Steinera popełniła samobójstwo - rzucił Zieliński w przestrzeń.

- Nie wiemy o żadnym samobójstwie.

Nie znam Steinera ani jego żon.

Wyprowadziłam się po otrzymaniu posady w Naukowie.

Ale co to wszystko ma wspólnego z nazwiskiem Caber?

- Caber był wtedy dozorcą tego domu.

- Ależ oczywiście - wołał Hrynowska z ulgą - dozorca z ulicy Polnej.

Że też mogłam zapomnieć.

- Dziwne, prawda?

- Wtrąca Zieliński.

- Szczerze mówiąc, nie tak znów bardzo.

Mało z nim miałam wspólnego.

Nie wiem, czy przez całe te dziesięć lat zamieniliśmy choć pół setki

słów.

- Natomiast on miał z panią znacznie więcej wspólnego.

Czy pani dawiare, że zapamiętała każde słowo wypowiedziane przez panią przy otwartym oknie.

Nie jest pani zaskoczona?

- Och, jak najbardziej.

Wątpię, aby któreś ze słów wypowiedzianych przez mnie przy otwartym oknie warto było zapamiętania przez pana Cabera.

Do tego cię ciągnęła.

Poza tym wysłuchiwanie z podwórka czegoś, co się mówi na trzecim piętrze.

- Chciała pani powiedzieć: na parterze.

Hrynowska podnosi głowę.

- Proszę mi wybaczyć, ale to zaczyna się stawać wprost śmieszne.

Nie potrafię dowieść, że nie kochałam pierwszej żony Steinera jak rodzonej córki.

Nie potrafię dowieść, że jej nie znałam ani że w ogóle nie widziałam, jak żyje, na oczy.

Takiej rzeczy nikt o kim nie potrafi dowieść.

Natomiast jeżeli chodzi o fakt zajmowania sublokatorskiego pokoju w mieszkaniu pani Santorskiej na trzecim piętrze, nie będzie z dowodami najmniejszych trudności.

Pomijając już zeznania samej Santorskiej, mamy przecież do

dyspozycji książki meldunkowe.

Niewypał.

Zieliński usiłuje zachować dobrą minę.

Znowu niewypał.

Tym razem zdawałoby się, idzie na pewniaka.

W jaki sposób właściwie to się mogło stać?

Gąbka, owszem, koloryt, owszem, permanentny pijak, to wszystko grało.

Ale żeby ni stąd, ni zowąd wyssać sobie z palcatego rodzaju szczegóły?

Szlag bywały ten interes.

- Opieraliśm się na zeznaniu Cabera - uderzyłw szczerość.

Nie widział zresztą w tej sytuacji innego wyjścia.

- To on opowiedział, że pierwszą żoną Steinera była pani ukochana siostrzenica.

Że postępowanie Steinera popchnęło ją do samobójstwa.

Że włożyła głowę do piekarnika i otworzyła gaz.

Że po powrocie z pogrzebu przysięgała pani wobec swojej przyjaciółki odpłacić Steinerowi za tę śmierć taką samą monetą.

Że wykrzykiwała pani: „Jasama, własnymirem koma ten jego oślizgły łeb do gazu.

Niech posmakuje, jak ona cierpiała.

"- Aż tak?

- Była niewątpliwie przejęta.

Tylko że to nie była reakcja kogoś bezpośrednio zainteresowanego.

- Aż tak.

Wszystko to działo się przy otwartym oknie na parterze.

Dlatego Caber mógł dokładnie wysłuchać.

- Parter- Hrynowska przesuwa ręką po twarzy.

- Toprzeć tłumaczy wszystko.

Jak mogłam nie zorientować się od razu.

Skleroza.

- Dwie doktorowe Hrynowskie w tym samym domu?

- domyśla się wreszcie Zieliński.

- Tak.

Przypuszczam zresztą, że w pojęciu Cabera tylko jedna.

Ta z parteru.

Jej mąż tam praktykował, tam zmarł.

81.

Każdy wiedział: "doktorowa".

Ja nigdy nie wspominałam, że jestem wdową po lekarzu.

Nie było powodu.

Elżbieta Waleria Hrynowska z domu Trzciska zameldowała się dnia 15 grudnia 1945 roku jako sublokatorka Zofii Santorskiej w mieszkaniu na trzecim piętrze w oficynie.

Małżonkowie doktor Edmundi Natalia Hrynowskybyli zameldowani
w mieszkaniu numer dwa na parterze od roku 1936.

- Nie - mówi Caber -nie wiem, czy pani Hrynowska od Santorskiej była
doktorką.

Nigdy mi o tym nie mówiła.

Zresztą, jakie tam były nasze rozmowy.

Że zimno albo puł, a najczęściej jak akurat, co padało.

Wątpię, żeby mogły być spokrewnione.

Nie znały się.

Ani dwóch słówz sobą nie zamieniły przez cały ten czas.

Pierwszą wyprowadziła się doktorka, a ta z trzeciego chyba w parę
miesięcy później.

Książka meldunkowa stwierdza: Natalia Hrynowska zameldowała się
dnia 10 września 1954 roku na Solec.

Elżbieta Waleria Hrynowska zameldowała się 15 stycznia do Naukowa.

-Ja tam w szczegóły nie wchodzę - zastrzega się Caber czy
doktorka zamieniła swoje mieszkanie, czy jakoś inaczej.

Nie mojarzecz.

Tego metrażu sama w każdym razie utrzymać nie mogła, a z sublokatorami
wiadomo: kłopot.

- Ile czasu upłynęło od śmierci siostrzenicy?

- Będzie ze dwa, trzy miesiące.

Ale tak sobie myślę, że ona od samego początku zaczęła szukać sposobu,

żeby tylko z tego domu się wyprowadzić.

Za bardzo się tam naniąwszystkie nieszczęściawały.

Ulica brukowana kocimi łbami.

Brudna, odrapanakamienica, niechlubny reliktczynszowego budownictwa⁸²w dzielnicy robotniczej.

Początek wyprawy zachęcający:Natalia Hrynowskaw książcemeldunkowejfiguruje, naliście lokatorów również.

Mieszkanie numerosiemnaście, drugie piętro, front.

Poszczerbione stopnie stromychschodów.

Jak spod ziemi wyrasta barczysty mężczyzna.

- Przepraszam, kogo panuważa?

Zieliński jest przekonany, że w tym domu całkiem niedawno została popełniona kradzież.

- Do pani doktorowej Hrynowskiej.

- Do kogo?

- Jest niezmiernie zdziwiony.

Zieliński powtarza.

Mężczyzna potrząsa głową.

Żadna Hrynowska tutaj nie mieszka.

Pod osiemnaścią mieszkają Paczkowie.

Sublokatorzy?

A jacy tam sublokatorzy.

Jest ich sześćoro, metraż całego mieszkania niespełna dwadzieścia czterymetry.

To już on nie wie, z jakiego powodu na liście lokatorów figuruje Natalia Hrynowska.

Odpiećdziesiątego siódmego, gdy objął tu dozorstwo, nikt w tym domu o takiej nie słyszał.

I co mu tu kto będzie.

-na widok legitymacji spuszcza z tonu, ale sens pozostaje ten sam: pod osiemnastką zajęgo pamięci mieszkali wyłącznie Paczkowie.

Nieinteresował się, co to za Hrynowska została wpisana na listę aniczy jest taka zameldowana.

Meldunki nie należądonego.

Nie wie, w czyim imieniu Paczkowie płacą komorne.

Co ma teraz wspólnego dozorca z komornym?

W administracji nic mu o całej tej sprawie nie wspomniano.

-Wyjechała - oznajmia ponuro pan Alojzy Raczek.

Początkowo resztą w ogóle nie miał ochoty rozmawiać.

Dopiero przestudiowanie legitymacji Zielińskiego skłania go do otwarcia ust.

- Dokąd?

-pyta Zieliński.

-I kiedy?

- No.

niedawno.

Na kurację.

Dosanatorium.

-Do którego mianowicie,tego dokładnie nie wie.

MożeDuszniki, może Polanica,może Kudowa.

W każdym raziegdzieś na Dolnym Śląsku.

83.

Niedawno to znaczykiedy?

Niedawno.

- Pan Raczek do reszty traci humor.

Przestępuje znogi na nogę, zaciera ręce, wykonuje całąserię bezcelowych ruchów.

Nerwy zawodzą.

Nie potrafiukryć,jakbardzopragnie mieć tę rozmowęjuż za sobą.

Ja wiem?

Parę miesięcy.

Miesiący czy lat?

Co pan, panie śledczy.

Jakie znów lata?

Wyjechałado sanatorium.

Ona często wyjeżdża.

Choruje, znaczy się.

Często wyjeżdża.

- Zieliński wchodzi do pokoju, chociażnikt go nie zaprasza- a więc również często powraca?

Jasne - bąkapan Raczek.

Ale jasne to wcale nie było.

Gdywraca,mieszka oczywiście tutaj, tak?

No, jakżeby.

Przecież to jej mieszkanie - wzrokpana Raczkaucieka paniczniew bok.

Zielińskirozgląda się.

Meble stłoczone niczym w magazynie.

Ciężkie, niegustowne, zato niewątpliwie drogie.

Szerokoekranowy telewizor,radio dobrej marki.

Gdzie pan pracuje?

Jestempiekarzem.

Gdzie?

My w kilku prywatnie.

Spółka znaczy się.

Aha -już zaczynało coś świtać.

Kupno spółdzielczego mieszkaniawawsze grozi wzbudzeniem zainteresowania Wydziału Finansowego.

- Proszę mi wskazać, które z tych stanowią własność Hrynowskiej.

To..- waha się.

-No, więc tu nie ma jej mebli.

Mieszka bez łóżka, stołu, szafy, w ogóle bez niczego?

Jak to z tym jest?

Ona, wyjeżdżając, oddaje swoje meble na przechowanie.

Rozumiem.

Komu mianowicie?

Nie wiem.

Jakimś swoim znajomym.

W takim razie proszę mi pokazać, gdzie ona te meble ustawia po odebraniu z przechowania.

84 Pan Raczek rozgląda się bezradnie.

Nikt nie uwierzy, że tu mogło stać coś więcej.

I tak ledwo się można poruszać.

-Ona zajmuje kuchnię.

-Wobec tego chodźmy do kuchni.

Kuchnia jeszcze bardziej zagracona.

-Tu?- No.

Gdy Hrynowska przebywa w Warszawie, zabieramy te meble do pokoju.

- Ciekawe - dziwi się uprzejmie Zieliński.

-I mieszczą się?

Nigdy bym w to nie uwierzył.

No cóż, niech się pan ubiera - był bez marynarki bezbutów.

- Dlaczego mam się ubierać?

-przeraża się.

- Pójdzie pan ze mną na komendę.

Sądzę, że tam lepiej się będzie rozmawiało.

Tu coś niewychodzi.

- Przecież wszystko powiedziałem- ręce mu dygocą.

-Ani słowa prawdy.

Przyjazdy, wyjazdy, cuda z meblami.

Dozorca naoczny Hrynowskiej nie widział.

"Pod osiemnastką tylko Paczkowie i nikt więcej.

" A jest tu od sześciu lat.

Wprowadzenie w błąd organów śledczych?

Bagatela.

Pogadamy o tym na miejscu.

-Ja..

- trzymaj pantofel w taki sposób, jakby obawiał się, że wybuchnie.

Zieliński patrzy na zegarek.

- Zamierza pan w tym stroju paradować po ulicach?

Mnie osobiście przeszkadza.

-Ja pana proszę.

tylko nie na komendę.

Ja już powiem.

- Dobrze - Zieliński przysiada na taborecie - posłucham jeszcze raz.

Ale kłamaćnie warto.

Mój zawód polega na rozszyfrowywaniu kłamstw.

Więc jakbyło z przyjazdami Hrynowskiej.

Przełknął ślinkę.

- Ona tu nie przyjeżdża.

-Od jak dawna?

85.

- Od samego początku.

-A kiedy wyjechała?

-Jak myśmy się tu sprowadzili.

- Odrazu?

-Tak.

Z książki meldunkowej wynika, że Paczkowie zostali zameldowani na drugi dzień po Hrynowskiej.

Już za jej zgodą jak ogłówniej lokatorki.

- Czyli w rzeczywistości Hrynowska w tym mieszkaniu w ogóle

niemieszkała?

To było trudne do przełknięcia.

Pan Raczek o małosięnie zakrztusił.

- No, pierwszą dobę przecież mieszkała.

Bez nas.

Meble z tamtego mieszkania przewiozła na to.

Ale namójrozumchyba nie wszystkie.

Pięć izb, że w każdej całe tomieszkanie.

Samaopowiadała.

Tu wszystko było aż podsamsufit - zakreśla krągłymgestem.

Ale na pięćizb itakprzymało.

- Nikt nie zwrócił uwagi, że sięwyprowadza?

-Bo ona tookropniechytrze.

Jaknasze rzeczy podjechały,to od razu i zamówiony przez nią furgon.

Kazała,żeby wynosić jej gratywtymczasem, kiedy wnoszonasze.

Kto by się tam w całym mętliku połapał.

- Chytrze -przyznaje Zieliński.

Myśli, żezaaranżowanie historii w pokoju numer dziewięć też było chytre.

- Dokądsięwyprowadziła?

-Do Telewizjówka.

Telewizjówek to.

- Wiem.

-Pewno, że wiedział.

Trzy kilometry od Naukowa.

Jeżeli jedzie się tam autobusem, Telewizjówek stanowi krańcowy przystanek.

Dalej pieszo wzdłuż rzeczki.

W Telewizjówku, rzecz jasna taksówek nie ma.

-A bliższy adres?

-Nie znam jej bliższego adresu.

Zieliński patrzy na niego z powątpiewaniem.

Dał ko86biecie grubsze odstępnę, jest oczywiste, że musiał dać, i nawet się nie dowiedział, gdzie jej szukać w wypadku jakichś nieporozumień z kwaterunkiem czy adresem?

- Chcepan we mnie wmówić.

-Nie - znowu jest bliski paniki.

- Nic nie chcę wmówić.

No, mogę przysięgać.

Naprawdę nie wiem.

Jak Bogakocham.

Nie chciała powiedzieć, że niby tam, dokąd zabiera meble, to tylko na tymczasem.

O Telewizjówku teżnie odniej.

Ona ani pary zust.

"Poco?

- mówi.

-Corazbęde tu zaglądać.

Trzeba - powiada - żeby dozorca jąwidywał.

" To mnienie urządzalo, więc, korzystając z zamieszania, podskoczyłem do kierowcy furgonu.

Bo, myślę sobie, wypadkichodzapo ludziach, a w razie czego bezniej nie poradzę.

No i on za tę dychę.

-Jakże mógłnieznać adresu?

- Nie znał.

Powiedziała mu, że nie pamięta ulicy ani numeru.

Gdy będą już namiejscu, wskaże którądy.

Proste, pełne światła uliczki.

Ażurowe ogrodzenia, domki o wielkich oknach.

Wszystko jasne, przejrzyste, bezzagadek.

To nie jest duże osiedle.

Sto kilkadziesiąt domków, niespełna tysiąc stałych mieszkańców.

Żyją jak na patelni.

Gdzie tuktomoże zniknąć?

Ale Natalia Hrynowska właśnie znikła.

Nie była zameldowana.

Nie umarła.

Dla pewności sprawdzono nawet w parafii.

Natalia Hrynowska?

Nie. Rozpracowanie tych kilkunastu uliczek dla całej ekipy nie stanowiło problemu.

Ale rezultat żaden.

Nikt nie wie o starszej pani, która przyjechała furgonem meblowym.

"Takie rzeczy to się przecieży nas wie - oświadczył zapytani.

- Pewno na jakiejś innej ulicy.

"Ale już w końcu żadnych innych nie było.

Zieliński jest zmęczony.

Chce mu się pić.

Piwo w kiosku wyszło już wczoraj.

Degustację różowej oranżady przeprowadza właśnie Barcik.

87.

- Cholera - odstawia niedopitą szklanekę.

- Ospa?

- pyta Zieliński.

-Czarna.

Tylko udaje różową.

Ciepła, oblepia podniebienie.

Szef kuchni niepoleca.

- Coś się wampokociło - zauważa Pirek.

Wie, że długo nie dostanie nic do picia.

Wody z kranu też nie ma.

- "Wodociąg w kiosku?"

Coście, panowie?

Tu nie MDM.

"-To się znów pokociło?"

- Barcik zastanawia się, czy gonie zemdli.

-Choroby.

Bo jak cholera to nie ospa.

Trzeba się zdecydować.

W tę albo w tę.

-Jak czymś nie popłuczę, to rzygnę -oznajmia Barcik.

Zieliński wkłada ręce do kieszeni.

- Tylko bez pogrózek.

Sami też potrafimy.

Szyk dowolny, kierunek następny kiosk.

Gdzie jest następny?

Kioskarz przybiera minę męczennika.

- Na Berdyńskiego.

Tylko szkoda drogi.

Tam ani kropli od poniedziałku.

A dziś środa.

Każdy wciąż o to samo.

Wartoby uruchomić magnetofon.

- Klientzawinił -przymruża oko Zieliński.

-Jasne.

Chodzą i pytają.

Ja teżpytam - podejmuje, gdy uszli kilkanaście kroków.

-Jakim cudem mogli nie zauważyć starszej pani, jak tacha pełne ugracenie pięciu izb?

- Tylko nie pełne - zastrzegaPirek.

-Na pełnebyłobyprzymało.

Barcik masuje podbródek.

- Dziewięć lat.

-Och, to już najmniejsze - śmieje się Pirek.

- Tuczasiępłynie.

Stojąca woda.

Kioskarz mówi: strasznie.

Tuż przed kioskiem przejechali psa doktora Baretę.

Pięknypies.

Bokser.

I ciężarówka całkiem go na śmierć.

-Z przejęciem go nietrzęsie.

Pytam: kiedy?

- W pięćdziesiątym trzecim.

-Ba. Pies doktora Baretę to jest ktoś.

88- Coś-poprawia Zieliński.

- Pomijając gramatykę, ktoś to w każdym razie świat żyjący.

-Jeden zerodla ciebie.

Pies doktora Baretę od pięćdziesiątego trzeciego już nie.

A nasza pani Natalia?

-Przejechać jej nie przejechano.

Wszyscy by pamiętali.

-W ogóle jeżeli by była, to chyba nie tu.

- Dlaczego?

-pyta Pirek.

- Słusznie - kiwa głową Barcik - dlaczego?

Łańcuch, którego jednym z ogniw jest porucznik Pirek.

- Och, na mnie można liczyć jak na Zawiszę.

- Czyli inwencją dawnionego nieboszczyka.

Zgadza się.

- Czy z wami można poważnie?

- Z nami trzeba poważnie.

Anie żeby o Zawiszach.

- Noto pozwólcie rozwinąć.

Barcikweż na wstrzymanie.

Będziesz kochał gadać, jak skończę.

Hrynowska z parteru nie umarła na serce ani nie została pochowana na cmentarzu.

Sprawdzone, podstemplowane, niema dyskusji.

A z przeproszeniem ogródki się nie nadaje?

Starszapani załapała grubszy grosz.

Pięć izb kategorii "S" na dwieszmatławe, to raz.

Opylenietych szmatławych prywatnej inicjatywie, to dwa.

Z półtorej setki babce kapnęło?

- Hm.- Zieliński wyjmuję filtry i chowa paczkę z powrotem.

Strasznie mu się chce pić.

- Mogło kapnąć.

- Musiało.

A mogło więcej.

Dochód do ujawnienia się nie nadaje.

Żadne PKO.

No więc przy sobie.

Chciałbym mieć tylko tyle złotych, ilu ludzi uziemiano dla znacznie mniejszych sum.

-Jemu się marzą zbrodnie kompleksowe - nie wytrzymuje Barcik.

Pierzepatrzy na niego z ukosa.

- Jemu się marzy, żeby mu ktoś dał rozwinać do końca.

Ciągnędalej.

Iks posiada domek.

Ogródek osłonięty.

Sąsiedzi być może akurat wyjechali, jest przecież lato.

"U mnie da się załatwić bez zameldowania.

Jakoś to urzą89.

dzę.

Tylko pod żadnym pozorem nikomu nie podawać adresu.

" Zwykły schemat.

Irzeczywiście, proszę wysokiego sądu.

Pani Natalia nie podaje.

Nawet panu Raczkowi, który za wszelką cenę pragnie ten adres poznać.

Iks tak sobie potrafił wykalkulować, żeby nie było świadków przybycia starszej pani i jej dobytku.

A później starszej pani już niema.

Sprawa załatwiona.

Może być?

- Może.

- Zieliński chętnie by gdzieś usiadł.

Kręcą się potych uliczkach, które teraz wcale nie wydają się już takie krótkie, od siedmiu godzin.

- A jak jest naprawdę?

- Z tym to już do wróżki.

Jest jedna taka w śródmieściu.

Koncesjonowana, z szyldem.

- Nowość - Barcik wydyła usta.

-Każdy wie.

A starsza pani mogła wcale tu nie przyjechać.

-Też racja - Pirek jest lojalny, choć własna koncepcja wydaje mu się znacznie bardziej prawdopodobna.

-Nietrudno było przewidzieć, że Raczek spróbuje sondować kierowcę.

No i Telewizjówkę jako dyminazastona.

- Właśnie.

Odjechali ileś tam ulic, a starsza pani: "Rozmyśliłam się.

Jedź pan tam a tam".

- Gdyby spytać kierowcę - podsuwa Pirek.

-Pytanie kierowców o kurs sprzed dziesięciu laty to moje hobby - oświadcza Zieliński - tylko mały szkopuł: gdzie tego kierowcy sprzed dziesięciu lat szukać?

- Firma.

-Najbardziej to podziwiam ten piorunujący zryw.

Powiada: firma i Już po zagadce.

O ile tylko kierowca niewybył w nieznane albo na tamten świat.

A ja pytam uprzejmie .

-jaka firma?

- Mnie?

-krzywi się Pirek.

- Któż mi pozostaje?

Pomysł Raczek wykorzystamy w naszym zakresie.

Przykład kongenialności.

Ale niewypał.

Pan Raczek nie wie.

Pan Raczek nie zwrócił uwagi.

90- Jeżeli pan Raczek nie łą.

- Owszem, on z tych, co łą.

Ale tu nie widzę powodu.

Gdyby był w stanie uprawdopodobnić, że martwa dusza nie jest martwą duszą, na pewno bynie zaniechał.

Niewygodnie być sublokatorom u osoby, która rozplynęła się gdzieś w sieni dalej.

Kwaterunek takich nie kocha.

- No więc nie ma firmy - godzi się Pirek.

- Niemakierowcy, nie ma adresu.

Nie ma starszej pani, która przysięgła zrobić Steinerowi, co mu zostało w rzeczywistości zrobione.

- A co jest?

- pyta Barcik.

- Gówno - reasumuje lapidarnie Zieliński.

Wszystko pochodziło niewątpliwie z importu: zapach, koloryt, ciuchy, makijaż.

Irena Steiner całabyła utrzymanaw srebrnolila odcieniu.

Od włosów aż po obcasy, które jużnie były szpilkami.

Prawdopodobnie odcień miałoznaczać żałobę,ale nie
sprawiałwrażeniażałoby.

Maupassant miałby trudność - myśliZieliński -niebywa kawioru w
odcieniu srebrnolila.

Niezależnie od tego całośćkojarzyła się z bułeczką posmarowaną
kawiozem.

Irena Steiner miała lat czterdzieści dwa.

Patrząc na nią, trudno było uwierzyć, że ktoś bardzo złośliwy nie
przesunął daty urodzenia co najmniej o dziesięć lat wstecz.

- Zdajesobie sprawę, że tobyło nieludzkie.

Obcy ludzie,których nicnie obchodził.

Aja.Czułam się jużbardzo niedobrze w momencie,
gdymniezawiadomiono.

To było więcej, niż potrafiłamznieść.

Załamalam się.

Załamalamsię kompletnie.

Lekarz.

- Otrzymaliśmy zaświadczenie lekarza sądowego -gestZielińskiego
podkreśla, że kwestia w tenspóób zostałaostateczniezamknięta i nikt tu
nie będzie do niej powracał.

-Formalność.

Formalności nie są ważne.

Nieważne, że mój lekarz nie pozwolił mi pod żadnym pozorem wstawiać⁹¹.

z łóżka.

Ważne jest, że rzeczywiście nie byłam w stanie się podnieść.

I ważne jest, żeby wszyscy wiedzieli, dlaczego nie było mnie przy nim.

Żeby uwierzyli.

- My wierzymy przede wszystkim dokumentom urzędowym - mówi chłodno.

- Mgielka tkliwego sentymentalizmu i srebrnolila lokizalobnej fryzury.

Tu nie mamiejsca na znak równości.

Tylko jedno może być prawdziwe.

Dwadzieścjadwa lata różnicy.

Widział fotografię Steinera.

Oczywiście tylko te robione zaje go życia dawały jakieś świadectwo.

Po takiej śmierci nikt nie przedstawia się zbyt korzystnie.

Ale i tamte nie przedstawiały go korzystnie.

Ciężki grosz - oto jedyne wytłumaczenie.

Więc po co ta mowa?

- Dokument urzędowy stwierdza, że nie była pani w stanie przyjść do hm. szpitala - chciał powiedzieć "kostnicy".

- Wiara innych?

Cóż, nie mamy wpływu na kształtowanie się opinii.

- Tozresztą również nie miało pełnego pokrycia.

Barcik sygnalizuje wzrokiem, co myśli srebrnolila kociaku.

Gdyby wyraził słowami, uszy by babce spuchły.

A możeby i niespuchły.

- Wezwaliśmy panią w konkretnym celu.

- Tak?

- Patrzy na niego przeciągle.

Oczy maniewatpliwie piękne.

- Czy w papierach męża znalazła pani czyichś weksli albo zobowiązań na większą sumę?

- Owszem, znalazłam.

Muszę przyznać, że mnieto bardzozaskoczyło.

Weksle w prywatnymposiadaniu to trąci anachronizmem.

Dziewięćweksli na sumę stu dwudziestutysięcy.

- Z czyjego wystawienia?

- Podpisane przez profesoraZdzisława Sobczańskiego.

- Kto żyrował?

- Nikt.

- Srebrnolila migdałki paznokci opierają się materiał sukni.

Zieliński niebardzo się zna na materiałach.

Ale ten chyba nie ma nic wspólnego z włóknem syntetycznym.

- Data płatności 15 kwietnia.

92- Tego roku?

-Tak.

Jest jeszcze pewna rzecz, nie mniej dziwna.

List mego męża do Sobczańskiego z kategorycznym żądaniem zapłacenia tej sumy najdalej do dnia 15 maja.

- Co panią w tym zdziwiło?

- Mąż często pożyczał ludziom, ale chyba nie zdarzało się, aby w tak ostrej formie żądał zwrotu.

Już zresztą samowzięcie weksli sprzeciwiało się jego zwyczajom.

- Przy tak poważnej sumie.

- Och, on bardzo dużo zarabiał i nie przywiązywał znaczenia do pieniędzy.

"W terminie czternastu dni.

" Todo niego zupełnie niepodobne.

- List został wysłany do Naukowa?

Oczy Steinerowej rozszerzyły się.

- Sobczański byłw Naukowie?

-Tak.

- Także wtedy, gdy mój mąż.

umarł?

- Tak.

Wtedy także.

- Mąż musiał widocznie wiedzieć o wyjeździe Sobczańskiego.

List wysłał na jego warszawski adres.

Sam zresztą również wtedy jeszcze nie wiedział, że pojedzie do Naukowa.

To stało się nagle.

Pewnego dnia zdał sobie sprawę, że musi za wszelką cenę wypocząć.

Skierowanie załatwił mu od ręki.

- Jeżeli nie wiedział, to w jaki sposób wyobrażał sobie uregulowanie długu?

Przecież zamierzał pozostawać w Naukowie znacznie dłużej niż do 15 maja.

- Nie sądzę, aby się specjalnie nad tym zastanawiał.

- Jak pani to rozumie?

- Zwyczajnie.

List wysłał pod wpływem jakiegoś chwilowego rozdrażnienia.

Miał wybuchowy charakter, ale szybko mu przechodziło.

Pewno, decydując się na wyjazd, w ogóle już o tym liście nie pamiętał.

- Czy po śmierci męża zgłosił się do pani profesor Sobczański w sprawie tych weksli?

93.

- Nie.

- Zna pani Sobczańskiego osobiście?

-Nie.

- Być może pani wspomniał, z jakiego tytułu powstał ten dług?

-Przed znalezieniem weksli w ogóle nie wiedziałam, że taki dług istnieje.

Niewykluczone, że ma coś wspólnego z kartami.

- Mąż pani grywał z Sobczańskim?

-Grywali w tych samych partiach.

Tam grano bardzo wysoko.

Sobczański przeważnie przegrywał.

- U państwa w domu niegrywano?

-Mąż nie lubił zapraszać gości do domu.

Spotykała się z ludźmi na mieście.

W klubie czy w jakimś lokalu.

-Brała pani udział w tych spotkaniach?

-Ja? -Była wyraźnie zaskoczona.

-Tak.

- Raczej rzadko.

Tak, raczej bardzo rzadko.

Pirek wpadł do gabinetu akurat w dziesięć minut powyżsiej Steinerowej.

Był wściekły.

- Że też, cholera, musiało mnie akurat ponieść.

Skąd mogłem wiedzieć, że wreszcie raczy osobiście?

Nie przychodzi, nie przychodzi, dałbyszyję, że znowu świadectwo lekarskie.

- Wciąga powietrze nosem.

- Pachnieszalowym kociakiem.

Rzeczywiście szalowa?

- Ponad czterdziestkę, ale obleci.

Zgatunku nylon.

- Kiedy ty wreszcie przestaniesz być czerwonałatarnią?

Nylon dawno wyszedł z mody.

- Też czasemprzechodzękoło wystaw CDT - bronisję Barcik - ale ja wznaczeniu: nie do zdarcia.

Czasnawet jej nie naddał.

Bez giełdy remanentów dałobysięupłynnić w kategorii trzydziestolatków.

Papierosachcesz?

94

- Nie chcę.

Ani brać, ani dawać.

Swoje natrzęsłes, własne samemu się przydadzą.

- Niema trafienia.

Swoich nie natrzęsłem, teraz pracuję spinaczami.

Twoichnie chcę, choćbyś błagał na kolanach.

Dziś ani jednego aż do szesnastej.

No, to siadaj zieleń.

- Zjakiego powodu mam zieleń?

- Jak koleśowi marzenie spełnia się z przekroczeniem planu, to nie powód?

- Marzenie?

- trze kostki palców podbródek.

- Gdyby tobie, już byś Sto lat na własną intencję.

Hm.. Nie chcecie chyba powiedzieć, że tym wierzycielem był Steiner?

- Właśnie chcemy.

- Szałowy kociak powiedział?

- Co tam: powiedział.

Wekselki, szanowny poruczniku.

Wezwanie do zapłaty pod rygorem wciągu czterech dni.

Sto dwadzieścia patyków jak jeden grosz, najpóźniej do 15 maja.

Jakie wnioski?

- Mocna rzecz.

A wniosek, że warto być marzycielem.

- To nie marzenia - protestuje niedbale Zieliński.

- Tylko co?

- Dedukcja.

- Żebyś tak zdrowy był.

- Odczep się.

Itak mi wątroba nawala.

- Poczekajcie - Pirek w roztargnieniu sięga po papierosapaczki Barcika i stwierdziwszy, że naprawdę niewykruszony, z tak samoroztargnionym wyrazemtwarzy, zapala.

- Więc Steinerzażądał, aby mu Sobczański tepieniądze zapłacił w Naukowie?

- Według przypuszczeń srebrnolila wdowy w ogóle niewiedziałowyjeździe Sobczańskiego do Naukowa.

- Przepraszam, ja z całym szacunkiem do osiągnięć, ale jak to właściwie miało być?

Wyznacza termin, a sam.

95.

- Nie męcz się - przerywa Barcik.

- Te wątpliwościpotrafiliśmy mieć we własnym zakresie.

- Jakie rozstrzygnięcie?

- My sami raczej w trybie łagodnym.

Nasmożnaprzyotwartym oknie bez obawy.

Nie ulecimy.

Za orłów się niegodziliśmy.

Świadek żałobny powiada: "Napisał, bo godiabli brali.

Przestali brać, to zapomniał".

Pirek zastanawia się.

- Cóż, mogło przecież i tak być.

Zieliński podsuwa Pirkowi protokół przesłuchania Steinerowej.

- Czyż mówię, że nie?

- Od tego żona, żeby lepiej wiedzieć - komentuje Barcik.

- Dla nas co?

Denat.

A jak nie był denat, nie znalazł się.

Tychokruczówo nim tyle co nic.

- A jeżeli tak - Pirek trzebrew - tocała ta mocnarzecz.

- Nie mówiliśmy: "mocna" - Zieliński przytkaw sztywną obwolutę.

- My podaliśmy fakty.

Przyszła srebrnolila, zeznała.

Czym chata bogata.

A propos: czy lubisz kawior?

- Co tu ma dorzeczy kawior?

- stawia na niego oczy Pirek.

- Ale jeżeli chcesz poczęstować, może być niedorzeczy.

- Dygresja - rozczarowuje go Zieliński - jest taka nowelka Maupassanta.

-O srebrnolila wdowie?

-pyta Barcik.

- Nieo srebrnolila.

Nie teczasy.

Alesię kojarzy.

- Ona nie powiedziała: "diabli go brali" - Pirek wyłowił odpowiednie zdanie w protokole -powiedziała: "chwilowe rozdrażnienie".

-Co za różnica?

- Barcik strzepuje niedbale palcami.

-Jak ktojest zły, to jest rozdrażniony.

- Genialnie.

Tylko że jakjest rozdrażniony, nieko96niecznie musi byćzły.

Zresztąmniejsza.

Pytam, z jakiegopowodu był rozdrażniony.

- Pytaj-kiwa głową Zieliński - my też siępytamy.

Alejeżeli chodzi oodpowieź.

Sobczańskinie jest bynajmniej zaskoczony.

Nic niewskazuje nazdenerwowanie.

Zachowuje się zupełnie swobodnie.

- Tak.

Zgadza się.

Sto dwadzieścia tysięcy.

Kilka razy pod rząd karta mi okropnie nie szła.

Czarna passa.

Cóż. Bywa.

Część tej kwoty zresztą poszła na uregulowanie pozostałych współpartnerów.

Wolałem mieć jednego wierzyciela.

Takiego - uśmiecha się porozumiewawczo - któremu nie będzie zależało na tych pieniądzach.

- To jednak bardzo poważna suma - przypomina Zieliński.

- Alenie dla Steinera.

Jego dochody sięgały fantastycznych wyżyn.

- Zażądał jednak weksli.

- Nic podobnego.

Wystawiłem je z własnej inicjatywy.

Dług honorowy, a więc dwadzieścia cztery godziny.

W zamierzonych czasach, kto nie mógł zapłacić, palił sobie łeb.

Ja osobiście wolałem podpisać weksle.

Dług wekslowy to już całkiem inna parafia.

- Weksle były płatne 15 maja?

- Były wystawione in blanco.

-Jakie wrażenie wywarło na panu, gdy Steiner zażądał zapłaty całości długu do dnia 15 maja?

- Rozśmieszyłoby mnie, gdyby nie fakt, że list dotarł do mnie dopiero po tragicznej śmierci autora.

- List został wysłany w dniu 30 kwietnia.

- Tak, ale ja wyjechałem do Naukowa o dziesięć dni wcześniej.

List przeczytałem 11 maja, po powrocie do domu.

97.

- Przez cały czas nie rozmawiał pan z nikim z domowników?

- Owszem, rozmawiałem.

Nawet kilkakrotnie.

Z moją żoną.

- I nie powiedziała panu o liście Steinera?

- Brak powodu, by ją specjalnie o to pytać.

Nie oczekiwałem od niego żadnego listu.

- Pańska żona oczywiście wiedziała o długu?

- Wręcz przeciwnie: wiedziała jak najbardziej.

Tego Zieliński nie rozumie.

Znacznie bezpieczniej byłoby zaprzeczyć.

W tej sprawie nic jakoś nie chciało się mieścić w naszym szkieletowym ramieniu.

- Ale w takim razie, gdy przeczytała nazwisko Steinera na kopercie.

- Niebyło nazwiska Steinera na kopercie.
- List polecony bez nadania nadawcy?
- List nadszedł jako zwykły.
- Podtekstem Steiner zaznaczył: "polecony".
- Zauważyłem.

Pomimo tego list został wrzucony poprostu do skrzynki.

- Mógłbym spojrzeć na tę kopertę?
- Nie mógłby pan.

Została podarta razem z listem.

Poszła do śmieci.

- Dlaczego?

Sobczański uśmiecha się nieprzymuszenie.

- Pozwoli pan, że odwrócę pytanie: w jakim celu miałbym przechowywać?

Przyjemnie to nie jest, płacenie niewchodzi tymczasem w rachubę, a w cudanie wierzę.

Ani weksle, ani odpisy z adania zapłaty nie zamienia się w zeszcłeliście.

To nie sierotka Marysia.

Długopis zawisaw powietrzu.

Nie warto dalej wałkować.

Kwit nadawczy nie został odnaleziony.

Pani Sobczńska oczywiście potwierdzi.

- Swoją drogą - Sobczński śmieje się cicho - Roleński miał szczęście.

Gdyby na przykład zamiast wyjechać, zmienił pokój.

Wyobrażam sobie, jak by go milicja obskakiwała.

Przy jego obciążeniu.

-Jakie obciążenie?

O czym pan właściwie mówi?

-Bagatela.

Przecież Steiner zabrał mu ukochaną żonę.

Dalszy ciąg przyniósł Barcik, korzystając ze swych dyskretnych chodów.

Na tym szczeblu innie wchodziły w rachubę.

Historia swego czasu nabrała dużego rozgłosu ze względu na obumęczyzn, których nazwiska cieszyły się szeroką popularnością.

Rzecz rozgrywała się pięćdziesiątym piątym.

Roleński akurat przechodził okres depresji.

Nic nie pisał, nic nie wydawał.

Powodziło mu się niedobrze.

Steiner już wówczas był człowiekiem ciężkozamożnym.

Jego dochody sięgały podobno zawrotnych wysokości.

Nikt nie potrafił wymienić choćby tylko przybliżonych kwot, ale powszechnie uważano go za jednego z najlepiej zarabiających ludzi w

kraju.

- Złotarybka, psiakrew - mówi Barcik.

-Która babkanie chciałaby złowić złotej rybki?

Wkażdymrazie paniIrena Roleńska owszem.

Pani Irena chciała jaknajbardziej.

A Roleński, jak powiadają, mocno ją kochał.

Toznaczy nie złotą rybkę, tylko swoją panią Irenę, która jużnie chciała być dłużejjego panią Ireną.

Przyjechał Lalewicz.

- Roleńskimiał pozostawaćw Naukowie do dwudziestego włącznie.

Wczwartek poobiedzie oznajmił nieoczekiwanie Hrynowskiej, że zwalnia pokójod dziesiątego rano.

- Od piątkurano?

-mówi z nagłym zastanowieniemZieliński.

To mogłoodwrócić cały obraz.

- O której wyjechał?

-Wyszedł -prostuje Lalewicz - około siódmej trzy99.

dzieści.

Chciał zdążyć do Telewizjówki na autobus siódma pięćdziesiąt osiem.

- Sam poszedł?

-Tak.

- Lalewicz postukuje palcami w poręcz fotela.

-Sam.

A gdy ktoś idzie sam, czyż można wiedzieć, dokąd naprawdę doszedł?

Dla Pirka obraznie jest jasny.

Roleńskiduzo zarabia, wydatek na taksówkę z całą pewnością nie odgrywał żadnej roli.

- Starszy panna piechotę z bagażem.

Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby goście Naukowa ganiłi do autobusu.

- Raczej zupełnie wyjątkowo.

-Skąd wiesz, że starszy?

- pyta Barcik.

-Znasz gościa?

- Nie.

Widziałem jego fotografię w prasie czy może książce.

- A może jego samego w telewizji?

-Może w telewizji.

W każdym razie szpakowaty i w ogóle.

Młody toon niejest.

- Ponad pięćdziesiąt - wyjaśnia Lalewicz.

-Ale bagażnieważny.

Maławalizka i olivetti.

Nie ma się czym przedźwigać.

A spacerkdosyćprzyjemny.

-Jak się Łacha maszynę do pisania i walizkę to jużniez tych najprzyjemniejszych - powątpiewa Zieliński.

-Szczególnie gdy trzeba zdążyć naautobus.

Jaki powód taknagłego wyjazdu?

- Z tym dosyć mętnie.

Żemu się w Naukowie jakoś niepracuje.

- I doszedłdo tego wnioskuakurat w czwartekpoobiedzie?

-Mętnie - powtarza Lalewicz - wspomniał zresztą jeszcze coś o jakimś terminie.

- O jakim terminie?

-Nie dopytywała się specjalnie.

Ostatecznie gość niema obowiązku się tłumaczyć.

I tak zapłacił za piątko100wyobiad i kolację.

Ale byłazastrzelona.

Listu żadnego czwartkowej pocztą nie było.

Przez telefon, o ile jej wiadomo, nie rozmawiał.

Więc żadna nagła wiadomość.

I jeszcze jedno.

Przez cały czas miał fatalną pogodę.

Niemal codziennie powtarzał, że się nie da i przetrzyma, choćby nawet było jeszcze gorzej.

Bodaj czy nie mówił tego także w czwartek rano.

A gdy w radio zapowiedzieli stałą poprawę.

- Kiedy powiedziała mu o przyjeździe Steinera?

- Nie pamięta.

Samawiedziała od trzech dni.

Godzina szósta trzydzieści.

Na autobus rzuca się tłum.

Zieliński podchodzi do konduktora, który wyskoczył rozprostować nogi.

- O siódmej pięćdziesiąt osiem też tak będzie?

Konduktor wzrusza ramionami - siódma pięćdziesiąt osiem najgorszy szczyt.

Kości łamią.

Jak łamią kości, brak ochoty przyglądać się sąsiadom.

Zieliński idzie piaszczystą drogą.

Od rzeczki ciągniewilgoć.

W południe będzie upał, teraz jeszcze rześko.

Dookoła nikogo.

Kioskarz powiedział: "Tą drogą rzadko kto idzie".

Po prawej stronie wyrasta ogrodzenie.

Tutaj biegnie na stromym urwisku o kilka metrów ponad poziomem drogi.

Piasek jest drobny, podeszwy ślizgają się, ale wystające korzenie z powodzeniem zastępują uchwyty.

Siatkawkę w kilku miejscach pozszywana drutem.

Rozprucie kwestia bardzo krótkiego czasu.

Niebezpieczeństwo zauważenia przez kogoś prawie zupełnie wchodzi w rachubę.

Pomimo wszystko przejście tędy nie byłoby chyba najlepiej pomyślane.

Wraca na drogę.

Sprawdza czas.

Oczywiście sekundynie grają roli.

Pomiędzy drogą a ogrodzeniem kępa zarośli.

Nie, te nie wchodzi w rachubę.

Stąd niewidać bra 101.

my.

W odległości dwudziestu paru kroków znowu zarośla.

Raczej nie tutaj.

Obchodzi kępkę, kładzie się wgąszczu.

Tak, dojazd do bramy jakna dłoni.

Alejak z maskowaniem?

Zwiniętamarynarka i teczka, markują sylwetkęleżącego człowieka.

Zieliński sprawdza.

Nie dojrzał nic,choć przecież wie, o które miejsce chodzi.

Można bezpiecznie leżeć całymi godzinami.

Godzina siódma dwie.

Wzrok Hrynowskiej wyraża coś,czego Zieliński nie potrafi odcyfrować.

Przepraszają zazakłócenie harmonogramu trudnego dnia.

Tak, pamięta,że dziś jestniestety piątek.

Postara się skrócić swą wizytędo granic możliwości.

Poprositylko o klucz oddziewiatki.

- Piękna pogoda- mówijuz z kluczem w ręku - zanosisię naupał.

Jakaś gromadna wycieczka?

- Nie- śmieje się - tu nietrzebajasnovidza,gdy w najbliższym sąsiedztwie znajduje się tak zaciszny las.

Idzienagórę.

Hrynowska wraca do swoich papierów.

Kiedy to wszystko się skończy?

- Znowu - stwierdza ponuro Magda.

Szefowabierze się pod boki.

- Człowiek nie manerwów ze stali.

Mnie doktor powiedział, że muszę się szanować.

Jak można się szanować, gdy milicja tam i z powrotem?

Różia wzruszaramionami.

- To wszystko zwracanie głowy.

Czego można szukać w pokoju, który był dwa razy sprzątny?

Genię nagle rozbolała głowa.

Pociera czoło brudnymi palcami, rozmazuje popiół.

Nikt nato niezwraca uwagi.

- Wybiorą nas jak z gniazda.

Godzina siódma dwadzieścia osiem.

Na górze stukają drzwi balkonowe, potem jeszcze dwoje innych.

- Pozamykałem wszystkie na dwa spusty.

- Zieliński oddaje klucz.

- Jeszcze raz przepraszam.

Cóż, służba.

- Spojrzenie na zegarek.

-Swobodniezdążęna auto102bus siódma pięćdziesiąt osiem.

Żegna się, odchodzi.

Hrynowska,patrzac, jakidzie główną aleją, w jednymręku teczka,w drugim złożona gazeta, maochotę przetrzeć oczy.

To wszystko przecież już działo się.

Prawie dokładnie w taki sam sposób.

Zupełnie niedawno.

- Nie mogło się zgodzić- uśmiecha się z poczuciemwiny Komosa - bo ja dałem pani doktorowej rachuneknumer sześć, zamiastsześć "A".

Hrynowska sprawdza.

- To zupełnie.

-słowa ucina ostry terkot dzwonka.

Kto? Wszyscygościesą w lesie, nie wrócaprzed obiadem,terazdopierokilka minutpo dwunastej.

Głupstwo.

Po prostu któraś zpokojowych przypadkiem.

Nie wartosię zastanawiać.

Nachyla się z powrotem nad kolumnami cyfr.

Dzwonekznou się odzywa.

Przeciągle, natarczywie,alarmująco.

Nie ma mowyo przypadku.

Może ktoś wrócił wcześniej.

Jeżeli zasłabł?

Trzebaby.

Zamiar nie zdążył się skonkretyzować.

Do kancelarii wpada Różia.

Jest bardzo blada.

Oczyprzerażone.

Palce Hrynowskiej zaciskają kurczowo ołówek, jakby w nim właśnie szukała oparcia.

Co się stało?

Cosie znowu stało?

- Pani kierowniczo.

- głos bliski załamania się.

- O co chodzi?

- Hrynowska wkłada cały wysiłek, by zachować spokój.

- Kto dzwoni?

- Dzie.

- przełyka ślinę - dziewiątka.

Komosa nie podnosi głowy znad wykazu.

Nie widzi wyrazu twarzy dziewczyny, nie uderza go nic w brzmieniu jej głosu.

- Dziewiątka?

Patrzcie państwo, jak to prędko ludzieprzeszli do porządku.

Już ktoś tam mieszka.

Myć się w tej umywalni.

Ja osobiście.

103.

Różia wlepia w niego mrugające oczy.

- Nie - chrypi. Wciąż nie może złapać oddechu. -Nie...

Hrynowska kładzie ostrożnie ołówek na biurko.

- Pokój jest pusty. Wszystkie pokoje na pierwszym piętrze są puste.

- Dzwoni dziewiątka! - Różia niemal krzyczy. - Jak Boga Kocham - bije się w piersi - że dziewiątka. Niech pani kierowniczką sama zobaczy.

Dziewiątka - powtarza rozedrganym głosem - przecież jestem przytomna.

Hrynowska podnosi się bez specjalnego pośpiechu.

- Nonsens - mówi dobitnie - nie może dzwonić dziewiątka. Pewno Magda poszła do łazienki na piętrze i przypadkiem dotknęła dzwonek.

- Dziewiątka - przypomina panicznie Różia — nie łazienka, nie żadna łazienka, tylko dziewiątka. Jezus Maria, czy pani kierowniczką nie może zrozumieć?

Hrynowska wzrusza ramionami - przewody się poplątały. Zamiast jednego numeru, wyskoczył inny, to się często zdarza.

- Magda nie - Różia wymachuje rękami. - Magda jest w kuchni.

Magda akurat wychodzi z hallu, widać po niej, że każdej chwili jest gotowa cofnąć się z powrotem do kuchni. Policzki Magdy są purpurowe, oczy błyszczą gorączkowo.

- Święci Pańscy, ktoś dzwoni stamtąd, a tam nikogo nie ma. Jak może dzwonić z pustego pokoju? Nikogo nie ma - powtarza - pokój zamknięty na klucz i ktoś dzwoni. Ja się boję, przepraszam, ale ja się strasznie boję, niech mnie pani zwolni, chcę odejść, chcę zaraz odejść, ani godziny tu nie będę, ani chwili, tu straszy. Niech mnie pani zwolni, ja chcę zaraz, ja muszę zaraz, ja...

- Spokój! - Hrynowska tupie z całych sił. Leżące na podłodze linoleum psuje jednak efekt. - Niech się Magda

natychmiast uspokoi! Straszy! Co za bzdura. Powinna się Magda wstydzić.

- Czego tu się wstydzić. - Drżący palec celuje w żarówkę świecącą na numeratorze pod cyfrą dziewięć. - Nic, tylko nieboszczyk, świętej pamięci, niech mu ziemia będzie lekka, a światłość wiekuista świeci - trzepie szybko, łykając sylaby.

Hrynowska patrzy. W pokoju numer dziewięć nie ma nikogo, pokój zamknięty, klucz na tablicy, numerator wyrzucił dziewiątkę. To wszystko prawda.

- Zwarcie - mówi spokojnie. To, że krzyknęła było błędem. Krzykiem się tu nic nie zwojuje. - Dzwoni, bo zwarcie na linii. Słowo daję, zupełnie jakby Magda po raz pierwszy miała do czynienia z elektrycznym dzwonkiem.

- Skoro zwarcie w przewodach, musowo dzwoni - potwierdza loj alnie Komosa. Nie wierzy w zwarcie. Dzwoniłoby bez przerwy. Trzeba jednak poprzeć Hrynowską. Obie dziewczyny są bliskie hysterii. Tego

tylko brakowało. Swoją drogą - pociera kostkami palców podbródek - co właściwie dzwoni? - Aż drgnął, gdy dzwonek odzywa się znowu.

- Józefie święty! - Magda wpada w panikę. - Ja już nie... ja już nie mogę... Ele... elektryczność, znaczy się, lecę po pana Trąbę. On będzie wiedział - szarpie się bezskutecznie z klamką. Nie wpadaj ej do głowy, że wystarczy przekręcić klucz, zawraca na pięcie, pędzi przez hall ku głównemu wejściu, wypada na podjazd. Skręca w lewo i znika z pola widzenia.

- Niech Różia... - Hrynowska wzrusza ramionami. Rózię zdmuchnęło do kuchni. Siedzą tam wszystkie trzy, przycupnięte, jakby ich w ogóle nie było. Zresztą Różia i tak nie poszłaby na górę. - Cóż - zdejmuję klucz z tablicy - trzeba iść sprawdzić.

Komosa obciąga kurtkę jakimś niemal desperackim

104

105

ruchem.

Czuje się całkiem niewyraźnie.

Biorąc nazdrowyrozum, nie ma powodu, by czuł się niewyraźnie, ale niewszystko da się wziąć na zdrowy rozum.

- Skoropani dobrodziejka, to jasne, że ja z panią.

Niepuszczękobiety samej.

- Ależ panie Komosa - Hrynowska przymuszasię douśmiechu - co mi może grozić?

-Ja tam nie wiem: grozi, nie grozi, tu dziwne rzeczy siędzieją.

Dokończycia bym sobienie darował.

Hrynowska więcjennie protestuje.

Nie przyznałabysię, ale jest zadowolona, że Komosa jej będzie towarzyszyć.

Nacisnęła kłamkę, drzwinie ustąpiły.

Zamknięte.

A więc kapitan z Warszawy nie zapomniálnawet o przedpokoju.

"Solidnie pozamykałem" -rzeczywiście solidnie.

- Zamknięte - Komosa patrzy spod oka.

-Co w takimrazie dzwoni?

-Doostatniej chwili podejrzewał, że jednak otwarte, że ktoś gości wrócił wcześniej dla kawału.

Wiedział od Trąby, że tu klucze odjednychpokojównie pasowały do innych.

Hrynowska wkłada klucz do zamka drzwi pokoju, próbuje obrócić, klucz nie obraca się.

Nie może tego zrozumieć.

- Co jest- pyta Komosa.

-Klucz nie obraca się.

-I w tej samej chwili Hrynowska prawie drętwieje.

Z tamtej strony drzwi rozlega się męski głos:- Proszę nacisnąć kłamekę.

Drzwi są nie zamknięte na klucz.

- Co za cholera?

-Komosa odruchowo cofa się, natychmiast jednak wraca - przepraszam, pani dobrodziejko, ale to może słonia wysadzić z nerw.

Przedpokój natrzy spusty, tu otwarte i kto tam w ogóle w środku?

Hrynowska łyka ślinę.

Szok pierwszego zaskoczenia 106 mija.

A więc jednak pomimo wszystko kawał.

Ktoś dobrał klucz, ostatecznie żadna magia, zamki całkiem zwyczajne.

Zamknął przedpokój, żeby udziwnić, wariackie dzwoniąca cały dom.

"Kto w środku?"

" - pyta Komosa.

Rzeczywiście: kto?

W głosie jakbycoś znajomego, tłumik grubej płyty drzwi odbarwia jednak akcenty indywidualne.

Komosa chyba mobilizujesz do ewentualnego odwrotu.

Ciekawe, comu się roi: morderca czy rzeczy niez tego świata?

Nonsens.

Cóż, łatwo powiedzieć: nonsens.

Ale ona sama.

Ostatecznie przed sobą nie potrzebuje grać komedii.

Kładzie rękę na klamce, naciska, otwiera.

To ja powinienem - myśli Komosa.

Mężczyzna, cholera, który chowasię za starą kobietę.

Ale podeszwy kleją się do posadzki.

- Witam serdecznie- uśmiech Zielińskiego rozładowuje w mgnieniu oka całe napięcie.

- Ale pan - Hrynowski patrzy na niego szeroko rozwartymi oczyma - pan przecież wyszedł.

- Wyszedłem.

Ci, co wychodzą, niekiedy wracają.

Tęparę godzin w plenerze.

Tu naprawdę wspaniałe powietrze.

- Wrócił pan, wszedł po schodach - zaczerwieniła się, zaciskając wargi.

Co za idiotyzm.

Udał, że nie dostrzega.

- Państwo bylinieźmiernie zaferowani.

Widocznie coś się nie zgadzało.

Godzina jedenasta trzydzieści.

- Dałem niewłaściwą podkładkę - przyznaje Komosa.

- Rachunki mają to do siebie, że czasami się nie zgadzają -
stwierdza sentencjonalnie Zieliński.

- Nie słyszałam trzeszczenia schodów.

- Hrynowska wciąż nie chce się pogodzić z tym, że to, co uważała
za niewzruszony pewnik, rozsypało się przy pierwszym dmuchnięciu.

- Schody nie trzeszczały.

Gdy stawiać nogi tam, gdzie górna deska stopnia umocowana
na wsporniku, nigdy 107.

nie trzeszcza.

Żadna filozofia, trzeba tylko znać sposób.

Gdy schodziłem na dół, państwo wciąż jeszcze byli bezreszty pochłonięci rachunkami.

- Gdy pan schodził nadół?

- Hrynowska zwilża końcem języka wargi.

- Gdy pan schodził na dół - powtarza bezradnie.

Tego przecież nie potrafi zrozumieć.

- Chciałem uzyskać pewność, że za pierwszym razem nie było jakaś zupełnie wyjątkowa, niepowtarzalna chwila.

Taka nie stanowiłaby oczywiście żadnego dowodu.

Wędrowałem za bramę.

Krótkometrażowy relaks na takzwanym łonie.

Gdy wchodziłem po schodach drugi raz, była punktualnie dwunasta.

Państwo w dalszym ciągu byli straceni dla świata.

- Ten przeklęty rachunek - sześć, zamiast sześć "A" - Komosa jest diabło speszony.

- W tamten piątek - rzuca bezadresowo Zieliński - uzgadnianie sprawiało jeszcze większe kłopoty.

- Szynka.

- Komosa tarmosi guzik swej kurtki - No bożeżeli.

- W rezultacie każdy mógł niepostrzeżenie spacerować po schodach tam z powrotem.

Tożmienia rzecz jasna całkowicie obraz rzeczy.

Barcik przynosisensację.

Gdzieśw połowie kwietniapomiędzySobczańskim a Steineremdoszło do grubszejawantury.

Rzecz działa się na przyjęciu u pewnego lekarza.

Bylipo dużejwódce.

Steiner w grubiańskiej formieoświadczył, że nie będzie grać z Sobczańskim.

Padły wzajemneobelgi.

Steiner pchnął czy teżodepchnął Sobczańskiego.

"Nie siadam dogry z człowiekiem, który nie płaci.

"Sobczańskiwpadł w furję, zdołał się jednakopanować.

"Płacę swoje rachunki w takiej kolejności,jak to Jest możliwe.

Jednena raty, inne z grubą nawiązką.

" Podobno za-

108

brzmiało bardzo groźnie, ale Steiner parsknąłmu w nos.

"Może masz zamiar przysłać mi sekundantów?

Spóźniłeśsię.

To było modne trzydzieścilattemu.

"Sobczański wsadził obie ręce do kieszeni.

"Zabijałem ludzi, nie trując sekundantów.

" Od tej chwili nie spotkał się ani razu.

Sobczański był w konspiracji rzeczywiście zabijał.

Zieliński gwizdza przez zęby.

-Jeżeli to nie są groźby.

- Kto mówi, żenie?

-dziwi się Pirek.

- Motyw też z tej ziemi - dorzuca Barcik.

-Cholera - Pirek nie może usiedzieć.

- Zaczyna się wyzdemograficzny.

Trzecia osoba z motywami.

Niedługo trzeba będzie założyć skorowidz.

Pierwsza osoba numer jeden: Hrynowska z parteru.

Motywy czysty kryształ.

Śmierć za śmierć.

Przysięga na podwórku, łeb do gazu i terzeczy.

- Gdzie jest pierwsza osoba numer jeden?

-pyta Barcik.

-Jak się ustali, będzie wiadome.

Druga osoba numer jeden: profesor Sobczański.

Zapłata za publiczną zniewagę.

Był na miejscu.

- Nowokreowany numer jeden: Roleński - dorzuca Barcik.

- Osiem lat?

- patrzyz wyrzutem na długopis, który nie chce się utrzymać na końcu palca.

- Więc cóż z tego?

Miłość się nie przedawia.

Wezwanie poszło w trybie zwykłym, obserwatora doczepiona na wszelki wypadek.

W sprawie o morderstwo lepiej nieryzykować.

O godzinie dziewiątej czekają w pełni gotowości.

Harmonogram przesłuchania opracowany w najdrobniejszych szczegółach.

Punkty, podpunkty, kilka wersji w zależności od tego, co on powie.

Zieliński po raz chyba dziesiąty przekartkuje akta.

109.

- No - zegarek na przegubie ręki Pirka celuje niby lufa tajemniczej broni - co jest?

- Czemu nie ma - prostuje Barcik.

- Nie ma przykład pana R.

O godzinie dziewiątej trzydziści Pirek wyraził zwięzłą ocenę

sytuacji:-Oho, ho.

Zieliński powiedział:- Cholera.

Barcik zagwizdał.

Pirekoznajmił, że obydwaj mają rację.

O godzinie dziewiętej czterdzieści nadzegłował obserwator z miną obitegopsa.

Osamotniony i bez busoli, pijane dziecko we mgle.

Zieliński spojrzał na Barcika, tensmętnie popatrzał na Pirka.

Wszystko ewidentne.

Gośćwystawiony rufą do wiatru.

Obserwator łamie się.

Najwięcej interesują go w tej chwili czubki własnych butów.

Swoją drogą trudno zrozumieć: pracownik ze stażem, fachman, zęby na tej robocie zjadł, wszystkie zagrania ma w małym palcu i żeby pozwolił się upłynnić jak pierwotniak, który dopiero pierwszekroki.

Obserwator też niepotrafił zrozumieć.

Co innego jakiś wielki kozak z ferajny, zdarzają się woltyżerowie wyższej szkoły jazdy, ale człowiek, który nigdy nie depta nofawratu za rufą?

Honor zawodowy u wier.

Już nie tylko ten haczyk, koledzy niezapomną.

No, idzie, żadnych cudów z lusterkiem, szyb wystawowych nie wykorzystuje.

Nate rzeczy to już automatycznie.

O oglądaniu się ogólenie ma mowy.

Baranek, krótkomówiąc.

Nagle dwa mijające się tramwaje, do tego furgon meblowy.

Cholerniedługibył ten furgon.

No i cześć pracy.

Niśladu, ni popiołu.

- Szukam jak głupi.

Gdzie tam.

Więc melduję.

- Człowiek cierpi - współczuje po jego wyjściu Barcik.

Pirek odyma wargi.

110- Człowiek nieważne.

Człowiek od tego jest.

Ale sztuka.

Sztuka nie powinna.

CB sobie jeden z drugim będzie wycierać.

A my sprostowanie: "Prawdą jest, że zostaliśmy załatwieni na czysto".

Drugi numer jeden dał nurkaw Polskę.

A Polska kraj obszerny.

-Dlaczego Polska?

- Zieliński wpada nagle w kompleks Kasandry.

-Inne kraje też istnieją.

Choćby za wodą.

Gdy chodziło o morderstwo.

- Trzecia lokata - próbując wbrew własnemu przekonaniu zdeprecjonować Pirek.

-Trzecia to była, jak on był.

Ale po tym salto mortale.

O godzinie dziesiątej Zieliński z trzaskiem zamyka drzwi.

-Godot nie przyjdzie.

- To już z samego założenia.

-Barcik jest całkiem zrezygnowany.

Pirek zamierza coś dorzucić.

Odzywa się telefon.

Zielińskiego zatyka.

Otwiera usta, zamyka, odchrząkuje.

- Niechczeka.

-Kto?

- pytają równocześnie.

Wzrusza ramionami.

- Wezwany Zenon Roleński.

-I o co ten cały raban?

-uśmiecha się krzywo Pirek.

-Że wstąpił sobie napół czarnej?

Wraca wysłana na zwiadysekretarka: "stertaczasopism, przysunął sobie popielniczkę.

Wyraźnie nastawionyna dłuższe czekanie.

Nie sprawia wrażenia zdenerwowanego.

Zniecierpliwiony także raczej nie jest".

To od razu kładzie pierwszy punktprogramu.

- Prędzej my tu skruszejemy- stwierdza ponuro Pirek.

-Jasne - złość się Barcik - wszystko, psiakrew, jakkomu wygodniej.

Byle nienam.

Przychodzi, kiedychce,111.

instalujefilię MPK, on będzie sobieprasę, a nas będziezlag.

Do kitu z takarobotą.

- No togościa pod nóż - decyduje Zieliński.

Wcale gonie zachwyca perspektywazaczynania odrazuz usterką.

Nie widzi jednak innego wyjścia.

Powściągliwy ukłon Roleńskiego obejmuje wszystkichtrzech.

Sekretarka ma rację.

Trudno by siędopatrzyć jakichśoznak zdenerwowania.

- Rolapodejrzanego o dokonaniemorderstwa - zajmuje miejsce na wskazanym przez Zielińskiego krześle -czyż może być coś bardziej upragnionego dla producentakryminalów?

Od biurka do biurkastrzelają alarmujące błyski oczu.

Zieliński przygląda się Roleńskiemu, jakby nagle wyciągnął z zanieistniejącej cholewy nieistniejący nóż.

- O dokonanie morderstwa?

-wydusza wreszcie.

-Aleprzecież.

- Rozumiem - uśmiecha się - kwestiapostawienia zarzutów.

Ale przy pewnej wprawie wukładaniu zagadekkryminalnych takarzec można rozwiązać wewłasnymzakresie.

- Ciekawe- Zieliński myśli o tych, którzy przez

chęć zaimponowania powiedzieli o parę słów za dużo.

-Wielki problem to nie był.

Komenda Główna i cieńsnujący za plecami określa rangę.

Role, niestety, też.

Toni świadkom depcze się popiętach.

A więc grubsza historia i grubsza pomyłka.

Ale takich rzeczy tak zupełnie powietrza jednak się nie bierze.

Co mogło być punktem wyjścia?

- kreśl papierosem znak zapytania.

- Okres przed moim wyjazdem nie wchodzi w rachubę.

- Hm..

- Jasne.

Wezwanie majuz wywiadowca.

W tej kategorii nie czeka się na powrót z wczasów.

Nikt o mnie nie pytał, ani dozorca, ani w Centralnym Zarządzie.

Dwa tygodnie?

- Kręci 112 głową.

- Nie.

To musiało wyskoczyć później.

Bo ja wiem.

Parędni, kilka.

To już górna granica.

Ale w Naukowie deszczowa symfonia.

Bezśladu pożywki dla wydumania jakiejś makabry.

Po powrocie także nic.

Nie mordowało się.

Dopópełnienianadużyć nie zdarzyła się okazja.

Pozostawała jedyna możliwość: pokój numer dziewięć.

Aktualny mąż pięknej damy ginie śmiercią gwałtowną.

Dawać poprzedniemu męża.

Cóż z tego, że całe lata?

Osiem czy ileś tam.

Utajona zazdrość jątrzyła bez przerwy i gdy nadarzyła się okazja pomsty.

Wprawdzie był mąż znajdował się w momencie katastrofy kilkadziesiąt kilometrów, ale to żadna przeszkoda dla twórczej fantazji.

Pani doktorowa opowiedziała mi wyczerpująco o
Wielkim Eksperymentcie.

- Telefonował pan do niej.

- A do kogo miałem?

Do Komendy?

Starsza pani bardzo przeżywa.

Była zachwycona, że może się podzielić ciężarem.

Skompletowałem sobie wszystkie elementy, które były do zdobycia.

W rezultacie - gładz palcami mankiet - przyznaję: mogło się odbyć właśnie w taki sposób.

Niestety nie mogę panom służyć swoją osobą do tej koncepcji.

- Nie?

- Nie.

Pojechałem sobie grzeczniutko do domu.

Niezalegałem w krzakach, niewracałem do dziewiątki, nie zabiłem Steinera.

- Mam nadzieję, że potrafi pan to udowodnić?

- Że nie zabiłem Steinera.

- Że pojechał pan grzeczniutko do domu autobusem siódma pięćdziesiąt osiem.

- Uważają panowie, że to ma jakieś znaczenie?

- Decydujące.

- No, ja bym tego nie powiedział.

Alenija prowadzi śledztwo.

Więc raczej nie.

- Jakto?

Konduktor jednego autobusu, drugiego, taksówka.

113.

- Nie było taksówki - Roleński ruchem nawyku podciąga spodnie na

kolanach.

- O tej porze nigdy nie mataksówek.

W jednym autobusie tłok, w drugim autobusie tłok, dlaczego tramwaj miałby być czymś lepszym?

Nie jestem megalomanem.

Niezaliczam siebie do grona ludzi, na których wystarczy spojrzeć, by od razu wiedzieć kto.

Brak podstaw, aby ktoś zapamiętał moją twarz.

- Telewizja.

Fotografie w prasie.

- Niestety, bardzo sporadyczne.

Poza tym kwestia okoliczności.

Podróż w godzinach szczytu nie usposabia do obserwacji otoczenia.

Niezależnie od wszystkiego - zapala nowy papieros - panowie mnie niedoceniają.

Na pewno potrafiłbym w bardziej pomysłowy sposób zmontować scenariusz zbrodni.

Prostokwestia wprawy.

- Ten scenariusz również jest bardzo pomysłowy.

- Chała - strzepuje popiół.

- Wziąć choćby stawianieną przeciąg.

To mogłoby ująć od biedy gdzieś w czasach pierwszych kroków

Sherlocka Holmesa albo nawet raczej Poe'go.

Ale dziś kryminologia ma możliwość korzystania z tak wyposażonego zaplecza naukowo-technicznego.

- Wzruszaramionami.

- W każdym razie autor zademonstrował z kolei, że panów nie docenia.

Lalewicz z nagłym pośpiechem zaczął szukać czegoś w swoim notesie.

Zieliński bezskutecznie usiłuje wycisnąć jakieś konkrety z protokołu.

Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność.

Poruszono dziesiątki najróżnorodniejszych zagadnień.

Kilkakrotnie zmieniano taktykę.

Rezultat w najmniejszym stopniu nie pokrywał wysiłku.

- Chciałbym tylko wiedzieć, ile właściwie wydziałów powinien mieć za sobą kandydat na Wzorowego Milicjanta?

Zprawa, mówiąc między nami, pożytek najmniejszy.

- Koniec z magistrami- Barcik wali dłoń w biurko.

- Inżynierowie dusz, to w literaturze, a nie żeby musiał milicjant.

Po nas przyjdą technicy do obsługi maszyn elektronicznych.

Maszyna powie: "pan łączy, panie R.

Bo to było tak tak".

Maszyna by już wszystko wiedziała.

A my nie wiemy.

-Fakt - wzdycha Zieliński.

- Sytuacja zero.

-Dwa zera - poprawia Barcik.

Pirekkiwaz politowaniem głową.

-Jasne, że ktoś musi być czerwoną latarnią.

Ale dlaczego zawsze nią musisz być akurat ty?

Trójką i kółko, szanowny.

Bezpieczniej sobie zapamiętać.

- Wszystko nanić.

-Zielińskima już dosyć swojego fotela.

-Miłość nie, małżeństwo nie, motyw nie, podstawydo podejrzenia nie.

Czego się, psiakrew, tylko tknąć.

Zupełnie jakbym kamienie naszosię rąbał.

- Tłukł - mówi Barcik.

-Co tłukł?

- Patrzy na niego spod oka.

-Co tłukł?

- Zielińskizatrzymuje się nagle w swej wędrówce po gabinecie.

Ma taki wyraz twarzy, jakby go wszystkie zęby rozbolały.

- Co znowu tłukł?

-Kamienie.

Kamienie na szosie to się tłucze.

Rąbaniedotyczy innychrzeczy.

Na przykład nas.

Myprzed chwilązostaliśmy zrabani.

Pirek przeciąga się, aż coś chrupie.

- A jeżeli gośćmówi prawdę?

-Nieważne,co prawda, a co nieprawda.

Ważne, żebyśmy wiedzieli,co jest co.

Prawda, o której nikt.

- No, jednak ktoś.

-Zielińskiopiera się o biurkoBarcika.

- Ktoś jako taki, pozasferą zainteresowań - Barcik tniepoziomym ruchem powietrze - miałem na myśli kogośz nas.

Więc jak zpunktacją?

- Roleński przyłącza się dopeletonu.

-Popieram - mówi Pirek.

- Nie zdołał wyprzedzićSobczańskiego.

Tylkojedna Hrynowska z parteru.

Ale jejniewidać.

115.

Zieliński patrzyna zegarek.

Nawet nie przypuszczał, że już tak późno.

- Spróbujemy podciągnąć kółko.

-Którego?

- Którego się da.

Nie ma zgody, żeby szli łeb w łeb.

Boto jest, prośbę komisji, morderstwo jednoosobowe.

Znowu w tonacji srebrnolila, ale odcień barw znacznie bardziej żywy.

Pierokpotem będzie twierdził, że nawet perfumy były jakieś weselsze.

Ale słowa honoru na to nieda.

Wyraźnie nie jest zachwycony wezwaniem.

Nie zadajesz sobie specjalnego trudu, aby to ukryć.

Tak. Jej pierwszym mężem był Zenon Roleński.

Autor powieści kryminalnych- trudno by chyba wyraźniej podkreślić brak zainteresowania tego rodzaju lekturą.

Zapierwyszym razem nie wspomniała o Roleńskim, bo nikt oniego nie pytał.

Rzecz jasna nie chodziło o jakieś przemilczenie.

To byłoby zresztą nie do pomyślenia.

Wyrok rozwodowy zapadł bez orzekania o winie.

Nie było zresztą winy.

Po prostu przyszło nowe i na to nikt nie był w stanie poradzić.

Nie, Roleński nie stawiał przeszkód.

Przeżył to jednak niezmiernie ciężko.

Jego załamanie się stanowiło publiczną tajemnicę.

- Bywały momenty - głodzi w zamyśleniu materiał swej sukni - gdy obawiałam się katastrofy.

- Co panima na myśli?

- Że targnie się na życie.

- Swoje?

- To także.

Ale myślałam o zamachu na mnie i mego ówczesnego narzeczonego.

Roleński potrafił być bardzo gwałtowny.

Ja nie wnoszę żadnej skargi, ale o mało mnienie zabił.

Zieliński mruży oczy.

To mogłabyć niezła bomba.

- Ażtak?

116- No, jeżeli rzuca się taką popielniczką.

- obcyrklowuje w powietrzu obwód głębokiego talerza - z ciężkiego kryształu o ostrych kantach.

Gdyby trafiła w głowę.

- Rzucił?

- przechyla się ku niej.

- Chciał.

-Zaraz - Zieliński nagle ostyga.

-Jak to pani rozumie:"chciał rzucić"?

Zamachnął się?

- Prawie.

No więc złapał ze stołu.

To było podczas awantury.

Podczas jednej z awantur.

Był o mnie wściekle zazdrosny.

- Co dalej zrobił z tą popielniczką?

-Nie zwróciłam uwagi.

Widocznie zdołał się w ostatniej chwili opanować.

- Uhm.

A w czasie rozwodzenia się nie robił awantur?

-Jakżeż nie.

Groził, że zabije Erne.

że zabije Steinera- poprawiasię.

Zieliński sztywnieje.

Więc jednak bomba.

- Była pani przy tym obecna?

-On to do mnie mówił.

- Hm - obraz znowu mętnieje.

-Jeszcze ktoś słyszał?

- Mecenasa Kocienka.

Mój pełnomocnik w sprawie rozwodowej.

- Adres?

Steinerowa potrząsa z ubolewaniem głową.

- Niestety.

Od przeszło trzech lat już nie żyje.

Zieliński odkłada na chwilę długopis.

Trociny.

Wszystko trociny.

Żeby choć jeden konkretny, na który można się oprzeć.

-Jaką dwójkę zareagował na te groźby?

- pyta bez zapału.

Jaką wartość ma opowieść świadka o innym świadku?

A choćby nawet o wielu innych?

W sumie itak będzie tylko jeden świadek.

- Wcale nie reagował.

Udał, że nie słyszy.

Erne.

hm..Steiner obiecał mu specjalną premię, jeżeli prędko zała 117.

twi sprawę.

Roleński mógł ją przeciągać latami.

Należałowięc za wszelką cenę unikać zadrażnień.

- Czy mogłaby pani dokładnie powtórzyć, co powiedział Roleński?

- Zaraz - pociera czoło.

- Chwileczkę.

No więc, że Steiner niedługo się będzie cieszył triumfem, bo go zabije.

- Jest pani pewna, że powiedział: "zabije"?

- Z całą pewnością.

- Czy doszło między nimi do jakiejś bezpośredniej scysji?

- Nie wiem.

Nie słyszałam.

Barcik odkłada słuchawkę na biurko.

- Wiadomość z pociągu.

- Zieliński kiwa głową.

Rzecz jasna chodziło o załadunek pociąg.

- Musimy panią na parę minut przeprosić.

Steinerowa podrywa się, jakby ją nagle coś przeraziło.

- Mam poczekać w korytarzu?

- Głosem jakiś niepewny.

- Nie.

Wkancelarii.

To nie potrwa długo.

Barcik dochodzi do obitych materiałem drzwi, które się zamknęły za Steinerową.

- Hm.

Krótko mówiąc: Roleński.

- A dlaczego by nie?

- Zieliński przygląda się z zainteresowaniem protokołowi.

- Jeżeli uważacie, że w tej sprawie w ogóle cokolwiek jest wstanie zastrzelić.

- Przeczył pismo nosem i przygwał - domyśla się Pirek.

- Ale po co?

Barcik kiwa głową.

- Słusznie.

Po co?

- Wyjaśnić.

Nie - skrobie się w szczękę - taknie mogło być.

Ten współczynnik inteligencji.

Ceniony autormusił sobie od razu dawać sprawę jak i co.

Cholera- klnie zduszonym głosem - logicznie rzecz biorąc, niepowinien był w tej chwili przychodzić.

- Rozumowanie z gatunku cioci z wásami.

-stwierdza Barcik.

-Tylko co to daje?

118- Fakt.

- Zieliński odsuwa protokół.

-Roleński przyszedł.

Nie wierzę, żeby działał wbrewlogice.

Przyszedł icosiedzieje dalej?

- Telefonz biura przepustek.

Wyprawiamy Steinerową,żeby się naradzić.

Steinerowa jest przestraszona.

- Była przestraszona - potwierdza Barcik - obserwowałem ją, jak wychodziła.

-Genialne - woła Pirek.

Zielińskimimo woli zerka w kierunku drzwi.

- Nie było tak trudno zauważyć - mówi skromnieBarcik.

Pirekmachareką.

- Przecież ja nie o tobie.

Roleński zadziałałgenialnie.

Jego nazwisko uruchomiło cały mechanizm alarmowy.

Steinerowa siedząc u nasw gabinecie, dostaje ostrzegawczy przyczek:

uważaj na riffl.

Nietrudnobyło przewidziećwłączania się kolejnych faz.

Skutek jak w założeniu.

Bo żebabkapotelefonie była strzelona, szkoda każdego słowa.

Siada na krześle, zakłada nogę na nogę, obciąga sukienkę.

- Czypanowie zapisali to wszystko, co mówiłam przedtem?

-Oczywiście.

- Zieliński pełen jest jak najgorszychprzeczuć.

Wykrakali, psiakrew.

Bo jeżeli mechanizm alarmowy zadziałał bezusterkowo.

- Przykromi, że panowie zadali sobie tyle niepotrzebnego trudu.

-Nie, terazwcale nie robi wrażenia przestraszonej.

Nie błędnie, niecierwienisię, nie ma mowy o spuszczeniu oczu.

Zachowuje się, jakby wszystkobyłow zupełnym porządku.

- Pozwolipani, że sami ocenimy, co jest potrzebne -replikuje nieco ostrzej, niżzamierzał.

-Oczywiście - gładzi kolano przezmięisty materiał 19.

sukienki.

- Chciałam tylko oznajmić, że cofam swoje zeznania dotyczące Zenona Roleńskiego.

Dobre sobie- patrzy na nią spod oka.

O niczym innym dzisiaj nie zeznawała.

-Wszystkie?

- Zielińskiemu niełatwo przychodzi zachowanie rzeczowego tonu.

-Tak, wszystkie.

Będą uważane za niebyłe, prawda?

- Ach, nie -prostuje niedbale - cofnięte zeznania zostaną ocenione pod względem swej mocy dowodowej.

Steinerowaprostuje się.

- Nie chciałabym rozpoczynać dyskusji na obcym sobie gruncie prawa, ale, o ile się orientuję, jest pan w błędzie.

-Patrzy mu prosto w twarz.

Zieliński nie bardzo wie, jak się ustosunkować, tak sytuacja zdarzyła mu się po raz pierwszy.

I żeby chociaż po tamtej stronie biurka siedział wytrawny adwokat.

On miała poza sobą dwa lata wyższej szkoły teatralnej.

Co ma teatr dokpk.

Odchrząkuje.

Jego dyplom pochodzi zniezbyt dawnych czasów.

- Nerozumiem?

-Roleńskijest przecież moim byłym mężem.

Zieliński niepuszcza oczu.

Śmiesznebyłoby, gdybyprzed nią spuścił oczy.

Ale ma takie uczucie, jakby gowalnęła pięścią w twarz.

Artykuł dziewięćdziesiąt cztery.

Cholera,artykuł dziewięćdziesiąt cztery.

Idiotyczna historia.

Jak mógł otym zapomnieć?

- Nieporozumienie - stwierdza chłodno.

-Nie chodziwięco cofnięcie zeznań, tylko o odmowę ich złożenia.

Tak.Przysługuje pani to prawo.

- Nie uprzedziłmnie pano tym prawie.

Żmija.

Zieliński sięga po długopis.

Jeżeli Roleńskirzeczywiście zamordował, todlaczego nie skręcił
raczejkarkutej ksantypie?

120- ORoleńskim mówiła paniz własnej inicjatywy.

-Odpowiadałamnapytania.

- Ach nie - zgarnia jakiśokruch z biurka.

-Mytylkopytaliśmy, czy Roleński był pani mężem i dlaczego panionim niewspomniała w czasie naszej pierwszej rozmowy.

Dalsze "sensacje" w tej kwestii to już pani własne tworzywo.

"Przeżył to.

niezmiernie ciężko", "omało mnienie zabił", "groził, że go zabije" - podkreśla w powietrzu długopisem.

- Nie mamy prawa kneblować świadkomust.

Skoroktoś zeznaje z własnej woli, znaczy się- chce zeznawać.

-Odsapnął.

Chyba wyszło gładko.

Wpisuje jej oświadczenie.

- Zechcepanijeszczce raz poczekać wkancelarii.

-Ale skoro odmówiła.

Przerywa jej ruchem ręki.

- Niech paniten kłopot pozostawinam.

Będziemy rozmawiali orzeczach, których nie dotyczyprawo odmowy.

- Co właściwie chcesz zwojować?

nierozumie Barcik.

- Konfrontacja.

-Ech - macha z rezygnacją ręką Pirek -był piesek, alemusię zdechło.

- Zobaczymy, czy mu się zdechło.

-Zieliński zezłością nakręca numer.

-No, więc dawajcie tego Roleńskiego.

- I co nam to da, jak go będziemy mieli?

-Pierknie bardzo sobie wyobraża.

- Poprosimy, żeby otworzył przed nami serce.

Czy rzeczywiście tak bardzo cierpiał?

Jak to było z tą popielniczką?

Czy groził, że zabije Steinera?

- A on na przykład niezechce.

Powie: jest w kpk.

takiartykuł dziewięćdziesiąty czwarty.

Ma się to prawo nie odpowiadać na kłopotliwe pytania.

- Nie wierzę.

-Barcik próbuje ustawić bakelitowe korytko na fundamentach żołądków.

-To byłoby niezręczne.

Dzwoni telefon.

Zieliński podejmuje słuchawkę.

- Co?

-marszczy brwi.

-Co takiego?

Hm..tak.

Jasne.

121.

- Rzuca słuchawkę, niczym jadowitego węża.

- A jeżeli chodzi o Roleńskiego, to nie przyjdzie.

- Dlaczego?

- pyta Pirek.

- Zdematerializowała się.

- Ludzie, nie dajcie się zwariować - stęka Barcik.

- Więc co, kwiaty nam przyniósł?

- Jegorolaskończyła się z chwilą uruchomienia ciągnika alarmowego.

- Tak - potwierdza Zieliński.

- Z tego wynika, że właśnie tak.

W takim razie poranek autorski jutro skoro świt.

- Uśmiechnij się - mówi ponuro Barcik - jutro będzie lepiej.

Meble fornirowane orzechem.

Nad farbki błękitnym tapczanem ręcznie malowany jeleni na rykowisku.

Prawdziwy olej.

Szeroka, pełna ornamentów rama lśniąca złotą.

- Ależ tak - pan Gruszkowski, długoletni konduktor PKS-u, kiwa potakująco głową.

-Jakżebymgomógłniepoznać?

Nie mówiąc już o telewizji, całkiem niedawno byłem na jego wieczorze autorskim.

Siedziałemw pierwszym rzędzie, potem podpisał mi egzemplarz swej książki.

Z całą pewnością to był on.

Ja, panie, mam takapamięć, że jak kogoś raz sobieprzyuważę, to choćby.

No więc siódmapięćdziesiąt osiemz Telewizjówka.

Nie, nie późniejszy.

Jakczłowiekowi wątrobę przez noswyciskają to sobie zapamięta.

Właśnie o siódmej pięćdziesiąt osiem.

Data?

W pierwszej połowie maja.

Dzień zarazustalimy.

Nie będzie trudno - bo my, uważa pan, na różnezmiiany.

Inaczej nie szłoby wytrzymać.

- Przekartkowujestroniczki, wreszcie podkreśla coś paznokciem.

-10 maja.

Pewne jak w aptece.

Muchanie siada.

Mogę zeznać wszędzie, gdziebędzie potrzeba.

Choćby i pod przysięgą.

Konduktor MP Apan Jarzabek sam Roleńskiego nie za122uważył.

Owszem, widywałgo w telewizji, ale jakoś nie poznał.

Tłok zresztą wtedy był taki, że niech ręka boska.

Wskazałmu go dyspozytor na Wiatracznej.

"Patrz pan, to ten Roleński od kryminałów.

Ostatnio wyszła jego powieść Krew w nocy.

"Roleński dopiero co wysiadł zwozu.

Pan Jarzabek nie ma najmniejszych wątpliwości.

To był właśnie ten pisarz.

Hamulce były coś nie w porządku, więc wóz poszedł do zajezdni.

Tak samo jak pan Gruszkowski sprawdza w planie swojej pracy.

- 10 maja, godzina ósma trzydzieści sześć.

-Dobre - konkluduje Zieliński.

- Nikt go nie zna, nikt go nie zauważył, ale kogo tylko zapytać.

Przepytywanie wśród konduktorów tramwajowych raczej nie rokowało szans.

Zieliński zresztą wcale nie był przekonany, że Roleński wracał rzeczywiście tramwajem.

A jak się właściwie przedstawia sprawa z dozorcą?

Dozorcę Zieliński zastał dopiero za trzecim razem.

Suchy, żyłasty, przez cały czas ustawicznie zerkał na zegarek, jakby każda minuta jego życia stanowiła cząstkę jakiegoś niezmiennego układu.

- Tak, widziałem, jak pan mecenas wracał z Naukowa.

Zieliński postanowił niczemu się nie dziwić.

- Mówił panu, dokąd wyjeżdża?

- On zawsze mówi.

I zostawia numer telefonu na wypadek, jakby go ktoś pilnie poszukiwał.

No więc była godzina dziesiąta czterdzieści pięć.

- Patrzył panna zegarek?

- Tak.

- Czy istniał jakiś specjalny powód aż tak dokładnego ustalania godziny powrotu Roleńskiego?

- To nie miało nic wspólnego z jego powrotem.

Akuratkończyłem zamiatanie pierwszego podwórka i trzeba było sprawdzić, czy utrzymuję się w rozkładzie.

123.

- W rozkładzie?

Dozorca uśmiecha się.

- No cóż, u mnie wszystko musi iść według rozkładu.

Inaczej bym nie dał rady.

Przy samym dozorcostwie ile roboty.

A jeszcze pólata i co się tam wydarzy.

Nie tak łatwoutrzymać sześcioro.

Tyle właśnie ich mam.

- Roleński pana widział?

-Nie.

Nie patrzył w moją stronę.

Przeszedł przez bramę, szedł zresztą bardzo powoli, a jeszcze z rąk mu wyleciała jakaś paczka i musiał ją podnieść.

Jak kto ma w jednym ręku walizkę, w drugim maszynę dopisania, to mutakarzec nie idzie zbyt sporo.

W końcu podniósł i wszedł na swoje schody.

-Długo pan jeszcze pozostawał na podwórku?

-Przeszło godzinę.

Zamiatalem drugą bramę, potem drugie podwórko.

Na półtata idę o godzinie trzynastej, do tego czasu wiele rzeczy trzeba załatwić.

- Zawsze ściśle według rozkładu?

-Musi być według rozkładu i musi być ściśle.

- Codziennie ten sam rozkład?

-W sobotę wychodzę o jedenastej, więc wszystko przesuwam się o te dwie godziny.

W niedzielę, rzecz jasna, tylko jakby coś akurat nagłego.

- Czy Roleński wychodził z domu zawsze o tej samej porze?

- Ależ skąd.

Rzadko mu się zdarza, żeby choć dwadzieścia z rzędu.

A i tonięco do minuty.

- Bywa, że pomiędzy dziesiątą trzydzieści a jedenastą?

- Najczęściej właśnie w tym czasie.

- Od dawna stosuje pan swój harmonogram?

- To jak wziąłem ten półetatu.

Kawał czasu.

Niedługo będzie dwadzieścia lat.

- Nie potrzebował patrzeć - reasumuje Zieliński.

- Dziesiąta czterdzieści pięć, znaczy się dozorca kończy zamiatać pierwsze podwórko.

Matematyczny pewnik.

Pirek nie poważa matematycznych pewników.

W ogóle nie poważa matematyki.

Alergia jeszcze z czasów szkolnych.

- Pytanie tylko, czy mu na tym zależało.

- Sęk - przyznaje Barcik.

- Gdyby powiedział: "może", wogóle nie byłoby, o co zaczepić.

- Atak niby jest?

- Powiedział: "nie sędzę".

To jest świadome odwracanie obrazu.

W jakim celu?

Wiedział, że telewizzowie, że prasa, że dozorca, że murowane alibi.

My do niego z nożem, a on sobie bimba.

To jednak daje do myślenia.

- Myśl, synu - to nie jest zakazane nawet w godzinach urzędowania.

Ale namój guston także myśli.

I jego szare komórki pracują bezusterkowo.

Bo komu alibi niepotrzebne, ten się nie wysiła.

Jasne?

- Jasne, że niejasne.

- Barcik usiłuje postawić sztorcem długopis.

- Bo jemu akurat potrzebne.

- Nie życzy sobie przyjąć tego do wiadomości.

Pracujena "nie".

Powiadasz: "świadomie odwraca obraz".

Proszę przejmie.

No to go odwrócimy jeszcze raz.

Nanasze pytanie, bez żadnych "ale", uzewnętrznia się.

O tej godzinie świadek ten, otamtej tamten, załączniki według

specyfikacji.

Czy sądzisz, że taki numernie dałby do myślenia?

- Nie sądziecie, abyście nie byli sądzeni.

-Barcik podnosi długopis, trzymając go za kulkę, po czym z dezaprobatą przygląda się fioletowym końcom swych palców.

-Możeby dał.

W rezultacie licho wie, jak z tym alibi.

Coś jakby prze-fajnowane.

- Roleński również - uzupełnia Pirek.

-Niech ci będzie.

Więc licho i Roleński.

- A tobie by się nie chciało.

I co z tego?

Nie wychodzi.

- Te załączniki.

-podejmuje po dłuższej chwili Zieliński.

125.

-Jakie znów załączniki?

- obydwaj są szczerze zdziwieni.

Zieliński kiwa z ubolewaniem głową.

- I słusznie.

Pojaką cholere pamiętać, co się samemu mówi?

A o załącznikach strzelił Pirek.

Że niby według specyfikacji do alibi.

Tomi nasuwa pewną myśl.

- Co jest?

- Pirek robi przerażoną minę.

- Dopiero co jednemu się zebrała na myślenie, teraz znów leci drugi.

Istna epidemia, psiakrew.

Żeby tylko niektóry nie zaraził.

Kaleciak nadzeglowała komendę z zachowaniem bezpiecznego dystansu, ale w gabinecie zjawił się, rzecz jasna, przedtem niż Roleńskiemu zdążono wypisać przepustkę.

Nie przynosił żadnych sensacji.

Roleński przyjechał bezpośrednio do domu.

No wyszedł, kupił papierosy, kupił prasę, wsiadł w tramwaj, teraz jest w biurze przepustek.

Towszystko.

Pirek uśmiecha się porozumiewawczo.

- Nie próbował się zdematerializować po drodze?

Kaleciak jednak dziś wyraźnie bez iskry.

Nie podejmuje uśmiechu.

- Nie.

Tym razem jakoś nie próbował.

- Pewno już wyczerpał plan swych wiosennych galopów.

Teraz będzie jadł z ręki.

Zobaczycie.

Z jakiegoś powodu Kaleciak mrocznieje do reszty.

-Długo tu pozostanie?

- Hm.

-zastanawia się Zieliński- sami wiecie,jak %z tym jest.

Niektórym się zdarzyło, że nazawsze.

Tu raczej nie przewidziano.

Według przewidywań plus minus około dwóch godzin.

Półtorej gwarantowane.

Możecie iść się opalać.

- To już chyba Bosko.

Mój dyżur skończony.

Odmeldował się ponuro i wybył.

126

- My wiemy, że te groźby miały miejsce- oświadcza Zieliński.

Barcik nachyla się nad blokiem.

Możnaby pomyśleć: stenografuje.

To jednak nie jest stenografia.

Kreski splatają się w coś, co przypomina dziwaczny kwiat.

Barciknie bardzo aprobuje temat dzisiejszej rozmowy.

Zielińskimówi: "my wiemy".

To jest prawda.

Ale źródło już niedasieć pogodzić z przepisami.

- Chciałbym panom pomóc - Roleński przygląda się swym rękom splecionym na kolanie.

-Niestety jednak.

No, naprawdę jakoś niepotrafię sobie przypomnieć.

Czymóglby pan powtórzyć dokładnie brzmienie słów,których miałem wtedyużyć?

- "Niedługo się będzie cieszyć swoim triumfem, bo gozabiję.

"Rzecz jasna, mówił pan to o Steinerze.

Roleński pociera czoło-"Niedługo się będzie cieszyć swoim triumfem,bo gozabiję.

"Hm..

A do kogo miałemto powiedzieć?

-Zieliński ma takiwyraz twarzy, jakby wszystkobyłownajwiększymporządku.

-Do swojejówczesnej żony.

Piknie - komentuje w duchu Barcik.

Niech sobie teraz tylko ówczesny mąż pogada z ówczesną żoną o tym,co

rozmawiało się tutaj.

Może wyjść lepszy numer.

Oboje umieją czytać kpk.

- Zaraz - zmarszczone czoło Roleńskiego sygnalizuje ryw szarych komórek - to było u jej pełnomocnika.

Taki stary adwokat, no, jak mu tam, aha, Kocienko.

Czy nie tak?

- Tak - potwierdza kwapliwie Zieliński.

- Przypomniał pan sobie wreszcie?

- Owszem.

Tylko że to nie były groźby.

Zieliński jest bardzo zdziwiony.

- Nie?

Zapowiedzenie, że ktoś zostanie zabity, pańskim zdaniem nie stanowi groźby?

127.

- Nie były groźby - powtarza Roleński.

- W każdym razie nie moim imieniu.

- Tylko w czyim?

- Teraz dopiero Zieliński nic nie rozumie.

- Losu - uśmiecha się Roleński.

- Widzi pan: ja niegroziłem Steinerowi.

Jago żałowałem.

Mojabyła żona odznacza się doświadczeniem wybuchowym usposobieniem.

Przepada za urządzaniem awantur.

Potrafi awanturować się kilka razy dziennie o każdy drobiazg.

Trzeba sporo zapasu odporności psychicznej, aby to bezkarnie znieść.

Steiner był człowiekiem starszym, podobno schorowanym.

Wniosek więc, że to małżeństwo zabije go w trybie przyspieszonym, nasunął się sam przez się.

Tego właśnie dotyczyły te słowa pana.

Długopis zawisa w powietrzu.

Czysta bzdura.

Jedno jest pewne: nie zdążyli się ze sobą porozumieć.

- Więc to ona urządzała awantury?

Roleńskiznowu się uśmiecha.

- Nie chciałbym być niedyskretny, ale czy to możliwe, żeby ani razu nie zademonstrowała panom próbki swego temperamentu?

Brwi Zielińskiego unoszą się wysoko.

- Tutaj?

- Och, nie wyobrażam sobie, aby jej sprawiała jakkolwiek różnicę.

Pańskie zdziwienie świadczy jednak, że nie.

Ale nic straconego.

Można stawiać na pewniaka.

- Pannigdy nie urządzał awantur?

-Ja? Trudno chyba o człowieka mniej predysponowanego.

- Rozumiem.

No, a jak było właściwie z tą popielniczką?

- Wielka, z ciężkiego kryształu.

Gdyby trafiła w głowę, mogłaby ją zabić.

- Niewątpliwie.

Na szczęście jednak nie trafiła.

Zieliński odchrząkuje wyczekująco.

Z tego znowu coś się zaczyna wykluwać?

128- Fakt, że się odchyliłem z toru balistycznego popielniczki, trudno chyba uważać za awanturnictwo - podejmuje po chwili Roleński.

- Aczkolwiek wskutek tego popielniczka roztrzaskała się ościanę.

Podstawy wartościowania są oczywiście względne, ale w tamtym momencie akurat więcej zależało mi na całości mojej głowy.

- Więc popielniczka roztrzaskała się?

- W drobny mak.

Jeszcze jeden kot odwrócony ogonem.

Zieliński szuka waktach tego, co mu kpk.

nie bardzo pozwala znaleźć.

Tylko z której strony naprawdę tenogon powiniensięznajdować?

Tezaiantyteza.

W jaki sposób dojść do syntezy?

-Poproszę o dokładniejsze opisanie zdarzenia z popielniczką.

-Cóż.

Niewiele tuda opowiadania.

Po prostu kwestia temperamentu.

W pasji nie zwraca się uwagi, co podręką.

Wazon to wazon, popielniczka to popielniczka.

Moja żonanie należy zresztą podtym względem dowyjątków.

Wiele pań uprawia dyscyplinę miotania porcelanyi kryształów w zaciszu domowego ogniska.

Zielińskispoglądaku sąsiednim biurkom.

DługopisBarcika nieodrywa sięod bloku.

Na pewno tworzykolejny egzemplarz kwiatu konferencyjnego.

Odsamegopoczątku był nastawiony negatywnie.

Po minie Pirka widać, że też nie ma zamiaru zadawać dalszych pytań.

Naokolicznościgróźb, zamachów nażycie w czasie małżeńskich awantur można było z czystym sumieniem postawićkrzyżyk.

- Kiedy pan po raz ostatni rozmawiał zeswoją byłążoną?

-pytanie pada właściwie tylko po to,aby nie ograniczać przesłuchania do tego,coposzło na marne.

Ale too nim powie później Barcik,że zrekompensowało jałowość całego kabaretu smutnych, który trwał do tej chwili.

129.

-Hm.

Roleński przeciąga palcempo kancie spodni- chyba odsprawy rozwodowej.

W tym momencie Barcik przerwał rysowanie swegokwiatu.

Coś go wprawiło w stan alarmowy, ale niepodnosi głowy i milczy.

- Przeszte osiemlat niespotkał pan jej ani razu?

-Pragniesz się upewnić Zieliński.

Odnosi wrażenie, że poruszenie tego tematu z jakiegoś powodu nie dogodzi Roleńskiemu.

- W każdym razie nie przypominam sobie.

-Łże - orzeka bezapelacyjnie Barcik.

- Wszyscy wiedzą, że się spotykali.

Określenie "wszyscy" w gruncie rzeczy niewiele odbiega od określenia "nikt".

Paradoks jest tylko pozorny.

Jedni i drugi oderwane od konkretów.

Konkretami natomiast Barcik chwilowo nie rozporządza.

Zapowiada zdobycie ich w najbliższym czasie.

Dotychczas nie przywiązywał wagi do faktu spotkania się byłych małżonków, więc wszystko, co muna ten temat mówiono, puszczał mimo uszu.

Ale przeczenie Roleńskiego zapala czerwony sygnał.

Coś w tym musi być.

-Aż piszczy.

No, ja już tona czystą wodę.

I wyłowię.

-Piszczy to w trawie -poucza Pirek.

- Albo zielony śledź.

Ałowi się w mętnej wodzie codo sedna nie zgłasza zastrzeżeń -
spotykają się czy nie spotykają się?

A jeżeli tak, to dlaczego?

Mętne.

Fakt.

Zieliński mawąpliwość.

- Przy alibina żelbet?

-Gdy do żelbetu wziąć zbyt wiele cementu, zaczynają pękać.

Nadmiernie tworzenie kiedyś szkodzi nie mniej niż jego niedostatek.

Analizują poszczególne ogniwa.

Dwóch: konduktor, dyspozytor, tu nie może być żadnej luki.

Natomiast jeżeli chodzi o dozorcę.

130 Godzina dziesiąta czterdzieści pięć.

Zieliński staje przed bramą domu, w którym mieszka Roleński.

Ogranicza się do dyskretnej obserwacji.

Dozorca jest gadatliwy.

Lepiej nie wywoływać przedwczesnego alarmu.

Akurat kończy zmiatanie pierwszego podwórka.

Stoi twarzą dopierwszej bramy.

Musi widzieć każdego, kto przez nią przechodzi.

Teraz odwraca się plecami i przystępuje do zmiatania drugiej bramy.

O godzinie dziesiątej czterdzieści osiem dociera do drugiej klatki schodowej.

W tym miejscu znowu odwraca się przodem do wyjścia na ulicę.

Widać tak mu jest wygodniej.

Następnego dnia Zieliński powtarza rozpoznanie.

O godzinie dziesiątej czterdzieści cztery dozorca kończy z pierwszym podwórkiem.

Do tej chwili patrzy w kierunku ulicy.

Potem odwraca się.

Dociera do drugiej klatki schodowej, tym razem zabiera tylko dwie minuty.

Niemal dokładnie powtarza te same ruchy, jak automat wykonujący

nadany program.

Ale pomimo wszystko nie można było jeszcze wykluczyć biegu okoliczności.

Za trzecim razem przebieg zupełnie identyczny.

Odchylenia poszczególnych czasów w żadnym wypadku nie przekraczały dwóch minut.

Opowieść o czymś podobnym Zieliński najpewniej uznałby za nieprawdopodobną.

Tylko że to nie była opowieść.

Roleński, o ile po zobaczeniu go przez dozorcę wyszedł z powrotem, miał na to dwie do trzech minut.

W ciągu tego czasu musiał: wejść na drugie piętro.

Otworzyć drzwi, które pewno miały więcej niż jeden zamek.

Wstawić bagaż.

Zamknąć drzwi.

Ześć na dół.

Przebyć parę metrów dzielących klatkę schodową od ulicy.

Zdążenie wymagałoby błyskawicznego tempa.

Ryzyko spostrzeżenia duże, zwiększone jeszcze przez możliwość, że dozorca odwróci się o minutę wcześniej.

131.

Ale jeżeli Roleński w ogóle niewchodził na piętro?

Wtedy wprawdzie musiałby albo oddać bagaż na przechowanie gdzieś po drodze, w jakimśna przykład sklepie czy kiosku, albo zabrać z sobą, ale za to ryzyko zauważenia jego wyjścia przez dozorcę zmniejszało się niepomrotnie.

Przy jednej i drugiej wersji lądowania ulicy pomiędzy dziesiątą czterdzieści siedem a dziesiątą czterdzieści dziewięć.

Uwzględniając godzinę śmierci Steinera, w grę mogły wchodzić jedynie autobusy odchodzące z Wiatracznej dziesiątą pięćdziesiąt cztery i jedenasta.

Późniejsze nie miały połączenia w Aninie z PKS-em aż do godziny dwunastej pięćdziesiąt pięć.

A więc na przebycie drogi Emilii Plater - Wiatracznej pozostawałoby siedem do trzydziestu minut.

Jeżeli chodzi o samochód, zupełnie wystarczy, pod warunkiem że ten samochód miało się do dyspozycji.

Szukanie przed jedenastą w tej okolicy taksówki nie dawało żadnych szans.

Podzielili uczciwie robotę.

Obchodzą dyspozytornie MPT.

Przylapują na postojach kierowców taksówek prywatnych.

- 10 maja, godzina przed jedenastą, ulica Emilii Plater albo gdzieś w pobliżu.

Może Aleje, może Nowogrodzka, może Chałubińskiego.

Mężczyzna około pięćdziesiątki.

- podają dokładny rysopis.

Wszystko to razem żadnemu nic niemówi.

Tyle czasu.

Jeździ się przecież w dzień, jeździ się w nocy, gdzie tam pamiętać każdy kurs.

- Za udzielenie informacji nagroda.

Ten i ów zapytał od niechcienia: ile?

- Sto złotych.

Sto złotych nikogo nie podnieca.

- Chodzi o morderstwo.

Od razu zupełnie inny wydźwięk.

Morderców warszawscy taksówkarze nie kochają.

Robota puchnie.

Nigdy nie ma tej taksówki, jak się chce akurat je chać.

Ana prawda jest tego cholery i trochę.

Zieliński zaprzęga kilku wywiadowców.

Teraz akcja rusza z kopyta.

- No itak - Zieliński odsuwa niechętnym ruchem markusze z wynotowanymi numerami - komplet.

Wszystkie taksówki kursujące przed południem 10 maja zostały rozpracowane i nic nie świadczyło, by którąś z nich Roleński wracał na Wiatraczną.

- Tylko nie komplet - protestuje Pirek.

- Z prowincji niby linie doskakują?

Albo, powiedzmy, pojechał na łebka.

- Powiedzmy - godzi się posepnie Zieliński.

- A namz tego co?

- Ustaliliśmy.

- Barcik jest zmęczony i zły.

Nawet musieć kląć nie chce.

- My wciąż coś ustalamy.

A wzięć do ręki.

- No to nie bierz - śmieje się Pirek.

Nielubirozpamiętywania.

- A jak tam sprawa randek eksmałżonków?

Ściśnięte pomiędzy dwoma ołówkami pudełko zapalek ląduje nabiurku Zielińskiego.

Rakieta biurko-biurko.

Zieliński zapala papierosa i chowa pudełko do kieszeni.

- Dziękuję.

Barcik odwraca się ku Pirkowi.

- Czy ty za przeproszeniem wiesz, ile mam rąk?

- Za przeproszeniem cztery.

Ale żeby rozmawiać wszystkimi jednocześnie to już nie ty.

Koordinacja mianowicie nie gra.

A u mnie zagrała piękna Irka.

-Skąd tyznów do Steinerowej?

-Ma się ten zryw.

- Pirek wyciąga przed siebie nogi nacałą długość.

-Wróciłem wcześniej, a Sokal musiał się przed kimś zewnętrznąć.

-Sensacja?

- pyta bez wiary Zieliński.

Pirek wzrusza ramionami.

-Ja wiem?

133.

W każdym razie chłopak z inwencją.

Nie starcza mudeptania po piętach.

Rozgląda się.

- Matko, nie przegrzewaj dziecka - złości się Barcik.

-Ciągniesz, cholera, jak chory ząb.

Kleszcze ci trzeba założyć?

- Gospośia odeszła.

-To co z tego, że odeszła?

- Barcik jakoś niedostrzegapointy.

-Może i coś -mówiz namysłem Zieliński.

- Każdagospoia topotencjalny świadek.

Ale nowy adres chybamożna ustalić?

- Ba.

Dlatego właśnie Sokal przygnał, że nie.

- Co znów za cuda?

Musiała sięprzecież dokąds wymeldować.

- Tam się nic nie musi.

Paniprofesorowa nie z formalistek.

Nie zameldowała i zbyte.

Przez to i teraz w trybieuproszczonym.

Odpłynęła w siną dal.

Koniec pieśni.

Zieliński patrzyna kalendarz.

- Ani pierwszy, ani piętnasty.

Ale jeżeli w tym, co opowiadał Roleński o usposobieniu Steinerowej, jest choć połowa prawdy.

- Gospoiaodeszła z samego rana następnego dnia po naszej rozmowie ze Steinerową.

-Ciekawe.

- Barcik układa spinacze w skomplikowaną figurę.

-Myślicie, że jakieś powiązanie?

Pirek prostujesz się z godnością.

-Tu się, proszę porucznika, nie myśli.

Tusię urzęduje.

- Mogąbyć.

-Zieliński trze podbródek.

- A czyja mówię, że nie?

-obrusza się Pirek.

-Ja przecieźnie mówię, że niemogę.

Nieutulona nie kocha, żebyjej zostawiać ankietę minionych lat.

Dowód jak wyżej.

Jednego się nie zezna, drugie się odwoła, sprawa załatwiona.

Gosposia komplikuje.

Prawo nie zapewnia gosposi odmawiania zeznań.

No toco ztego, że się samemu niezezna, jeżeli w zamian zezna gosposia?

134- Wyczerpująco- przyznajeBarcik.

- Teraz już jawiem, co wywiecie.

Ale żebywypadł w zachwyty, to nie.

Bo jeżelimacie rację, to znaczy, że nie macieracji.

- Hm.

-odchrząkuje znaczącoPirek.

-Też wyczerpuje.

Nie tyle temat, co słuchacza.

- Słuchacz wyczerpał się już przedtem.

Bo jeżeli wypuszcza się zręki, żeby łapać kanarki, a kanarkowi tak się nie złapało.

Zieliński stuka długopisem o szklaną tafłę biurka.

- Tylko bez siania paniki.

Gdzie słoń, gdzie kanarek?

Żeby coś wypuścić z ręki, trzeba przedtem w tym ręku mieć.

Co kto miał?

Ani się zaczyna.

Strata z gatunku milion przegrywanego cotydzien w totka.

Zresztą operacja trwa.

- Gra w totka?

- pytanie winnie Barcik.

- Proszę się wyrażać - odparowuje Zieliński - mówimy o dochodzeniu jak o takim.

Kłania się, papierosy podtyka, wciąż o tej nalewce, coto mamusia własnymi rękoma.

Pozwoli sobie następnym razem szanownemu panu tę ćwiartuchę, wszyscy mówią, że choćby na jaką zagraniczną wystawę, też by mamusi wstydu nie przyniosła.

Pana Józefa toż po sercu.

Z dzisiejszych mało kto starym szacunek potrafi okazać.

-No co z panem- uśmiecha się i wstaje - muszę się chyba o ten adres postarać.

Młody ćmiłeniwie papierosa.

Jest zadowolony.

W końcu przecież zagrało.

Szło jak z kamienia, ale wyszło.

Papieros się skończył.

Przydusza go podeszwą, zapala następny.

Coś jakoś przydługo.

Już i ten się dopala.

Cholera.

Że dozorca poszedł, to jest szczenie wszystko.

Wreszcie wraca.

Jakby go podmienili.

Ani śladu uśmiechu, zgarbiony, wstydzi się czegoś?

Ale do brzesi to niezapowiada.

135.

- Pewno szanowny pan nie zastał pani profesorowej?

Pan Józef macha smętnie ręką.

Bardzo chciał się temuchłopakowi przysłużyć.

- Żebyto.

Mówi, że nie zna jej adresu.

Na wieś- powiada - do swojej rodziny.

Ale na jaką wieś?

- Notojak teraz?

-bąka bezradnie młody.

Iminęmaprzy tymtaką, że panJózef do reszty posepnieje.

- Boże, ja.

Chciałbym z duszy, serca.

Niech panwpadnie wprzyszłym tygodniu- dorzuca po chwili - może jakiś list albo znak życia.

Wie przecież, że ktoś może onią.

- Pozwolę sobie, skoro szanowny pan taki łaskaw.

-Jeszczeodchodząc, ogląda się.

Widać bardzo mu natymadresie zależy.

- Beznadziejne -relacjonuje później.

-Czy pani profesorowa wie, czy nie wie, wychodzi na jedno.

Itaknie chcepowiedzieć.

A kto mógłby jeszcze opróczniej?

Wsąsiednich sklepachosoba w oko niewpadła.

W ogóle niewiedzą, o kogo chodzi.

Ani przyjaciółki, ani podrywacza.

Jakby coś, dozorcamusiałyby wiedzieć.

W te sprawy zawsze najlepiej wprowadzeni.

Można powiedzieć: z urzędu.

W przyszłym tygodniu spróbuje się jeszcze raz.

Więcej dla czystości sumienia.

On osobiście nie wierzy, aby coś mogło wyjść.

Zieliński kiwa afirmując głową.

On też nie wierzy.

Ale wyraża się dopiero po wyjściu wywiadowcy.

Większość kontekstów nie przeszłoby przez cenzurę.

- No, ja już z niej wyciągnę.

- Taak- przeciąga sceptycznie Barcik.

- Ewidentne.

My wszystko ze wszystkich wyciągamy.

- Wciąż jest w podłym nastroju.

Sprawa wlecze się szaro i bez sukcesów.

Nielubi takich.

- Ja już z niej wyciągnę- powtarza Zieliński.

- To jest bisowanie - konstatuje Pirek.

-A gdzie były oklaski?

Coś się nie słyszało.

-Jak jednego oklaskali, kompresy musiał sobie przy-

136

kładać - mówi Zieliński.

- Ceterum censeo: żałobną trzeba wżwać.

-Jak trzeba, to co sobie żałować?

- Barcik dorysowujena bloku nóżki, przez coniewidziany kwiat przekształcasię w niewidzialne zwierzę.

-Ja tylko dla porządku koncepcji: istnieje problem Steinerowej jako Steinerowej?

- Dla mnie - zaprzecza Zieliński.

-Dla mnie tymczasem nie - uzupełnia.

-Steinerowa to problem Roleńskiego.

- Czyli na moje wyszło - triumfuje Pirek.

-Pamiętacie, jak mówiłem.

- Och, któż by był w stanie - obcina go Barcik - ty przecież bez przerwy gaworzysz.

-O czym mówiłeś?

-zainteresował się Zieliński.

Coś sobie akurat rozważał.

- O alibi.

Jedyny numer pierwszy z porządnym alibi, toz niego nie chcemy zejść zażadne tysiące.

Zieliński ziewa, co jest raczej demonstracją niż naturalnym odruchem.

- Za porządne.

On oświadczył nic.

Jego świadkowie świadczą o nim.

Owszem, słowa się nie da powiedzieć pozytywnie.

Tylko czy tencią jestaby rzeczywiście jednolity?

Które to już z kolei wcielenie Steinerowej?

Jakby miał do czynienia z natrętnym petentem.

Czy oni przypadkiem nie zdają sobie sprawy, że te ustawiczne wezwania stają się już zbyt kłopotliwe?

Nie chciałyby posuwać się do jakichś skarg czy zażaleń, nie jest pieniactwem, ale ostatecznie wszystko musi mieć swoje granice.

Złożyła przecież oświadczenie, że nie będzie znawała otym, co dotyczy jej byłego męża i to chyba powinno zamykać sprawę.

Zieliński nie stawia sprawy na ostrzu noża, woli unikać bytycznych zadrażnień, wszystkotorazem i tak nie cieszy.

137.

- Zaszła konieczność sprawdzenia pewnych okoliczności.

Nachodzenie pani w jej mieszkaniu wydawało się nam gorszym złem z dwóch, jakie były do dyspozycji.

I tym razem nie będzie podstawy do odmowy zeznań.

Zastrzegła się, że sama to oceni.

Na pierwszy ogień dziesięć spraw gospośkich.

Steinerowa z miejsca przybiera nieprzyjemny ton.

Prosi o podanie przepisu zakazującego rozwiązywania umów o pracę z pracownicą domową.

Na jakiej podstawie milicja ingeruje w tę sprawę?

- Kwestia meldunkowa - wyjaśnia szorstko Zieliński.

- Mieszkała przez dłuższy czas bez zameldowania.

- Te sprawy załatwiał mój mąż.

Może rzeczywiście zaniedbał.

Ale przy ciężarze gatunkowym obowiązków, jak na nim ciążyły.

- Gdy gospośka odchodziła, pani mąż już nie żył.

Pani była główną lokatorką.

- Nie znam się na tych sprawach.

Ale jak mogłam ja zameldować, skoro nie była zameldowana?

Zieliński rezygnuje z dalszego roztrząsania.

Pyta o adres.

Steinerowa adresu nie zna.

- Nie był mi potrzebny.

Wszystko załatwiłyśmy, miała resztę do mnie napisać.

Wróciła na wieś do swojej rodziny.

Nie potrafię powiedzieć, w jakim województwie.

Na imię miała Hanna.

Nazwisko, zdaje się, Dzierżgoń.

- Nawet brzmienia nazwiska nie jest zupełnie pewna.

Niewidziała jej dowodu osobistego.

Wszystkie domowe formalności to już tylko mąż.

Krótko mówiąc: kamień w wodę- myśli Zieliński.

I co z tego wynika?

- Może jednak ktoś zna jej adres?

- Chyba że nasz dozorca.

Nie, prawda, on nie.

Przychodził pytać, ktoś go to prosił.

Czy ten ktoś był z milicji?

Nie? Wprost zdumiewające.

Milicja to przecież 138 tysięcy najmniejszych komórek, a tu od razu wiadomo, że pewno żadna z nich nie.

Zieliński gładzi długopis.

Tylko bez nerw.

Decyduje forma.

Nie ma podstaw do zareagowania.

- Czy powody odprawienia gospożki zdania nadziei stanowią

panipojęciu w jakimśsensietajemnicę?

-Ach, nie.

Oczywiście, że nie.

Sprawa jest zupełnieprosta.

Jej obecność przypomina mi tę.

tę katastrofę.

Niebyłam już w stanie tego dłużejnieść.

Zgrabnie- konstatuje w duchu Zieliński - przyszedłtaki moment, a że akurat zbiegł się z przesłuchaniem.

-Jak byłoz roztrzaskaniem kryształowejpopielniczki?

- Złożyłamprzecież oświadczenie o skorzystaniu z prawaodmowy zeznań.

-Pytam, czy pani roztrzaskała tę popielniczkę?

Wolnorównież nieodpowiadać, jeżeli odpowiedź mogłaby panią narazić na odpowiedzialnośćzaprzestępstwo.

- Śmieszne.

Coś takiego było.

Wypadła mi z ręki.

- Tak poprostu wypadła?

-Była bardzo ciężka.

Trzymałam ją nieuważnie.

- Stłukła się?

-Możliwe.

Kryształ miał wyjątkowo głęboki szlif.

- A nie było przypadkiem tak, że popielniczka roztrzaskała się o ścianę?

-O ścianę?

-potrzęsa głową.

- No, wiepan!

Jakoś sobie nie wyobrażam, w jaki sposób to mogłoby się stać.

Ale nie potrafię stwierdzić na pewno.

Niepamiętam.

Nieprzywiązywałam znaczenia do szczegółów.

- Nawet takiego szczegółu, jak to, że popielniczka została rzucona w Roleńskiego?

-Nonsens.

Gdyby ta popielniczka.

Och, odwieziono by go do szpitala.

- Czy po rozwodzie spotykała się pani z Roleńskim?

-Tak.

Zdarzało się, że się spotykali.

To znaczy.

-139.

zawahała się.

- No cóż, spotkania miały charakter raczej przypadkowych.

Ja w każdym razie nie wykazywałam żadnej inicjatywy, aby je aranżować.

Steinerowa wysłuchiwała protokołu zeskupioną uwagą.

Ale to było jej dobre prawo.

- Mam nadzieję, że to już ostatni raz.

Zieliński rozkłada bezradnie ręce.

- Niestety, nie jesteśmy w stanie tego zagwarantować.

Widzi pani, w dochodzeniu.

- Niezgodność charakterów - orzeka Pirek, gdy po Steinerowej pozostał w gabinecie tylko drażniący zapach perfum.

- On jedno, ona drugie, gdzie tu prawda?

- Nieadekwatność oceny zjawisk - prostuje Barcik - z własnym mikroklimatem włącznie.

Pirek jest pełen zachwytu.

- Mocna rzecz.

Żebym ja miał takie słownictwo, karieraw pionie intelekturowana.

O moim stylu już niejeden powiedział: zjawisko samo w sobie.

- Co to znaczy?

- chciałby wiedzieć Barcik.

-Idź ty, ciemna glino.

To nie ma znaczyć, to mabrzmieć.

Nowiesz, jak te surmyi te inne.

Postanowili przepracować na nowo zagadnienie samochodu.

Przepytanowszystkich i aniśladu.

Więc co?

Gdzieśmusiała być chyba luka.

Kupno milczenia raczej nie wchodziło w grę.

Nieuczciwy kierowca zyskałby sposobność doszantażu, uczciwy poleciałby na milicję.

Raczej wóznałebka.

Jeżelitak - dżungla.

Łebki rozrosły się w instytucjęużyteczności powszechnej.

Co gorzej - nikt siędo łebkównie przyzna.

Wydział Finansowy tylko na takich czeka.

-Ja stawiam jednakna taksówkę - upiera się Zieliński.

- Taksówka,latający Holender - mówi Pirek - z TrąbekMałych.

-Normalna warszawska taksówka.

140-Więc co?

- denerwuje się Barcik.

-Dlaczego kierowca łże?

- Kierowanie łże.

-Nie - Barcik zaciska palcami skronie - z tobą można kręćka.

Czego nie wykładasz wszystkiego na stół?

Chyba;" widzisz, że nie chwytny.

- Błąd psychologiczny.

Mówiąc, że pasażer nie wysiadał, kierowca mówił prawdę.

- Słuchaj - Barcikowi rozsypuje się całe pudełko spinaczy - jeżeli nie przestaniesz czarować.

-Kwestia punktu, z którego się na rzecz patrzy.

Pogadałem sobie wczoraj z kilkoma kierowcami taksówek, trochę mi się rozjaśniło.

Oni traktują samochód jako podstawowy sposób poruszania się.

Czy przechodzień powie: "Poszedłem coś kupić", jeżeli kupuje w kiosku papierosy?

- To jest myśl.

- Pirek przegarnia palcami włosy.

- Jak babcię kocham, to jest myśl!

No, Roleński mówi: "Chwileczkę, skoczę po papierosy".

- Około trzech minut - przypomina Barcik.

- Choćby trzy.

Kiosk tuż obok je go brawmy.

Wracając, zaciska w garści przygotowane uprzednio papierosy.

"Ależ mądryka.

Teraz, panie kochany, gazu, żebyśmy się nie spóźnili.

" Na miejscukierowcy też nie uważałbym, że pasażer wysiadał.

Skoczył po papierosy.

- Otóż to -potakuje Zieliński.

-A takie rzeczy nie zostają w pamięci.

- Dmijcie w rogi.

-Pirek obciąga marynarkę.

-Wódz mobilizuje armię rezerwową i ruszamy na łów.

- A my nie ruszamy.

-Zieliński zapala papierosa.

Pirek patrzy na niego niepewnie.

- Zwierzyna ma przyjechać do nas?

-Właśnie.

Polowanie z przynętą.

- Tylko nie podawać, że nagroda sto złotych.

To podziałałoby jak flądry.

141.

- Ogłoszenie do prasy.

- Barcik zbiera spinacze.

Tej roboty starczy mu na czas dłuższy.

- A pan Roleński też pewno odczasu do czasu prasę sobie czytuje.

-Noi coż tego, że przeczyta?

Da kontrę: "Zaniestawienie się nagroda podwójna"?

- Słusznie- przyznaje Pirek.

-Na ogłoszenie pan Roleński niema żadnej rady.

- Ogłoszenie powinno być nieduże, ale sympatyczne -ciągnie Zieliński.

-No i.

- No i z sensem - odpowiada Pirek.

-No i z sensem - powtarza Zieliński.

- Wtamtym polowaniu już punkt wyjściowy nie grał.

Uparliśmy się, że wziął taksówkę gdzieś w pobliżu Emilii Plater.

Po licha miał ułatwiać?

Wziął ją właśnie gdzieś jak najdalej od punktu zero.

- Normalny sposób zacierania śladów- stwierdza rzeczowo Pirek.

-Tylko najgorszy z całej klasy natoby niewpadł.

Atacy dwaj, jak nastrzech, no my potrafiliśmy.

Niech nas gęś generała lewanożką.

- Gdzie?

wzrusza ramionami Barcik.

To niedaje żadnej orientacji.

Daleko od.

- strzepuje palcami - phi!

-Początek trasy odpada - wyjaśnia Zieliński.

- Dla nasobojętny.

-Początek odpada.

Punkt zero nie utrwalił się w pamięci.

Cóż pozostaje?

- Meta.

-Pirek podkreśla w powietrzu.

-Jasne.

Kierowca, który odwoził pasażera w dniu 10 maja bieżącego roku na przystanek MPA przy ulicy Wiatracznej pomiędzy dziesiątą pięćdziesiątą a jedenastą pięć.

- Hm.

-uśmiecha się Zieliński.

-Te pięć minut zapasu po odejściu autobusu?

- Cholera.

-Pirek poczerwieniał.

Wychodzi mu to zupełnie w stylu wczesnomłodzieżowym.

-Jak się człowiek rozpędzi.

142-Jeszcze jedno.

Posługiwaliśmy się rysopisem.

Gadanyportret nie załatwia.

To trzeba normalnie.

Grunt to dobra fotografia.

Dodatkowe ozdóbki załatwimy na miejscu.

- Nakładki w formie dostosowane do wielkości twarzy na fotografii okularów bądź nakryć głowy Zieliński przed długi czas uważał za swój wynalazek.

Gdy mu powiedziano, że rzecz jest znana, nie upierał się, choć niewidział czarno na białym.

Wachlarz przewidywań Pirka był niezmiernie szeroki.

- Tłumy - zapowiadał.

- Nie będzie wiadomo, co z nimi zrobić.

Nagroda - uśmiecha się aprobująco.

- Gdy brak bardziej ścisłych określeń, ludziom się roją złote góry, to nęci.

Zlecają się jak ćmy do nocnego światła.

Usłyszymy setkach pasażerów, z których każdy może być Steinerem.

- Ja osobiście na tonie liczę.

- Ale to było innego dnia i akurat padał deszcz.

- Nagroda - strzepuje w zgardliwie palcami.

- Ile?

Diabli wiedzą.

Co to ma wspólnego z konkretami?

Chybatylko ostatnituman mógłby na to polecieć.

Nie wyobrażam sobie, żeby ktośzaryzykował tracenieczasu, choćbyśmy ponawialiogłoszenia do końca świata.

Nawetjeżeli naprawdémógłby udzielić informacji.

Prawda jak zawsze nie leżała wcale po środku.

Przyszłowsunie dwóchjedenz nichbyłakurat tym, którego potrzebowali.

Może wszystko miałoby zupełnie inny przebieg, gdybyz miejsca zapytał o wysokość nagrody.

Na szczęścieniewpadłomu to na myśl.

Albo po prostu nie starczyło śmiałości.

Sto złotych miało wyraźny posmak octu siedmiuzłodziei.

Alegość zdążył już wszystko z siebie wypluć.

Jednak Zielińskimiałrację.

To była taksówka MPT.

Pasażerwsiadł w pobliżu Sądów.

Gdzieśokoło pięćdzie-

siatki, twarz pociągła, gładko wygolony.

Trzymasieprost.

Płaszcz z ortalionu.

Chyba włoski.

W jednym ręku płaskamaszyna do pisania, w drugim walizka.

Ztych modnych.

- Miękka, na błyskawiczny.

-Ten?

- Zielińskipodsuwa fotografie.

Zeznający niemoże się zdecydować.

- Miał duże przeciwsłoneczne okulary.

To jednakzmienia.

Zieliński otwiera klaser.

-Jakie okulary?

- Ciemne?

Kształt oprawki?

- Lustrzanka.

Oprawa ciemna - rysuje palcem w powietrzu.

Zieliński patrzyważnie.

- Aha - szpera pincetką w klaserze.

-Coś w tym rodzaju?

-wyciąga odpowiednią nakładkę.

Kierowca jest zachwycony.

- Byczy pomysł.

No więc pasuje.

Ale beretu pan chyba tam nie ma?

- Znajdziesz.

Baskijski?

- Nie.

Taki, wie pan, z tych szerszych.

Naciągnięty głęboko na czoło.

- Pincetką unosi w górę wycięty z brystolu beret.

-Taki?

- nakładka zakrywa czoło Roleńskiego.

Kierowca potrząsa głową.

- Powiedziałem: naciągnięty.

W ten sposób jak te.

no, choćby hajdamackie czasy.

- Sięga do karku, jakby zamierzał ściągnąć swój skalp na twarz.

Zieliński jest zakłopotany.

W klaserze brak odpowiedniej atrapy.

-Hm.Dosyć dziwacznie - mruczy.

- Dlaczego?

Niektórzy tak właśnie noszą.

- Jakoś spróbujemy - niezdecydowanie nachyla się nad blokiem.

Nie bardzo wierzy, że to co zdoła spłodzić, 144 będzie choć przy zastosowaniu taryfy ulgowej przypominało naciągnięty na czoło берет.

- Pozwólcie kapitanie.

-Pirek odbiera mu warsztat- widziałem w naturze.

- Szkicujeszybko, zerkając na fotografię, aby utrzymać się w proporcjach.

Po zaaprobowaniu przez kierowcę, wycina żyłkę.

Nakłada na fotografię.

- Ten -oświadcza kierowca - teraz poznaję.

Z całą pewnością ten.

-Kazał się wieść na Wiatraczną.

Chciał zdążyć na jedenastą.

Czasu było aż nadto.

- Zatrzymaliście się gdzieś po drodze?

-Nie.

- Barcik ściąga wargi, jakby chciał gwizdać.

-Na pewno nie?

- Kierowca zastanawia się.

-Jakoś nieprzypominam sobie.

- Możewyskoczył do kiosku popapierosy?

-Zaraz - obejmuje palcamiskronie - chwileczkę.

- Nagle wali dłonią w kolano.

-Ależtak.

Zgadza się.

Właśniepo papierosy.

Klął, żekioskarz zmarudził, boprzecież licznik.

Zieliński mruży oczy pod adresem sąsiednich biurek.

Sytuacja rozwija sięzgodnie z planem.

- W którym to było miejscu?

-Hm..

W Alejach.

-Może przy EmiliiPlater?

-Tak -ucieszył się.

- Nawet śmiałem się, że lecido kiosku, choćgdzie indziej ma też pod nosem.

Ano samdużopalei wiem, jak to jest, gdy człowiekanagle przyprze,a tuakurat nic do sztachnięcia się.

- Czy wysiadającpo te papierosy, zabrałze sobą swójbagaż?

-Walizkę i maszynę.

- Nie dziwiło to pana?

145.

- Cóż.

Może się bał, że odjadę.

- A pan nie bał się, że zniknie, nie płacąc za kurs?

-Ja? - śmieje się.

- Copan.

Płaszcz przecież został wozie.

Kurs - strzepujeniedbalepalcami dwadzieściateż by opłacił.

- Zdążyliście na Wiatraczną?

-Zdążyło się.

Wylądował się zatrzy jedenasta.

- Widział pan, jak wsiada do autobusu?

-Nie.

Tam o tej porze nie maco liczyć na kurs.

Odpląnąłemw kierunkuśródmieścia, gdytylko wylądował na chodniku.

Okrągłe pudełeczko z przezroczystego plastyku podlatywało coraz wyżej, grzechocząc białymi tabletkami.

Dotychczas jakoś Barcikowi udawało się łapać je za każdymrazem.

Doktor powiedział: "Niechpan zażywa przezcały dzień.

Przy witaminie C nie grozi przedawkowanie".

Barcik doszedł do ręki odmiennej konkluzji już po trzeciej tablecie.

Jeszcze jak przedawkowane.

No, może kiedyś tam.

Na wszelki wypadek nosił w kieszeni.

- Ico zostało ze sławetnego alibi?

- To nie on nas nim poczęstował - podkreśla Pirek.

- Fakt - Zieliński tu rula długopis po płycie biurka.

- Taką masz Zosia samosia.

Sami alibi wykopaliliśmy i samiśmy gorozpieprzyli.

Pirek nie widzi powodów do pesymizmu.

- Nie stoimy w miejscu i nie cofamy się.

Samoobalenie alibi stworzyłoby sytuację bierną.

My zdobyliśmy coś więcej.

Coś znacznie więcej.

Gość po stworzeniu pozorów, zwróci do domu, w rzeczywistości powracając do zbrodni.

To jest, proszę obywateli, bez żadnej megalomanii, duży krok naprzód.

- Co sobie żałować.

- Barcik nie lubi przesady.

- Bo jakby się powiedziało tylko: wrócił na Wiatraczną.

146- Po co wrócił?

- złości się Pirek.

-Pytam uprzejmie,po jaką cholere musiałakurat na Wiatracznaj akurat tuprzed odejściem ostatniego autobusu na stację docelową"czas śmierci Steinera".

- Domniemania - Barcik chowa pudełko z witaminamido kieszeni-poszlaki.

Ja, osobiście,podejmuję sięnapoczekaniu ułożyć balladę o tysiącu i jeden powodów, dlaktórych Roleński musiał akurat tam i akurat wtedy.

I żaden z tych powodów nie będzie mieć nic wspólnego aniz autobusem, anitym bardziej z Naukowem.

Za drobnąopłatą nawet z przystankiem autobusowym także nie.

Zieliński kiwa potakująco głową.

- Właśnie.

Dowód bezpośredni to niejest.

A poszlaki.

phi!Nie lubię poszlak.

Palcem nawodzie, psiakrew.

- No dobrze - godzi się Pirek - tyłkogdzie tych bezpośrednich szukać?

-Otóż to.

Gdzie?

Sama Wiatraczna jeszcze nie urządza.

Żebyśmy choć mieli czarno na białym, że dotarłdoTelewizjówka.

Pirek zlekceważył.

- Z tym chyba w każdym razie będzie problemu.

-Omylił się.

Był problem.

Tym razem nie mieli szczęścia.

Ani jeden z konduktorów nie zauważył Roleńskiego.

O tej godzinie nie bywa wprawdzie tłoczno, ale oni w ogóle nie wiedzą, jak Roleński wygląda.

-Szkoda łez -zreasumował Zieliński.

- Źródło wyschło.

Teraz chyba tylko przypadek.

- Będziemy na niego czekać?

-pyta Pirek.

- Też-obruszył się.

-Czy my z tych, co czekają?

Zajrzy się popularnemu autorowi pod podszewkę.

- Rewizja?

-domyśla się Barcik.

- Uhum.

Gdzie jest powiedziane, że w czasie śledztwa należy dokonywać rewizji?

- Nigdzie.

Wręcz przeciwnie.

Rewizja rzecz pożyteczna 147.

na.

Żeby jeszcze było wiadomo, czego się po niej mam spodziewać.

- Wszystkiego.

Choćby nawet dowodów bezpośrednich.

- Jak to sobie właściwie wyobrażasz?

- A on to sobie wyobraża zwyczajnie - wtrąca Pirek.

- Mała kamera filmowa z samowyzwalaczem.

No i dokładny przebieg zdarzeń w pokoju numer dziewięć z Roleńskim w roli głównej.

- Wcale sobie nie wyobrażam - przyznaje Zieliński.

- I co z tego?

Spodziewać się wolno.

W ostateczności sprawdzę sobie pewną koncepcję.

- Jaką znów koncepcję?

- interesuje się Barcik.

- Czy on wiedział o tych konduktorach na trasie Telewizjówek - Wiatraczna?

- I to chcesz sprawdzić przez dokonanie rewizji?

- Tak.

Barcik znowu wyjmuję pudełko.

Chyba pomysłnie z tej ziemi.

Jakież tu mogą być dowody realne?

Pyta oto wprost.

- Widzisz- zaczyna Zieliński - człowiek jest tylko człowiekiem.

-Genialnie- woła Pirek.

Aleja to chyba już kiedyś słyszałem.

-Człowiek zapomina - ciągnie dalej Zieliński.

-Człowiekowi możesz odechcieć pamiętać.

Śmierć także ludzka rzecz.

Jeżeli więc Roleński wiedział, że konduktorzy go poznali i nie powiedział o tym, pomimo naszych pytań.

- Dozorca i kierowca taksówki, którą wracał na Wiatraczną - przypomina Barcik.

-Przyjmijmy, że niedomyśla się rozszyfrowania tych dwóch punktów.

Powracając do pierwszej jego jazdy, uważam, że skoro ryzykuje utratę w taki czynny sposób dowodu z zeznań świadków, musi mieć w zanadru jakiś bardziej trwały.

148-Hm.

Bilet?

- Tak.

Myślę, że chyba właśnie bilet.

Pirkowitonie przemawia.

- Co nam da, o ile nawet taki bilet znajdziemy?

- Klimat.

Będziemy wiedzieli, że każde posunięcie Roleńskiego było planowe i dokładnie przemyślane.

- Działamy w trybie nagłym?

- Barcik nie bardzo wierzy w sukces, ale jest zadowolony, że coś się będzie robić.

- Wobec ilości niecierpiących zwłoki?

- No, tak bardzo niecierpiące zwłoki te okoliczności nowuniesą.

Zdaży się poprosić o błogosławieństwo prokuratorskie.

- Już widzę Pawłowskiego jak będzie uszczęśliwiony śmieje się Pirek.

Pawłowski uszczęśliwiony nie był.

- Hm.

- Znęcał się bezlitośnie nad obwołaną akt - tak pan uważa, kapitanie?

Pasja niszczycielska, tennie odzowny element psychiki ludzkiej, znajdowała uniego ujście wyłącznie w tej formie.

Kancelaria od dawna wiedziała, że sprawy Pawłowskiego trzeba przed odesłaniem dosądu oprawiać na nowo.

Zieliński szeroko rozwijał o konduktorach, którzy widzieli, co na pierwszy rzut oka mogło się wydawać dowodem odciażającym, ale w gruncie rzeczy było czymś wręcz przeciwnym.

O biletach, które, być może, koronowały tę serię.

O automatyzowanym dozorczy, którego nie trzeba było

widzieć, aby wiedzieć, co w danej chwili robi.

O skomplikowanej inscenizacji rzekomego powrotu do domu.

O rzeczywistym powrocie na Wiatraczną i hipotetycznym do Naukowa.

O klimacie.

Dla Pawłowskiego tak zdecydowanie przejrzyste to wszystko razem jednak nie było.

149.

- Gdyby go przesłuchać na okoliczność tego powrotu na Wiatraczną?

Zieliński podskoczył.

- Syrena alarmowa, prokuratorze.

Wobecnym stadium śledztwa gość tylko węszy, czy nie czuć swądu.

Jeżeli się dowiedzie, że rozszyfrowaliśmy jego wypadek, wszystko, co mogłoby nas zainteresować, wyparuje w mgnieniu oka.

Jego samego zmobilizujemy na całej linii.

- Jeżeli potrafi jakoś wytłumaczyć.

- Och, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że potrafi.

Przy każdej okazji podkreśla konieczność uwzględnienia współczynnika inteligencji.

U niego ten współczynnik jest nie przeciętnie wysoki.

Od lat opracowywanie zagadek kryminalnych stanowi jego chleb powszedni.

Napewno nie zaniedbał przygotowania rezerwowych linii obronnych na

wypadek zdemaskowanego czynnego fragmentu scenariusza zbrodni.

Ale oczywiście, jeżeli panprokurator uważa za konieczne przesłuchanie go przed dokonaniem rewizji.

Nieszczęsna obwołana przypomina w tej chwili targany do stateczności łachman.

Pawłowski myśli, że Roleński jest szeroko znany nie tylko w granicach kraju.

Że w tego rodzaju sprawach tak niezmiernie łatwo spowodować przykre reperkusje.

Że widocznie ma pecha, skoro to musiało paść akurat na niego.

Że wprawdzie powody wysunięte przez Zielińskiego stoją w niezmiernie luźnym związku z faktami, ale tonie przeszkadza, by wniosek jego uznać za uzasadniony, bowiem rewizje w ogromnej większości wypadków dokonuje się "celem wykrycia dowodów winy" i w taki właśnie sposób ujmuje to między innymi kodeks.

Że w ogóle diabli wiedzą, co z tego wszystkiego w rezultacie wyniknie, bo dziewięć lat to jest dziewięć lat i on osobiście nie wierzył, aby ktoś mieszkający tylko w tym samym mieście, ale w tej samej dzielnicy, miał 150 aż tak długo czekać na zrealizowanie zemsty, skoro okazję do tego mógł przetestować czas znaleźć tysiące razy.

Że kombinacja, w której pisarz kryminalny popełnia morderstwo na tle niezmiernie zawiąlanej scenarii, raczej nadaje się jako wątek powieści niż jako rozwiązanie prawdziwego śledztwa.

Że, oczywiście, miał prawo przesłuchać podejrzanego w każdej chwili, jaką uważał za stosowną, ale wraz z jakichś komplikacji Zieliński myje ręce i zaczyna się bić w jego piersi, bo przecież uprzedzał.

Że w gruncie rzeczy milicja ma większe zeznanie tego, co należy w danym momencie zrobić, bo tak naprawdę ona prowadzi śledztwo.

Że wreszcie przedwczesne zaalarmowanie podejrzanego może w konsekwencji rzeczywiście pociągnąć za sobą niekorzystne dla toku sprawy skutki.

- Więc jesteście przeciwni, kapitanie, przesłuchaniu podejrzanego przed zarządzeniem rewizji?

- Raz tytułował go "panem", raz zwracał się per "wy".

Zieliński absolutnie nie orientował się, od czego to zależało.

W każdym razie na pewno nie od humoru.

Było mu to zresztą idealnie obojętne.

- Uwzględniając wszystkie jak najbardziej - podkreślił lekko - okoliczności?

- Wszystko bez wyjątku - potwierdza nieustępliwie.

Pawłowski się krzywi.

Myśli, że wolałby prowadzić dziesięć innych spraw niż tę jedną.

Nie mają jakoś doniejszczenia.

Od samego początku nie mają szczęścia.

Zaduzo podejrzanym.

Istny korowód.

Najgładziej by wyszło, gdyby sprawa stała na tej "Hrynowskiej z parteru", jak ją między sobą nazywali.

Cóż, zdarzają się, że ludzie znikają w żaden sposób nie można

ich odszukać.

Tym bardziej zdarzają się mordercom.

Gdyż za morderstwo popełniła kobieta, której, aby zmienić nazwisko, wystarczy po prostu wyjść za mąż.

Z domu?

Ach! Gdzieżby to było się w stanie ustalić naterenie całego kraju.

Bagatela: pięćdziesiąt lat.

151.

"Nasz popularny pisarz.

" Tak nazywała prasa Roleńskiego.

Zieliński demonstruje, że jest pewny swego.

Ale czy rzeczywiście jest tak pewny, jak by po nim można wywnioskować?

Może raczej dobra mina do niezbyt dobrej gry?

Sprawa się przeciąga, a jeżeli chodzi o osiągnięcia.

Już się zaczynały rozmowy na szczeblu.

Jeszcze niegroźne, ale pozbawione cienia entuzjazmu.

"Opinia publiczna żywo interesuje się sprawą.

" Co tam Zieliński będzie opowiadał klimacie.

Klimat tej sprawy Pawłowski wyczuwał przez skórę.

Nie znosił takich klientów.

Śledztwo to niewyścigi.

- No to cóżmam z wami robić, kapitanie?

-sięga poblankiet.

-Chce się czy nie, kładź człowieku zdrową głowę pod Ewangelię.

- Kładź -Zielińskizezujena żar swego papierosa.

-Niby kto?

W razie czego Pawłowski powie:"Cóż ja?

Zieliński sięupierał".

Swoją drogą mantykom najłatwiejsiężyje.

Barcik też miałby ubaw.

Wybraliczas, gdy Roleńskiego nie będzie w domu.

Praca idzie swobodniej, gdy podejrzany nie patrzy naręce.

Dozorca pieni się.

Kładą mu całyharmonogram.

Trudno.

Gdy właściciel mieszkania nieobecny, asąsiedziniedo uchwycenia, pozostaje tylko asysta dozorczy.

Bezświadków rewizji się nie przeprowadza.

Chyba w całkiemszczególnychokolicznościach.

Drzwijak w skarbcu.

Dwiepatentowane zasuwy, zatrask yale, do tego zwykłyklucz w zamku.

Nie wzywaj ąslusarza.

Barcik jest pierwszorzędnym specem.

Plastykoweetui zawiera komplet precyzyjnych narzędzi z hartowanejstali.

Przystępując do operacji, Barcik czuje się niemalchirurgiem.

Idzie nadspodziewanie ciężko.

Barcik klniew myśli brzydko i zawile.

152Pirek pogwizdujeprzez zęby.

Już drugi raz spojrzął nazegarek.

Ruch nie ma nic wspólnego z dyskrecją.

- W końcu latodobiegnie końca - zniża głos, choćdozorca wydaje się obecny tylko ciałem.

Myśli pozostałyprzy podwórkach, od których go oderwali.

Barcikprzełyka pierwsze hasło, które spłynęła na język- ostatecznie są w trakcie urzędowania.

- Patentowane zasuwy - wyjaśnia łagodnie - a z tymzawsze najtrudniej.

-Czyż mówię, że nie?

- zauważył niewinnie Pirek.

-Żeby tak kłódeczka i do tego precyzyjnyłom.

Szczęknełaspężyna.

Jedna zasuwa została załatwiona.

Ale było ichdwie.

Musiałopotrwać.

W końcu sforsowałdrugą.

Aż się spocił.

Yale poszło o wiele łatwiej, choć przecież teżpatent.

O zwykłym kluczu nie warto wspominać.

-Gotowe!

-Proszę -zdziwił się demonstracyjnie Pirek.

-I nawetpora roku nie zdążyła się zmienić.

Zieliński powstrzymał się od komentarzy.

Wiedziałdoskonale, jak trudno sforsować zasuwę.

Jeżeli je zaczepiono -istniały i takie urządzenia - wówczas nie pozostawało nicinnego, jak tylko wyciąć odpowiedniepartiepłyty drzwiowej.

Tylko że Pirek sam nigdy tego rodzajuślusarstwa niepróbował.

Drzwistanęły otworem.

Weszli, zamknęli za sobąna kłamkę.

W przedpokoju wieszak, lustro, jakiś stolik.

Zdawałoby się, że nic.

Ale zajęło dobrych kilka minut.

Bo iściany, i podłoga, i sufit.

Nie było żadnych skrytek.

W pokojumonumentalne meble.

Czarny dąb.

Albogrusza.

Albo coś podobnego.

W Gdańsku swego czasuumiano wyczyniać różne cudeńka z drewnem.

Te meblepochodziły niewątpliwie stamtąd.

Dwie boczne szufladybiurka zasunięte.

Środkowa nadwa spusty.

Klucza aniśladu.

Ta sama historia z drzwiczkami zdobnej w kręco153.

ne kolumnienki szafy.

Półbiurko pod maszynę zabejcowane na czarno.

Niby na pierwsze spojrzenie nie razi, ale przecież tylko zakamuflowany intruz wśród stylowych sąsiadów.

Obie żaluzje opuszczone aż do samego dołu.

W szufladach sterty kart.

Maszynopis.

Odbitki.

Jedne ułożone w jakieś całości, inne porozrzucane byle jak.

Pirek przegarniał palcami włosy.

- Gdyby tak mała mechanizacja naszczeblu wideł.

Zieliński sięga na chybił trafił.

- Hm.

widły?

Zależy czego się szuka.

Pirek się krzywi.

Coś nie wyszło.

- Miałem na myśli widły elektonowe.

Wzrok Zielińskiego ślizga się po arkuszach w tempieścigu.

- Coś wspólnego?

-Pirek uważa, że dublowanie nicbynie dało.

Prościej zapytać.

-I tak, inie.

- Pytia.

Notatki?

RzsumS- Gorzej, brulion powieści.

Chyba napożywcenaszejsprawy.

W ogóle bzdura - odkłada arkusze.

-Marne?

- Pirkowi na ogół powieści Roleńskiego trafiały do przekonania.

-Ja tu niezakrytyka.

Wszystko, co się nie nadaje dośledztwa, bzdura.

To się nie nadaje.

-Jesteś pewny, że nie?

-Hm..

Powieść?

- Klimat.

Jeżeli na pożywcę sprawy, kto wie, czy jakieś elementy nie zostały wzięte z natury.

- Kto wie?

-powtarza Zieliński.

-Rzeczywiście: kto?

-Ale przecież sięga znowu po arkusze.

Tym razem bierze pełną garść.

- Hm.

-przekartkowuje jeden podrugim.

-Hm..

- Co jest?

podchodzi Barcik.

- Rewizjacy studium badań literackich?

154- Nie przeszkadzaj - ostrzega Pirek.

- Jeden jest od zamków, inny od psychologii.

Każdy powinien w swoim zakresie.

Zieliński odkłada stertę.

- No więcnie.

Tylko zadraśnięta umywalnia i trixi.

Cała reszta jak pięść do nosa.

- Pamiętniki o swoich zbrodniach to się pisze
dopiero po uprawomocnieniu się wyroku - stwierdza sentencjonalnie
Barcik.

-A i to nie zawsze.

W bocznych szufladach biurka groch z kapustą.

Kopiemaszynopisu upstrzone uwagami, kwit za abonament czytelnicy, taśma do maszyny.

Ze środkową nie było problemu.

Barcik ledwodołknął zamka, gdy było już po wszystkim.

Ale żadnych sensacji.

Umowy wydawnicze, korespondencja z ZAiKS-em.

Zieliński zajrzał do kilku ostatnich wyciągów z konta.

- Źle to się nie zarabia.

W szafie pełno ubrań.

Dużo roboty, która poszła namarnie.

Na szafie gruba warstwa kurzu jako świadectwo kawalerskiej gospodarki.

Barcik wciąga powietrze nosem.

- Ale trixi facet nie używa.

Przynajmniej we własnym domu.

- Jeżeli ma ten bilet, gdzie go schował?

- złości się Pirek.

- Co może stanowiąc las dla zużytego biletu?

- Zieliński przysiadł na rogu biurka.

Pirek patrzył na niego spod oka.

- Chesterton?

-Albo inny.

Autornieważny.

Ważnezagadnienie.

Biletto liść.

Aby niekontrastował z tłem należy go ukryć w lesie.

Co będzie dla niego lasem?

- Cholerago wie - Pirek nie nadażai to go wprawia w jeszcze gorszy humor.

155.

- No to pomyśl, gdybyto była koperta.

Zużyta koperta-podkreśla.

- Koszyk do śmieci?

-Wygarnias pod biurka, przepatrującuważnie jego zawartość.

Uwaga nic niepomaga.

Przedarta przebitka.

W takim samym stanie jakiś, odbity na powielaczu, okólnik.

Gazety z wczorajszego dnia.

Parę kopert.

Stemple pocztowe w granicach ostatnich trzech dni.

Więcej już nic.

- Nonsens -złość się.

-Musiałbywyjmować przed każdym opróżnieniem koszyka.

- Rzeczywiście nonsens - potwierdza Zieliński.

Tego Pirek niejest w stanie zrozumieć.

- Zdaje się, że mówiłeś właśnie o koszyku do śmieci.

-Owszem.

O specjalnym.

Otakim, którego się nieopróżnia.

Coś w rodzaju atrapy.

Świta?

- Jak pałką wleńb.

-Rozglądasie z powątpiewaniem.

Dwa koszyki w jednym pokoju?

Gorzej: wjednej kawalerce.

Jakoś mu się nie widzi.

Jeżeli istniał rzeczywiście, gdzie mógł się znajdować?

Na monumentalnym oknie zasłony z pikowanegorypsu.

Teraz rozsuniętetworzapo obu bokach okna ciemnopopielate kolumny.

Tam?Pod jedną nie manic.

Spoddrugiej wyjeżdża naświatłodziennebliźniaczy koszyk.

Las? - zaczyna go systematycznie opróżniać.

Śmieci pachnązakurzonym papierem.

-Jeżeli znajdziemy naszliść.

Znalazłbardzo szybko wśród sterty widokówek i kopert z pierwszych dni maja.

Oglądaze zdziwieniem.

- MPA?

Dlaczego nie PKS?

- Żeby byłotrudniej zgadnąć.

Ja zresztą całym szacunkiem dla kalkulacji.

Bo, widzisz, PKS-em to on nie jeździ codziennie.

A bilet miejskiego autobusu z początkówmaja czy z dnia wczorajszego - strzepuje palcami.

Pirek kiwa głową.

- Tobie bytylko kryształowąkulę.

-ujmujebiletpin156cętką i kładzie na biurku.

- Oczywiście Anin- Wiatracznai oczywiście kursósma czternaście.

-Powiemy hop, jak się sprawdzi.

Barcik nastrojonyjestraczej sceptycznie.

- Powiedzmy, że gra - patrzyna niego z ukosa.

Noi jak tamtwójsławetny klimat?

- Wszystko, znaczy się,należy do tegoSamego scenariusza.

Od samego początku.

- Taaak -przeciąga enigmatycznieBarcik - oczywiście.

Widać jednak, że mu nie bardzo przemawia.

- Cholera!

-klnie naglePirek.

Ze środka wydobytejjz samego dna koszyka koperty wypada drugi bilet.

Takisam jak poprzedni.

Też MPA.

- Stuprocentowe przekroczenie planu - ujmuje pincetką i potrząsa jakkot złowioną mysz.

-Ba.W czym właściwie gwóźdź?

Zieliński zastanawiasię nad tym samym.

-Jakby specjalnie ukryty.

- Fakt.

Hm..Dwa bilety autobusowe wkoszykugromadzącym reliktyz pierwszych dni maja.

Na oko żadnejrzeczy pochodzącej z dnia późniejszego niż dziesiąty.

A do dziesiątego osoby nie byłow Warszawie.

-Na trasie Telewizjówek - Warszawa - mówi Zieliński-jedzie się tylkojednym autobusem MPA.

Tylko Barcik nie widzi problemu.

- No więc z Wiatracznej do domu nie tramwaj, nie taksówka,tylko właśnie autobus.

Zresztą zaparę minut itakbędziemy wiedzieli.

Czy warto się wysilać?

Podtym względem miał rację - rozwiązanie tego zagadnienia należało do dyrekcji Autobusów Miejskich.

Pirek powtórniezagląda do raz już przejrzanych kopert, podważając dla wszelkiejpewności bibułkowe podszewki.

Bo może znów skądś cośnowego wyskoczy.

Jakoś nie wyskoczyło.

-Jak ztegowynika - odkłada ostatnią kopertę - osoba157.

nie podejrzewa naszych najnowszych osiągnięć.

W przeciwnym razie całe to archiwum nie miało by sensu.

- Logiczne - Zieliński przypatruje się wzamyśleniu obu biletom.

- Oczywiście, że tak.

Fakt powrotu na Wiatraczną przekreśla znaczenie całej poprzedniej trasy.

Nie domyśla się.

Czy właściwie tak trudno było się domyślić?

Współczynnik inteligencji.

Może przesadnie oceniał pod tym względem Roleńskiego?

Możego współczyn-

nik inteligencji nie był aż tak wysoki.

Zaraz, jak to było.

"Wczucie się w tok rozumowania osoby prowadzącej śledztwo.

" Według słów Sobczańskiego taka teza właśnie padła w czasie tamtej rozmowy.

Ale z czyich ust?

Roleńskiego?

Nie.

chyba nie.

To właśnie Sobczański.

Coś się poruszyło przy drzwiach.

Dozorca.

Siedzi natym swoim krześle, jakby było narzędziem wymyślonej tortury.

Nie słucha inie patrzy.

Automat, który został nagle wyłączony.

Zieliński sięga po słuchawkę telefoniczną.

Nakręca numer.

- MPA?

Tu Komenda Główna Milicji Obywatelskiej.

Proszę mnie połączyć z.

Klucz nie przekręca się.

Próbuje go przekręcić w przeciwnym kierunku.

Bezsensowny odruch, któremu ulegawia większość ludzi.

Szczęk sprężyny.

Raz drugi.

Zamek w porządku.

To samo przy obu zasuwach.

Drzwi zamknięte tylko na klamkę.

Gdy po raz pierwszy wkładał klucz, zdawało mu się, że słyszy coś, jakby ludzkie głosy.

Wtedy nie zwrócił uwagi.

Sądził, że w sąsiedztwie.

Wobec sforsowanych zamków wszystkie elementy uległy przewartościowaniu.

Ktoś jest wewnątrz.

Kto?

Przesuwając językiem po wargach.

Nagle mu zaschły.

Nonsens, nerwy do niczego nie prowadzą.

Przez chwilę nadśluchuje w napięciu.

Cisza.

Notak.

Wszystko jasne.

Kładzie rękę na klamce.

Uczucie jak

158

w momencie skoku z bardzo wysokiej trampoliny.

W nieznane?

Ach, przecież nie.

Wie, czego ma się spodziewać.

Być może zdążyłby zbiec ze schodów.

I co dalej?

Gdzieśw pobliżu bramywaruje etatowy cień.

Prawdopodobnieotrzymał odpowiednie instrukcje.

Mosiężna wizytówka nadrzwiach odbija udziwnione oczy.

Jakby przez nasyconązłotem wodę.

Cień - Roleński niemal sięuśmiecha -ostatecznieteż nie jest do pokonania.

Tylko że to wszystkorazem nie dawało żadnego rozwiązania.

 Nie wartowystawać przed progiem.

Oni wiedzą odpierwszejchwili.

Naciska kłamkę, wchodzi.

Trzyma się jużwgarści.

Chyba wystarczająco mocno.

 Zieliński, Barcik i ten trzeci.

Jak mu tam?

Aha, Pirek.

Uważają widoczniewizyteza wielkie halo, skorowszyscytrzej.

Szkoda, że jeszcze Lalewicza nieprzyprzęgli.

Byłbyprzynajmniej komplet.

Mdły ruch dozorczy.

Nie wiadomo, czy zamierza wstać, czy tylko poprawia się na krześle.

W końcu nie wstaje.

Jego spojrzenie trudno by zaliczyć do przyjaznych.

Roleński to określał w swoich powieściach:

"spojrzałspode łba".

To było właśnie coś w tym rodzaju.

Wita nieproszonych gości szkicowym półukłonem.

- Mała rewizyjka?

Zieliński uśmiech się nijako.

- Zwykła formalność.

Szafa na oścież.

Wysunięte szuflady biurka.

Czy znaleźli?

Dopiero później dojrzał leżący nabiurku arkusz.

Przysiada swobodnym ruchem na oparciu krytego ciemnąskórą kluba.

- Zwykła?

- sięga po papierosa do srebrnej skrzyneczki.

-Jak dla kogo.

Dla mnie przykład, jeżeli chodzi o rewizję in natura we własnym mieszkaniu.

- zapala, próbuje puścić kółko dymu, ale smuga od razu rozplywa się w nieforemną spiralę.

-A jaka, mówiąc między nami, przyczyna, o ile tonie stanowi tajemnicy śledztwa?

159.

- Nie chciał pan nam powiedzieć prawdy, wobec czego zostaliśmy zmuszeni do szukania jej na własną rękę.

-Ale skąd - tym razem jest to prawie zupełnie kółko.

Wzrok Roleńskiego towarzyszy mu w powolnym locie pod sufit.

- Wobec wysokiej Komendy trzymałem się zawsze prawdy i tylko prawdy.

-Mamy na tę kwestię nieco odmienny pogląd.

Roleński znowu się zaciąga.

Głęboko, ze smakiem.

W tej chwili solidny haust dymu jest mu bardzo potrzebny.

-Cóż mogę na to poradzić.

Gdy się stoip o różnych stronach bariery.

Na czym, według panów, polegała moja nieprawda?

- Nie powiedziałam panu o swoim powrocie na Wiatraczną.

Roleński porusza się niespokojnie.

- O moim powrocie?

-Tak.

Wylądował pan przy przystanku autobusowym na Wiatracznej parę minut przed jedenastą.

Papieros tkwi sztywno pomiędzy wargami.

Prawa ręka Roleńskiego znika nagle w kieszeni marynarki.

Zieliński obserwuje z ukosa.

Co u licha?

Gdy chodzi o podejrzenie morderstwa.

Ale dłoń wynurza się pusta.

Widocznie po prostu odruch.

- Dokładnie rzecz biorąc, była dziesiąta pięćdziesiąt siedem precyzuje Roleński.

To prawda, że nie powiedziałem.

Ale nikt mnie przecież o to nie pytał.

Zresztą - wzrusza lekko ramionami - kwestia bez znaczenia.

Zieliński patrzy przymrużonymi oczyma.

Ależ się, psiakrew, trzyma.

Ostatnia uwaga trąci jednak przeszarżowaniem.

- Bez znaczenia?

Jak pan to rozumie?

- Zwyczajnie.

W kilka minut później odjechałem z Wiatracznej z powrotem.

Tym razem już na dobre.

160

Zieliński odchrząkuje.

Nieźle wykombinowane.

- Mam nadzieję, że potrafi pan do udowodnić?

Roleński otrząsa zamyślenie popiół narosły na czubku papierosa.

Palce gładzą ostrą krawędź kryształowej popielniczki.

Twarz pozbawiona jest jakiegokolwiek wyrazu.

- No więc?

- Zieliński zaczyna się niecierpliwić.

Co on sobie właściwie wyobraża?

- Widzi pan- mówi wolno Roleński - gdybym był w stanie przewidzieć, że spośród wielu milionów zamieszkujących nasz kraj ludzi do opróżnionego przeze mnie mieszkania sprowadzi się akurat drugi mąż mojej byłej żony, że zginie on gwałtowną śmiercią i że organy ścigania zechcą mnie obciążyć podejrzeniem o spowodowanie tej śmierci.

- przydusił niedopałek na dnie popielniczki.

-Tak, w takim wypadku nieomieszkałbym na pewno gromadzenia dowodów stwierdzających sposób spędzenia każdej chwili od momentu przekroczenia progu pokoju numer dziewięć w Naukowie.

Niestety, natura zapomniała mnie obdarzyć darem jasnowidza.

Dlatego też, jeżeli chodzi o dowody.

znowu sięgą do srebrnej skrzyneczki.

-Dziwne- mówi zjadliwie Zieliński.

- Bardzo dziwne.

- Czyżby?

- Roleński ugniata w palcach papieros.

- Ja osobiście tego bym nie uważał.

Czy na przykład pan, panie kapitanie, potrafiłby tak a prima wstaudowodnić, corobił, powiedzmy, 5 maja o godzinie jedenastej czterdzieści pięć?

Naiwne - myśli Zieliński.

Oczywiście nie daje się wciągnąć w dyskusję.

Roleński, nie wstając, zapuszcza żurawia do wnętrza szafy.

- Swoją drogą muszę przyznać, że panowie załatwiają to wprost artystycznie.

Każda rzecz na swoim miejscu.

Gdybym nie widział, mógłbym się wogóle nie domyślić, że była rewizja.

- Ech, napewno by się pan domyślił - Zieliński prze-

161.

jeżdża palcem pod wystającym kaniem blatu biurka.

-Przykro nam, żeotwierając szufladę zerwaliśmy ten włos.

Dwie drobiny wosku i ludzkiwłos.

Genialne w prostocieśrodków.

I przecieżnie mniej pewne niż komórka fotoelektryczna.

- Ba.

- Roleński zmienia pozycję, ale wciąż siedzi w taki sposób, jakby każdej chwili był gotów zerwać się narównie nogi -już starożytni Grecy.

- Zastanawialiśmy się, co pan w ten sposób ochrania -ciągnie Zieliński.

- Nie udało nam się jednak tego dociec.

Roleński uśmiecha się samymkącikiem warg.

- To przecież jest tylko sprawdzian, a nieochrona.

Poprostu interesuje mnie, czy ktoś grzebie w moichszufladach, gdy jestem pozadomem.

- Jaka szczególna wartość uzasadniato zainteresowanie?

-Żadna.

Nie ma takiej wartości ani w biurku,ani gdzieindziej -jest prawieszorstki.

- Chcęwiedzieć i to wszystko.

Zresztą panowie po dokonaniu rewizji.

Czy jużzostała skończona?

- Tak - potwierdza Zieliński.

- Skończyliśmy.

- No więc sami mogliście się przekonać, że brak tu rzeczy zasługujących na jakąś specjalną ochronę.

Jeżeli zamykam szafę czy szufladę biurka na klucz, to raczej z przyzwyczajenia niż dla istotnej potrzeby.

Nic doschowania, nic do ukrycia.

Można powiedzieć: życie bez tajemnic.

- Chyba coś podobnego już słyszałem - stwierdza chłodno Zieliński.

Ton Roleńskiego przestaje mu się podobać.

Jest stanowczo zbyt lekki, co w tych okolicznościach stawia pod znakiem zapytania jego prawdziwość.

- Możliwe - zgadza się obojętnie Roleński.

- Niemię wszystko, co mówię, musi być koniecznie oryginalne.

- Czy mógłby pan nam wyjaśnić znaczenie tych biletów?
wskazuje ruchem głowy.

162

Roleński wstaje, podchodzi do biurka.

Wszystko to spokojnie, bez pośpiechu, ale też bez ociągania się.

- O te bilety panu chodzi?

- nachyla się nad arkuszem.

- Tak.

-Nie rozumiem - wzrusza ramionami.

-Jakieś zużyte bilety autobusowe.

Co tu do wyjaśnienia?

A może to jakiś test?

- Nie.

Całkiem konkretne pytanie.

Znaleźliśmy je w czasie rewizji i chcemy wiedzieć o nich coś bliższego.

- Mówi pan zagadkami, kapitanie.

Znaleźliście.

Nie przypominam sobie, abym przechowywał w biurku coś w tym rodzaju.

- Nie znaleźliśmy ich w biurku.

-Tylko gdzie?

- W koszyku na śmieci.

-No, wie pan -Roleński śmieje się.

Śmiech jest chropowaty i nieprzyjemny.

Chyba wydusza go na siłę.

-Jeżeli to ma być dowcip, to bardzo przepraszam.

Nie potrafię wyłuskać pointy.

- Śledztwo w sprawie morderstwa raczej nie stanowi odpowiedniej pożywki dla dowcipów - rzuca w przestrzeń Zieliński.

Roleński kładzie wciąż jeszcze niezapalonego papierosa na brzegu popielniczki.

- Oświadcza pan: "znaleźliśmy wkoszu na śmieci".

Ależycie bilety autobusowe to przecież są właśnie śmieci.

Czyli znajdowały się w zupełnie odpowiednim miejscu.

Nie chwytam, na czym polega tu problem.

- Ten koszyk też jest dziwny.

- W jakim sensie?

- Nie był używany od kilku tygodni.

Cała jego zawartość pochodzi z pierwszych dni maja.

Jeden z tych biletów znajdował się wewnątrz koperty.

- Jakiej koperty?

163.

- Najprawdopodobniej od listu.

Adresowana na pańskie nazwisko.

Stempel pocztowy Warszawa, 7 maja.

- Musiał się do niej dostać przypadkowo.

Jeżeli zaś chodzi o zawartość koszyka.

Telefon zadzwonił ostrym, pełnym alarmu terkotaniem.

- Przepraszam bardzo, ale.

- Zieliński, ubiegając Roleńskiego, sięgnął po słuchawkę.

- Tu kapitan Zieliński z Komendy Głównej.

Już panowie sprawdzili?

Świetnie.

Więc słucham, co?

- nagle ściąga brwi.

Jak?

Proszę o powtórzenie.

Czy pan jest zupełnie pewny?

Mm..

tak.

Chwilkę.

Podyktuję panu jeszcze raz symbole.

- Kreślony na.

Zgadza się?

Tak.

Rozumiem.

Prosiłbym o podanie tego na piśmie.

Tak, do Komendy, namoje nazwisko.

No, jaknajprędzej.

- Odkłada powolisłuchawkę.

-Jednak szokujące.

Barcik odwraca się ku niemu.

Pirekpodchodzi bliżej.

Nie ulega wątpliwości, że wiadomość należała do
rzęduniespodziewanych.

Najmniejzainteresowania okazujeRoleński.

Jakby był przekonany, że przeprowadzona przedchwilą rozmowa nie
może mieć z nim nic wspólnego.

- Śmieć - powiedział przez zęby Zieliński.

- Czy domyśla się pan, kto telefonował i w jakiej sprawie?

Roleński potrząsnął obojętnie głową.

- W każdym razie wiem, że telefonowano nie do mnie.

-Tobył Wydział Kontroli MPA.

Wciąż żadnego wrażenia.

Roleński ma taką minę, jakby chciał ziewać.

- W sprawie tych biletów?

-Tak, właśnie w sprawie tych biletów.

- Podkreśleniemija także bez wrażenia.

- Niepotrzebnie panich fatygował, kapitanie.

Sambym wyjaśnił.

Przynajmniej jeżeli chodzi o jeden z nich.

Zacząłem, gdymi przerwał telefon.

Otóż zawartośćtego

164

"dziwnego", jak pan to określił, koszyka ma ztym ścisływiązek.

Dziś rano sięgnąłem po marynarkę nieużywanąod czasu powrotu z Naukowa.

Rzecz jasna zaszła potrzebaopróżnienia kieszeni z najrozmaitszego śmiecia.

No więc

- różne koperty, mam zwyczaj składania przeczytanej korespondencjido kieszeni.

Może idziwactwo, ale nic natonie potrafię poradzić.

Przysposobności trafiły do koszykaprawdopodobnie i te bilety.

Jeden jakiś dawniejszy,drugiwykupiony w drodze powrotnej do

Warszawy.

- Wydział Kontroli stwierdza: bilet został wykupiony na trasie
Wiatraczna - Anin w dniu 10 maja.

-No więc zgadza się.

-Jednak chyba niezupełnie się zgadza.

- Jak to?

- Podnosi głowę i patrzy na Zielińskiego.

Nie potrafi ukryć zaskoczenia.

- Powiedział pan przecież Anin - Wiatraczna.

Taki właśnie bilet wtedy wykupiłem.

Zieliński prostuje się.

- Pan mnie nie dosłyszał.

Nie powiedziałem: Anin - Wiatraczna.

Powiedziałem: Wiatraczna - Anin.

Godzinę jedenastą.

- Co takiego?

- Roleński głośno przełyka ślinę.

-Nonsens!

Co mi pan tu będzie.

- niemal krzyczy.

Głoszą mu się.

-Niemożliwe.

Zupełnie niemożliwe.

- Wiatraczna - Anin - powtarza jeszcze raz Zieliński.

-Nie powrót do Warszawy.

Powrót do Naukowa.

Jasne?

Barcik już jest przy drzwiach.

Blokuje sobą dostęp.

Pirek zbliża się na zasięg ramienia.

Jest gotów do natychmiastowej interwencji.

Obydwaj zorientowali się od pierwszej chwili.

Tępotą Roleńskiego jest niepojęta.

Jakby za wszelką cenę nie chciał zrozumieć.

Nie ma powodów do akcji.

Roleński nie postępuje ani o krok.

Tylko w jakimś tam momencie spręży się jak doskoku.

Ale może to znaczyło coś innego.

Potem zastyga.

Ściągnięta ostrym grymasem twarz staje się tragiczną ma 165.

ską. Wytrzeszczone oczy połyskują szklivem.

Są nieruchome i bez wyrazu, jakby już nie żyły.

Palce zaciskają kurczowo krawędź biurka.

Sprawiają wrażenie, że gdyby nie to, Roleński osunąłby się na podłogę.

To już zupełnie inną człowieko niepokojąco płynnej sylwetce.

Jakby kośćce przestał już usztywniać ciało.

Dławiszę.

Otwarte usta spazmatycznie łapią powietrze.

- Ale.

- głos całkiem obcy - to nie może.

To niemożliwe być tak.

Omyłka.

Potworna omyłka.

Zieliński jest chłodny.

Tu nie ma miejsca na współczucie.

Podły scenariusz zamordowania bezbronного starca.

Wzór chyba zaczerpnięty u gestapo.

Tam cyklon B, tu trixi.

Ale komora gazowa, ale bezradna rozpacz człowieka zdającego sobie sprawę, że musi umrzeć.

Przybliżyła twarz do twarzy Roleńskiego, która w tej chwili jest wprost straszna.

- Czyja omyłka, panie Roleński?

- pyta bardzo twardo.

Sylwetka Roleńskiego rozmięka do reszty.

Głowa opada, jakby już nie był w stanie udźwignąć jej ciężaru.

Palce ślizgają się z biurka.

Ręce zwisają bezwładnie.

Dwa obce przedmioty przyłączone bez sensu do ramion.

-Ja .

- bełkoce.

Trudno zrozumieć, co mówi.

-Ja.

przyznaję się.

Pawłowski jest zachwycony.

Nie skąpi superlatywów.

- Wspaniały sukces.

Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się.

Trudno się było spodziewać.

No, pan co innego.

Polowanie na upatrzonego.

Powiedział pan: "bilet" i jest bilet.

Ależ strzał, kapitanie.

Ależ strzał!

Zieliński bąka ni to, ni owo.

Bilet, którym mówił przedtem i bilet tkwiący w kopercie leżącej na dnie koszyka, te rzeczy się jednak nie pokrywały.

Widocznie Pawłowski niezbyt dokładnie rozgryzł sens jego przedrewizyjnych wywodów.

166

- Taak - jest w tej chwili uosobieniem skromności czasami niektóre przewidywania sprawdzają się.

-No i przyznał się.

Tow rezultacie załatwia wszystko.

-Hm..

- Macie jakieś wątpliwości, kapitanie?

-Nie.

No cóż tu mogą być za wątpliwości?

Wszystko jak w aptece.

Tylko dopóki nie podpisał.

- Myślałem, że nie chcieliście w pierwszym momencie kłaść specjalnego nacisku.

Zieliński kręci głową w nieokreślonym geście.

- Owszem, chciałem.

Właśnie na gorąco.

Chodziło o wykorzystanie momentu psychologicznego.

No więc sformułowaliśmy zarzut.

- Miał jakieś zastrzeżenia?

- W ogóle nie chciał przyjąć do wiadomości.

Mówi, że doznany szok kompletnie go załamał.

Że nie jest w stanie zebrać myśli.

- Ale przyznał się?

- Jak najbardziej.

Powiedział: „Ja przyznaję się”.

Tobyło w obecności świadka.

- Ale przecież chyba nie odwołał?

- Prokurator nie taizaniepokojenia.

- Nie.

Nie wypowiada się.

Szok.

Pawłowski oddycha z ulgą.

- Może w takim razie w czasie dzisiejszego przesłuchania.

Nie patrzę, gdy rozciera nadgarstki.

Regulamin niezna tolerancji.

Przy przestępstwach tej wagi kajdanki obowiązują.

Poza tym nic właściwie nie zdradza, że przybywa bezpośrednio z celi.

Policzki gładko wygolone, na ubraniu nipyłka, spodnie nienagannie trzymają kant.

Człowiek kompletnie załamany?

Pawłowski obserwujego dyskretnie.

Ukłon Roleńskiego byłaczej zdawkowy.

167.

- Zapali pan?

- Pawłowski podsuwa papierosy, ledwo przybysz zdążył zająć miejsce na wskazanym krześle.

"Chwył psychologiczny?"

"zastanawia się Zieliński.

Nocóż, może inie najgorszy.

Roleński sięga skwapliwie.

Poklepuje kieszeń, choć wie, że tam nie może być zapalek.

W tym wypadku nie potrafił zapanować nad odruchem.

Widać, dręczy się nad płomykiem trzymanej przez Zielińskiego zapalniczki.

- Ach nie - potrząsa głową na widok otwieranych akt- proszę mi wybaczyć.

Pawłowski marszczy brwi.

- Odmawia pan zeznań?

- Szok - wzdycha z ubolewaniem.

- Gdy człowiek nie jest w stanie zastanowić się.

Więcej nie udało się z niego nic wydobyć.

Raz po raz sięgał po papierosy.

Zapalał od niedopałków.

Śpieszył się, pragnąc widocznie nałykać się maksymalnie możliwą

ilością dymu.

Jeszcze nie rezygnowali.

Próbował Zieliński, potem Barcik.

Pirek zadał pytanie jedynie dla spokoju sumienia.

Nie wierzył, że otrzyma odpowiedź.

Rzeczywiście jej nie otrzymał.

"Szok, nie jestem w stanie myśleć" - to było wszystko, co docierało spoza gęstych kłębow tytoniowego dymu.

Palił tak intensywnie, że w końcu nie widzieli już jego twarzy.

Zanim zdali sobie sprawę z bezpłodności wysiłków, zdążył chyba wypalić dziesięć papierosów.

O ile nie więcej.

- Gdy człowiek pali na zapas.

- Pawłowski po jego wyprowadzeniu otworzył okno na oścież.

Barcik oceniał to wszystko z dużą dozą sceptycyzmu.

- Szok.

No, ja bym nie dał trzech groszy.

Pawłowski oparł łokcie o blat biurka i patrzył zezem napuste linie protokołu.

Jest daleki od początkowego entuzjazmu.

168

- Co mógłby w ten sposób wygrać?

Zieliński ociężale wzrusza ramionami.

- Diabli go wiedzą.

Już byłem pewny, że udało się goprześwietlić bez reszty.

- A teraz nie jest pan pewny?

-Cholera - odkilkuminut trzyma w palcach papierosa.

Zademonstrowany przed chwilą pokaz szybkościowego palenia jakoś odebrał mu ochotę.

- Wolałbym, żeby

wreszcie podpisał.

- Dalekijestem od oceny przyznania się podejrzanego jako "korony dowodów".

Ale jeżeli niepodpisane, będziemy mieli sprawę poszlakową.

Nielubię spraw poszlakowych.

- Ale w tej, konkretnej - Pirek strzela głośno palcami -
przyznanie się byłoby jednak tą koroną.

Bo jaki właściwie można by sobie wyobrazić inny dowód bezpośredni?

Zieliński zaciska w garści podbródek.

- A jeżeli Roleńskinie działał sam?

- mówi podłuższej

pauzie.

Mleczna kula sufitowego klosza jest całkiem szara.

Skandal.

Kiedy wreszcie zdecydują się umyć, do wszystkich diabłów?

Powiadają: wysoko.

Cóż z tego, że wysoko?

Jakby nie było drabin.

No, on już powie komu należy.

Bzdura.

Co tu ma do roboty kłosz?

Chybaniepotrzebujestosować uników wobec samego siebie.

Odrywa ostro wzrok od sufitu.

- Podejrzewacie, kapitanie, wdowę Steiner?

- pyta

wprost.

Zieliński odchrząkuje niezdecydowanie.

- To byłoby jednak zbyt mocno powiedziane.

Tylko żetam, gdzie chodzi o aż tak wielkie pieniądze, nawet najbardziej dziwna rzecz przestaje dziwić.

Roleńska poznała Steinera w okresie dwuznaczonej recesji interesów swego

A

169.

męża.

Czy jest rzeczą niemożliwą, że rozwód w istocie rzeczy był tylko pozorny i służył do zawładnięcia dochodami Steinera?

Powiedzmy: dofinansowywała eksmałżonka przez cały ten czas.

Zarówno w okresie jego recesji, jak i prosperity.

Niezależnie od wysokości dochodów Roleńskiego te dwie wartości były wprost nieporównywalne.

Ale poza świadczeniami finansowymi pani Steinerowa spotykała się z Roleńskim.

Na bazie sentymentu Steiner wykrył wreszcie, że od początku jest oszukiwany.

Groził wybuch skandalu, którego Roleński, jako pisarz, musiał za wszelką cenę uniknąć.

Albo, powiedzmy, mieli już dość konieczności ciągłego ukrywania się i zapragnęli wrócić na pełne światło.

Albo jeszcze coś innego, co w konsekwencji postulowało uziemienie Steinera jak warunek sine qua non.

No i wspólnymi siłami.

Czy taka kombinacja pańskim zdaniem, prokuratorze, należy do niemożliwych?

Pawłowski plótł obieręce i wyciągnął je przed siebie na całą długość ramion, odwracając dłońmi naprzód.

- Sami sobie odpowiedzieliście, kapitanie.

Gdy chodził o wielkie pieniądze.

Wywiad w PAN-ie zagrał.

Steinerowa ułatwiała formalności związane z wyjazdem męża do Naukowa.

To ona prosiła sekretarza Akademii o telefon do Hrynowskiej, by zapewniła Steinerowi warunki jak najbardziej pełnego relaksu.

Jeżeli do tego znała szczególne warunki pokoju numer dziewięć.

Zapytana przez telefon Hrynowska zaprzeczyła kategorycznie.

Steinerowa?

Nie, nie znam jej.

Nie przyjeżdżała nigdy.

Przynajmniej odkąd ja tu jestem.

Proszę zadzwonić za jakąś godzinę.

Sprawdzę w wykazach gości z lat dawniejszych.

170

Sama zresztą zatelefonowała do Komendy.

- Nowięc nie.

Ani w latach przed moim nastaniem.

Jako Roleńska także nie.

Od razu mi to wpadło namysł.

Pirek osowiał.

Barcik machnął lekceważąco ręką.

- Więc cóż z tego?

Gdy się bierze coś z sufitu.

Zieliński jednak nie miał zamiaru rezygnować.

- Z sufitu, nie z sufitu.

Mnie srebrnolilaod samego początku nie mieści się w żałobnych ramach.

Nie oczekiwałem jakichś tragedii, ale pewna, choćby najbardziej przeciętna przyzwoitość, to jednak.

- Skoro jednak nigdy nie była w Naukowie.

- wtrąca

się Barcik.

- Dużo ty tam wiesz - wścieka się Zieliński.

- Najlepiej przysięgnij.

- Jak zawsze najgorzej dostaje się ostatniemu.

- No to co poradzisz?

- Przedewszystkim sprawdzę, potem się zobaczy.

Nazwisko to jeszcze nie człowiek.

- Wiezie fotografię do Naukowa.

Pomysł okazał się napoziomie.

Hrynowska tylko spojrzała.

- Tak, ja tę kobietę znam - zastanawia się przez chwilę.

-W zeszłym roku przyjechała parę godzin do ministerstwa Lerskiej.

To było wlecie.

Zależy panu na dokładniejszym określeniu czasu?

Zieliński zaprzecza.

Interesują go natomiast inne

szczegóły.

- Nie - mówi Hrynowska -nie miałam okazji rozmawiania z tą panią.

Tegodnia mieliśmy zarwańską ulicę.

- Piątek?

- domyśla się Zieliński.

- Piątek.

Potem się jakoś o niej nie zgadało.

Ma coś wspólnego ze Steinerem?

- Bagatela - śmiejesię Zieliński.

- Wdowa Steiner.

Czy pani Lerska zajmowała może dziewiątkę?

171.

- To już na pewno.

Niepotrzebuję sprawdzać.

Gdy przyjeżdżasz, zawsze bierze dziewiątkę.

Zamawia nadługi czas przedtem.

- Dopisujemy na konto Steinerowej - konkluduje Zieliński po powrocie.

- Wiedziało umywalni w dziewiątce wcześniej niż Roleński.

Diabli wiedzą, czy toniejęj pomysł.

Roleński mógł być tylko wykonawcą.

Otrzymał gotowy scenariusz, potem dostarczył gratis i franko delikwenta na miejsce o ustalonej porze.

- A gdzie dowody?

- chciałby wiedzieć Barcik.

Ale się niedowiaduje.

Pirek bez okularów to dużo młodszy brat Pirka w okularach.

Wszystko przez te oczy.

Wielkie, marzące, ocienione długimi rzęsami.

Oficer MO z takimi oczyma to już istna parodia.

Stąd właśnie czerń wyjątkowo szerokiej oprawki wielkich okularów.

Ogniskowa soczewek nijaka.

Szkła nie miały do odegrania żadnej roli.

Tylko oprawka.

W ciemnym obramowaniu oczy Pirka sprawiały wrażenie twardego.

Byli nawet tacy, którzy uważali, że jego spojrzenie jest groźne.

Ale to ci, nad których głowami zawisła cała już podła paragrafy.

Dziś Pirek jest bez okularów.

Ciemny garnitur, perłowa kamizelka, tandetny krawat, ale za to malunek opalizującej kropli dawał świadectwo, że nadaża.

Olśniewające lakiery kontrastują z jasnym żółtym kolorem skarpet.

Intensywna fala zapachów biła w nozdrza przy każdym ruchu.

Bardzo mocna woda kwiatowa walczyła o lepszą fiołkową pomadę, zlepiającą gładko fryzurę.

Pulchną blondynę, unieruchomioną na drewnianym podłożu kuchennych schodów, wszystko zachwyca.

Zapach, lakiery, krawat z kroplą.

A przede wszystkim sam Pirek jako taki.

Cóż.

Nie dla niej ten los pisany.

Wielki dusz niedławi w sobie uczucie żalu.

Ale swoją

172

drogą, że taka, z którą, zdawałoby się, nie pies z kulawą nogą.

I żeby się nawet nie pochwaliła.

Cuda jakieś niewysłowione.

W powodzi aromatu płynie rzewne ple-ple okatastrofalnych przeszkodach wyrastających na drodze wiośnianej miłości.

Wiośniana- zżyma się w duszy blondyna -gdzie tenchłopak ma oczy?

Choć ona przecież dobrze wie gdzie.

Przecałyczas ani na chwilę nie przestaje kunim zerkać.

Chyba tylko tę brodawkę na policzku Hankiwziął za rozkwitający pączek.

Niemal widzi chłopca padającego na peronie dworcakolejowego w dalekim mieście.

Przejmującowyje syrena karetkipogotowia.

Zawał.

Długa wędrówka wążutkąścieżką pomiędzy śmiercią a życiem.

List Hanki leącyw ukrop z palców małego braciszka, który chciał odlepićnad parą znaczki pocztowe.

I ten sam list prawdopodobnie z nowym adresem Hanki, gotujący się we wrzącymkotle.

Całkiem jakby się gotowało żyweciało.

Potem dozorca, który może i chciałby pomóc, tylko żenie potrafi.

Wyniosła mina pani profesorowej.

Ta znówpomócniemanajmniejszego życzenia.

- Ale gdym zobaczył panią.

Kobieta otakich oczach!

Och nie.

Taka nie zostawi człowieka w nieszczęściu.

Blondyniemiękną kolana.

Jak on to ślicznie powiedział o tych oczach.

Jeszcze nikt jej nigdy.

Po prawdziejresztą nie było oczym.

- Wróciła na wieś -bąkabez przekonania - do swoich.

Od razu wyczuwa, że ani słowa prawdy.

Jaki właściwie powód tej całej konspiracji?

Postanawia zagrać nawyczucie.

- Nie ma jej u rodziny - ryzykuje.

- Nie pisze.

Nie znają nowego adresu.

173.

Blondyna milczy.

Policzki spływają czerwienią.

Czujesz jak pod pręgierzem.

- Więc te oczy potrafią kłamać?

- naciera Pirek.

-Teoczy?

To w co można jeszcze wierzyć?

- Ona.

ona.

Zaklinała, żeby nikomu.

- bąkawreszcie.

- Ale przecież.

- Pirek łapie się za wycięcie kamizelki, jakby ją zamierzał rozszarpać -
nie mówiła, żeby mnie także nie?

Nie mówiła, prawda?

- zagląda blondynie w oczy.

Ten numer szedł na pewniaka.

- Nie - przyznaje blondyna.

- O panu nie.

- My, którzy chodzimy kuchennymi schodami.

- Pirekroziada się w poczuciu własnej ważności na fotelu.

- Gdzieś takie znalazł?

- pyta Barcik.

- Są.

Architektura ucisku człowieka przez człowieka.

Dla państwa.

- Tylko bez polityki.

-Ja w znaczeniu tych, co zatrudniają służbę.

- Bezosobistych wycieczek przeciw.

i w ogóle.

- Zejdź wreszcie ze mnie.

Ja o przedwojennych.

Dłanich marmury, wenusy tam różne, lustra.

- Lustrami to już nie zalewaj.

-Nie mówię, że są.

Mówię, że były.

A na kuchennych drewno i ani jednego wenusy.

- Drewnianymi wygodniej.

-Co z tego?

Fasonu za grosz.

Gdzie Zielińszczak?

- Poszedł myć ręczki.

Właśnie wchodzi.

- Coś taki rozpromieniony?

Znalazłeś?

Niedbale strzepuje nieistniejący pyłek z klapy marynarki.

- Kto szuka, ten znajduje.

Sęk tylko, żeby potrafił.

Obywatelka Hanna Siennik gratis i franko, loconasz korytarz.

Ci-devantgosposia Steinerów.

174

- Siennik.

- Barcik wydyma pogardliwie wargi.

- Żeby chociaż materac.

- Ma co ciekawego?

- pyta Zieliński.

Pirek wznosi ramiona.

- Czy ona ma?

Chłopie, przygotuj się, że spadniesz z fotela.

Zastanawiałem się, czy nie lepiej od razu babkę zatrzymać.

- Przecież przyszła.

- Myślałem o Steinerowej.

Dawać ją?

- To Steinerowa też czeka?

-Mówię o Siennik.

Barcikwzdycha męczeńsko.

- Ależ zachachmęcił.

No więc kto w końcu jest tu,a kogo nie ma?

- Nie mawielu osób.

A jest Stei.

tfu - uderza się dłonią po ustach - Siennik.

- Gotów.

- Barcik podkreśla gestem.

-Sam jużniewie, kogo przyprowadził.

Mniej zwariowani odpoczywająw Pruszkowie.

- Dawać kto jest-decyduje Zieliński.

-JeśliSteinerowa-zidentyfikujemy komisyjnie.

Pamięta się przecież.

Jeżelikto inny - zidentyfikujemy, że kto inny.

Gdy Pirek w drodze do telefonu przechodziobok biurka Barcika,
ten podejrzliwie wciąga powietrze nosem.

- Słuchaj, co od ciebie tak jakoś.

-Fiołki, to brylantyna - dotyka ostrożnie końcem palca

gładkoulizanych włosów.

- Reszta bukietu: woda kwiatowa Diorowskiej Spółdzielni Pracy w Kozich Bobkach.

- Musisz?

-Muszę.

W tak zwanych ramach.

Streszczając się:

dzienny upach.

Skoro ludzie nie chcą się uzewnętrznico dobroci, sami sobie winni.

Niechwachają.

Barcik odchrząkuje bezentuzjazmu.

- Chyba nieprędko zwietrzeje?

175.

- Na pewno nie.

Zapachy produkcji Kozich Bobkównie są przyjemne, ale za to trwałe.

Będziemy sobie pachnieć długo i szczęśliwie.

- Cholera.

- Barcik zrywasię gwałtownie.

-To ja możeokno.

Zieliński się zdenerwował.

- Zwariowałaś?

Zostaw okno w spokoju.

Chcesz, żebyśmy też przepachnieli?

- Chciałem otworzyć.

-Przecież otwarte.

Szerzej już nie da rady.

Barcik opadał powrotem na fotel, przesuwał ręką pooczach.

- Rzeczywiście.

A byłbym dał głowę.

To są LolegoP.

niedozwolone metody.

Zadawanie ludziom cierpienie fizycznych i moralnych.

Na duszy ucierpiałem.

Zachwilęzaczne kichać.

W nosie kręci jak sto diabłów.

Ito przyotwartym oknie.

A co będzie jak przyjdzie jesień?

- Będiesz pamiętał, że była jesień.

Wszystko zgodnie harmonogramem.

Świadek Hanna Siennik lat.

W każdym razie okres pierwszej młodości minął na długo przed wojną.

Kanciasta, wyczupurzona.

Włosy rzadziutkie, ale za to wiodcieniu brudnej myszy.

Cera kostropata.

Z wielkiej brodawki na policzku sterczą trzy sztywne włoski.

BBto nie jest - orzeka w duchu Barcik.

Ale ustrzelona amen.

Siennik raz po raz zerka pod adresem Pirka.

I jest to nader ciepłe spojrzenie.

Pirka za wszelką cenę siłuje go nie dostrzegać.

Ma chłop szczęście.

Nocóż, niech sobie ma.

Barcik mu nie zazdrości.

Nie godzi się zazdrościć koledze.

Siennik zaczyna naturalnie od końca.

Jak to pani profesorowa ni stąd, ni z owąd kazała jej odejść.

Zieliński zagląda do kalendarzyka, miał zanotowane.

176

- Dziesięć dni temu, w czwartek?

- W czwartek?

Tak, właśnie w czwartek.

A ile dni, to już pan sam wie lepiej.

Przedtem ani się zająknęła, awtedy, że ona przeprasza, ale dłużej już nie może, bo co namnie spojrzy, zaraz całe nieszczęście staje jej na oczach.

Więc żeby zaraz pakowała manatki.

I kładzie trzy tysiące jak jeden grosz.

Człowiek w obowiązku od maleńkości wie, co należy.

Według prawa tylko pięćset.

Znaczy się zadwa tygodnie.

No to jak dają wsześcioro, kto nie skorzysta?

Dobrze, powiadam, do wieczorania będzie ze mnie ani śladu.

Wtedy pani profesorowa, że jeśli bym na wieś do swoich, nie pożałowałyby drugi raz tyle, boby ją nie gnębiło, że gdzieś mnie spotka.

Sześć tysięcy, proszę panów śledczych, dla człowieka pracy ciężki grosz.

Przez to zaprzysięgam swój wyjazd jeszcze tej samej nocy.

A poprzedniego dnia wyczytałam w gazecie, że na Pradze II
poszukują pomocy domowej.

Służbówka, mała rodzina, pensja dobra.

Skoczyłam tam przed południem.

Jedzie się i jedzie.

Całkiem jakby inne miasto.

Profesorowej zależało tylko, abymnie nie spotkać.

Gdzie tam można kogo spotkać ze sąsiadami, jak się mieszka na tej
Pradze II.

Więc zgodziłam się.

I tylko Zosi, tej od dyrektora Cywiska spod dwunastki, powiedziałam co i
jak.

Bo jeśli by jaka przesyłka do domu albo ktoś w odwiedziny.

Innym to nie miała mówić na Boga.

Ale ja tam ją nie winię, że wobec pana śledczego nie strzymała.

- Powłóczyłyste spojrzenie przywiera na długą chwilę do Pirka.

Pirek nie odrywa wzroku od akt, ale wierzchołki obu uszu zaczynają mu
paść.

- Która tam potrafiłabymy czegoś powiedzieć.

- Szeroki uśmiech rozciąga wargi uszmiękowane na kolor żółtej wypalanej
cegły.

Dobre.

Zieliński zachowuje śmiertelną powagę.

Tylko kąćki ust drgają podejrzenie.

Nie patrzy na Pirka.

Woli

nie.

177.

Żadna nie strzyma, żadna nie odmówi.

Barcik gładzi się po kolanie.

Mocna rzecz.

I jak teraz chłopię z tegowyskoczy?

Nie powinno się byłogo puszczać bez opieki domowej.

Pirek łyka ślinę.

Mają ubaw.

Przekroczył recepturę z robieniem słodkich oczu.

Teraz ma.

Że wypompował szurgota żaden nie zapamięta.

Tylko o tych jej głodnych kawałkach.

W zwolnionym tempie zapala papierosa.

Chciałoby się pić.

Ale nie zaryzykuje.

Dopiero by poszła melodia:

"Ochładzać się chłopina musiał".

- Niech pani opowie o tej awanturze - przekracza barierę milczącego śmiechu.

Zupełnie jakby uruchomił magnetofon.

Gadać to ona lubiła.

- Byłoby dwa albo trzy dni przed śmiercią pana profesora.

- Zwraca się niby do wszystkich, ale w tym pokoju istnieje dla niej jeden jedyny Pirek.

Wpatrujesię w niego osłonięta.

- Jak się zaczęło, tego nie wiem, bo w tym czasie akurat w kuchni.

Zresztą oni często ze sobą.

Słyszysz, że wrzeszczą, przystanąłam, co się będą pchać?

- Oboje wrzeszczeli?

- pyta Zieliński.

- Więcej pani profesorowa.

On to tak sycząco, niczym jak zmija.

Właśnie dogadywał: "Pośmiewisko z nas zrobiłaś dla wszystkich.

Żebyś nawet najgorszego nie potrafiła miłość, tylko te żigolaki za gotówkę.

Wiesz dobrze, że w stosunku do ciebie nie mam kompleksu Otella, ale żądam, abyś załatwiała te rzeczy bardziej dys.

- Siennik zająknęła się - dyskretnie".

Tego Zieliński nie potrafi zrozumieć.

Steinerowa chyba niejednego mogła sobie znaleźć.

Tu tkwiła jakaś zagadka.

- Co odpowiedziała?

- Och- Siennik uśmiecha się rozkosznie, tylko że wcale nie

wychodzi rozkosznie - słowami to nic.

Tylko buch w niego wazonem.

Taki wielki wazon - szkicuje rękoma

178

coś chyba większe niż ona sama.

- Zawsze pomyślała, żeby z nim ostrożnie, bo kosztował gruby grosz.

- Trafiła?

- włącza się Barcik

Wytrzeszcza na niego oczy, co bynajmniej nie dodaje jej uroku.

- A co pan, panie śledczy?

Taki wazonem?

Niech ręka boska.

I siła tojaka.

Poszedł w drobny mak.

Wazon znaczy się.

- Pogróżki - naprowadza Pirek.

- Bo ja, proszę pana, chciałam wszystko po kolei.

Więc pani profesorowa zaczęła grozić panu profesorowi śmiercią.

- Jakimi słowami?

- pyta Zieliński.

- Proszę powtórzyć jak najdokładniej.

- "Zabiję cię - powiada - choćby mnie mieli potem powiesić!

"A jeszcze pochwili znów z tej samej beczki.

"Zaduszę cię.

Będę dusić powoli.

powolutku"- tego już nie krzyczała, tylko tak jakoś, aż się człowiekowi straszno robiło.

I palcami w powietrzu jakby i rzeczywiście zaciskałam już tę jego grdykę.

"Żebyś - mówi - poczuł.

Żebyś dobrze poczuł, że umierasz.

"

Barcik porusza się ostro.

Coś to wszystko razem jakoś bardzo już gra.

- A Steiner co?

-Pan profesor nic.

To znaczy wziął nogi za pas.

Więcej się nie pokazał.

Bo jak naszapani w złości.

- Przecież musiał wrócić przed wyjazdem do Naukowa?

-Nie, wcale nie musiał.

Nno.

Nazywało się, że wyjechał prosto z biura, aleja tam wiem swoje.

On miał taką jedną.

Zdarzało się, że u niej to i po kilka dni z rzędu.

- W jaki sposób świadek dostarczył mu walizkę?

-A niby po co miałabym?

On tamu nie miał wszystkoc potrzebą.

Walizki też.

- Ona mieszka na Nowogrodzkiej w pobliżu Kruczej?

pyta Zieliński.

179.

Siennik patrzy na niego zdumiona.

- Skąd panowiewiedzą?

-Milicja wszystko wie.

- Barcikjest pełen godności.

Żaden się nawet nieuśmiechnął.

- A ztym samochodem?

- znowuprzypomina Pirek.

- Więc w tamten piątek, co pan profesor umarł, paniwzięła rano wóz i dobre pół dnia jej nie było.

-O której wyjechała?

-zadaje pytanie Zieliński.

- Tego to ja niewiem.

Nie byłopowodu, aby patrzećnazegarek.

W każdym razie wcześnie.

Może ósma, mozedziewiąta.

Śniadania nie chciałajeść ani kawy.

W ogóle nicnie przełknęła.

Nerwy, widać, musiały ją trząść.

Wróciładobrze po południu.

Wóz jakby z wierzchu świeżo umyty, a w środku kazała, żebym

ja przyprowadziła go do porządku.

Piachu tam wszędzie było, że jej!

Całkiem - myślałam sobie wtedy - jakby po jakiej pustyni.

- A igły też były?

- wtrąca Barcik.

- Igły?

- szeroko otwiera oczy, przez co zresztą nie stają się większe.

- Jakie znów igły?

- No, jakieś takie z drzew.

Niekoniecznie całe.

Kawałki.

Albo okruchy liści.

Coś tych rzeczy?

- Przyglądać się specjalnie nie przyglądałam, ale jakieś pokruszone badyle chybatak.

- Las - myśli Zieliński.

- Ale może i nie las.

Badył znaczy także trawa.

W każdym razie niecały czas poszose.

Tunie madyskusji.

- Był wiadomo, że Steiner wyjeżdża do Naukowaw piątek?

-Tak.

Zanim pan profesor poszedł do tej.

no, na Nowogrodzką, cały czas mówiło się, że w piątek rano.

Miałam mu wszystko przygotować.

Te rzeczy to już zawsze na mojej głowie.

-Jednak przecież nie zawsze.

- To prawda.

Kiedy mieszkał na Nowogrodzkiej, to nie.

180

- Często zdarzało się, że przebywał tam po parę dni pod rząd?

-Zdarzało się.

-Jak na to reagowała Steinerowa?

- Gdy już stawało się wiadome, że pan nie wróci noc, sama się zabierała z domu.

-Zawsze dopiero wtedy, gdy było już wiadomo, że niewróci?

- Zawsze.

Gdy go nie było najpóźniej do siódmej, to wcale już tego dnia nie przychodził.

Pani szła tak dziewiąta, dziesiąta.

- Ktoś po nią przychodził?

-Nigdy.

Jechała swoim wozem.

- O której zjawiała się z powrotem?

-To już bardzo różnie.

Czasem skoro świt, czasem dopiero w południe, a zdarzało się, że i prosto na obiad.

- A tak, żeby parę dni pod rząd?

-Nie, tego z mojej pamięci nie bywało.

- Wie pani coś o tych żigolakach?

-Co mogę wiedzieć?

Dodomu nie przychodzili.

Tyle że jak pan profesor czasem pytał o to lub tamto z pani bizuterii, ona mówiła: "A ktoś tam ukradł".

Ale do milicji z Bogą.

I każde słówko o tym doprowadzało ją do wściekłości.

"Lepiej pilnuj swojej.

" - Siennik urywa, zasłaniając wstydliwie usta.

-No? - ponagla Zieliński.

- Pindy.

Mapa w skali operacyjnej znów uzaściela biurko.

- Zaraz sobie zaparzymy mocną kawę - mówi Lalewicz.

Zieliński chrząka wyczekująco.

Owszem, ma ochotę na mocną czarną kawę.

Oczekiwanie nie sprawdza się.

Nie ma neski, nie ma parzenia we własnym zakresie.

Kompleks "idealnej siły biurowej" trwa.

Zakonspirowany

181.

kociak wnosi prawie pełne szklanki.

Znowu jest bardzo dużo kawy i znowu ta kawa jest bardzo niedobra.

-Jeżeli chodzi o pierwszą wersję, jakoś nie bardzo ją widzę.

- Lalewicz pociąga ze swojej szklanki w taki sposób, jakby płyn nadawał się do picia.

Ale niewątpliwie kwestia przyzwyczajenia- No, bo gdzie zaparkowała wóz?

Nie dojeżdżając do Sielni?

Czerwony mercedes przy polskiej drodze.

Defilada przez wieś.

Musiałaby być ostatnią idiotką.

Wjechała do czyjejś zagrody - skutek ten sam.

Tyłu świadków, ilu ludzi we wsi.

"Czerwony mercedes w obejściu Iksa.

Była godzina.

" Wprost nie do wiary, jak ci ludzie często patrzą na zegarki.

-Za mostem - wysuwa Zieliński.

- No, jakieś mniej eksponowane miejsce.

Lalewicz potrząsa przecząco głową.

- Za rzekę, w cień drzew, odpada.

Niema cienia, niemadrzew.

Sami wiecie.

Patelnia.

Widać ze wszystkich stron.

Czerwony mercedes naekspozycji?

Phi!

Lepsze zagranie.

- W takim razie próbujmy wersję numer dwa.

-Rzecz jasna wozem KG - zaznacza Lalewicz.

- Dlaczego: rzecz jasna?

-Z powodu trasy.

Tamtędy zawsze wolę cudzym.

Drogapod mercedesy.

Cofnęli się parę kilometrów szosą w kierunku Warszawy.

- Tu - pokazał Lalewicz polną drogęwpadającąw las.

Wóz stał się łodzią na rozszalałych falach.

Staral sięcierpiećw milczeniu, aleco nieco przenikała na fonie.

Większość refleksji nie nadawała się do powtórzenia.

Pomimo wszystko rozglądali się.

Las był gęsty, wciśnięcie wozu pomiędzydrzewa nie wchodziło w rachubę.

-Jeżeli tedy, to musiała zakotwiczyć gdzieś pod lasem orzeka Zieliński.

182

- Tylko- potwierdza z przekonaniem Lalewicz.

-Wolałem jednak, żeby KG empirycznie.

- Cholera- Barcikprzygryzł sobie boleśnie język.

- Naetapie pecha wszystko, co by się niewybrało, jest własnietym gorszym.

Pirek tak się palił do tejjazdy.

- Z czego wynika, żeniema pecha - śmieje się Zieliński.

Spojrzenie, jakimobrzućiłgo Barcik, jestpełne pretensji.

- On nie.

Za to ja.

Podlasem nie było już takich wertepów.

Przymierzyliw jednymmiejsku, w drugim.

Trzeba było trochę pobiegać,aby sprawdzić widoczność.

- Latarnia -złości się Zieliński.

- Wszędzie latarnia.

- Tylko ktoma do niej zaglądać?

- Lalewicz rozpinamarynarkę.

Robi się coraz cieplej.

Zieliński kiwa głową.

Słuszna uwaga.

Dokoła żywego ducha.

Dopiero gdy zahamowali szósty czy siódmy raz, spomiędzy drzew wyszedł gość z niezapaloną fajką w zębach.

- Hm.

milicja?

Lalewicz odwraca się.

- O! Stary znajomy.

- Witają się.

- Pan Głowacki jest portierem w dziecięcym sanatorium.

Kilkadziesiąt metrów stąd.

- Kroków, panie kapitanie poprawia.

- Nie muszę nawet wyjść, żeby widzieć wszystko, co się tu.

Czerwony mercedes?

- mruga porozumiewawczo.

- Czerwony mercedes.

- Zieliński ma niezbyt mądrą minę.

- Ja i tak wiem- strzyka przez zęby śliną.

- Przecież najgłówniejszy świadek.

Było około dziewiątej, śmignął jak diabeł.

Diesel, psiakrew - klnie pełen podziwu.

Potempokazuje rękąna prawo od miejsca, gdzie stała warszawa.

- O, właśnie tu.

Damana wysoki połysk.

Gasi motor,

183.

wysiada.

A na nogach szpilki.

Nogizresztą.

Hm..

No,tak.

- Kiedy?

- pyta Lalewicz Rozkłada z ubolewaniem ręce.

- Tylkookoło, panie kapitanie.

Co do minutynie potrafię.

Nazegarek akurat się nie patrzyło.

- Dzień?

- niecierpliwi się Lalewicz.

Gość z fajką robi obrażoną minę.

- Nocopan, panie kapitanie?

Czyżbym się wychylał?

Jasne, że piątek.

Wtedywłaśnie ten profesor w Naukowie.

Dobre - myśliniemrawo Zieliński.

Tylko jak coś już zaświetnie leci, też się nie chce wierzyć.

- Szpilki - budzi się z katalepsji Barcik -i codalej?

-Zamszowypłaszcz.

Włosy niebieskie.

takietrochęwpadającew amarant.

Ja tam nie spec od damskich włosów.

Wyjęłakluczyk ze stacyjki, a kółko przy nimna kształtjakby odważnika, i stąpa na tych szpilkach tam - znowuillustruje gestem.

- Do Naukowa?

- Zieliński wciąż nie możesz pozbyćnieufności.

- Tego to jajuż nie wiem - wzrusza ramionami - bomożna i doSielni.

Ale żebyspecjalnieprzezlas.

- Miała co w rękach?

-Nic.

Nawet torebki.

Widaćzostawiła w wozie.

- Nie zwrócił panprzypadkiem uwagi, czy kieszenie jejpłaszczka nie byływypchane?

-Niestety niezauważyłem.

- Kiedy wróciła do wozu?

-Nie wiem.

Tylko odeszła,pandyrektor zawołał mniei kazał jechać do Warszawy.

Wróciłem dopiero po czternastej.

Wozu już wtedy nie było.

Zieliński podsuwa fotografię.

-Ta?

Przyglądasz się bardzo krótko.

184

- Ona.

To dużo lepsze zdjęcie niż tamto.

Przecież na

tamtym też ją rozpoznałem.

Zieliński znowu mruga oczyma.

Co za cholera?

- Na jakim tamtym?

-No,co to poprzedni pan śledczy pokazywał.

- Poprzedni pan śledczy.

- Zieliński klnie dosadnie,ale tylko w myśli.

Kto tu myszkuje z boku?

- Mógłby pan

podać jego rysopis?

- Wzrost to chyba taki sam jak u pana,tylko zeszczuplejszy.

Twarz można powiedzieć pociągła.

Oczy więcej szare.

Chwilami to jak zaświdruje nimi człowieka.

Nawet sobie wtedy pomyślałem: odrazu widać, że śledczy.

Z ust Barcika spływa nieokreślony dźwięk.

"Od razu widać, że śledczy.

" Przerzucają się spojrzeniami.

Portret Roleńskiego.

Ale jak to pogodzić z całą resztą?

- Nie - dłoń przykrywasz czelnie słuchawkę.

- Przykro

mi, ale nie.

Żrenice jej zwężają się.

- Co takiego?

Z mojego własnego telefonu?

W moim

własnym mieszkaniu?

- Niestety.

- Żrenice jej stały się jaskrawożółte.

Spojrzenie zapowiadało łagodnego przebiegu rozmowy.

"Nie mieli panowie próbki jej temperamentu?

"- przypomina sobie Zieliński.

Więc cóż?

Teraz chyba będzie mieć.

- Chcę zatelefonować.

- Nie mogę pozwolić - Steinerowa pręży się.

Obserwują kąciemoka.

Zapowiada się lepsza zabawa.

- Puścić!

Szarpniętą gwałtownym ruchem słuchawka pozostała jednak u niego w ręku.

Steinerowa zrywa się z fotela.

Ostro zeszlifowane szpice srebrnolila paznokciznalazły

185.

się na wysokości jego oczu.

Wielki wazon, popielniczka, teraz znów te paznokcie.

Tylko spokojnie - zwalcza odruch instynktu, który nakazuje unieruchomić je ręce.

- Przemoc.

Brutalna przemoc.

- wznosiła się niemal do krzyku, jakby chciała się podnieść do wykonywania bezpośredniego ataku.

- Siła fizyczna wobec bezbronnej kobiety.

- Wobec aparatu telefonicznego - protestuje łagodnie.

- Pan nie ma prawa.

- Ależ tak.

Jego spokój rozdrażnia ją jeszcze bardziej.

- Co pan sobie wyobraża?

Co sobie wyobraża, do wszystkich diabłów?

Że jak męża już.

że jak męża.

to niemożna jak jaką ostatnią?

Ma się jeszcze kto za mną ująć.

Jedno słowo i takie coś jak panleci na śmietnisko.

Zieliński milczy.

Steinerowa nie wykracza poza schemat.

.. Dużo razy obiecywano mu, że poleci.

Zresztą rzeczywistość wysokich koneksji Steinerowej nie ulegała dla niego najmniejszym wątpliwościom.

- Będę telefonować, do kogo mi się spodoba.

-Ale jeszcze nie teraz.

-Jestem aresztowana?

Odważył się pan na.

taką.

zatykają.

Furia.

Ale przecież pomimo wszystko trudnooby twierdzić, że odrażająca.

Anina chwilę spuściła wzrok z dziesięciu ostrzyzagrażających oczom.

- Na taką kosmiczną bzdurę?

- Nie odważyłem się zaniedbać koniecznych środków ostrożności.

-Muszę porozmawiać ze swoim adwokatem.

- Listi pełnomocnictwo będzie pani mogła wysłać aresztu.

-List?

- parska.

-Co mi pan.

co mi pan tu będzie.

Chcę się porozumieć z adwokatem osobiście.

Zrozumiano?

186

- Nie mogę pozwolić.

- Znalazł się od pozwalań.

Mnie czytać nauczono.

Adwokat ma prawo brać udział w dochodzeniu.

- Od czasu pani rozvodu z Roleńskim przepisy zostały
znowelizowane.

-Ja..

-wymachuje rękoma.

Zieliński nie odsuwa głowy, choć wrażenie, że migające przed twarzą
szpony wpijają się w oczy, jest czymś prawie fizycznym.

- Żeby takienic.

Taka milicyjna stupaja.

- Hm.

obraza funkcjonariusza.

- zaczyna bez przekonania.

Itak nie ma zamiaru wyciągać z tego konsekwencji.

Steinerowa nie dopuszcza do głosu.

- Możesz się dać wypchać.

Kto uwierzy?

Pan jest pijany.

Oczywiście, że pijany.

- Proszę się nie krępować - ten numer też nie stanowił
rewelacji.

Wybuchła wściekłym śmiechem.

-Ja miałabym się krępować?

Ja? Co za idiotyzm.

I tak

cię wykończę.

- W programie jeszcze jedno morderstwo?

Pijany?

- zastanawiasię na głos jakby go w ogóle tunie było.

-Nie.

mogą sprawdzić.

- Na pewno sprawdzą.

-Przyłazł.

Zamiast wezwać na komendę.

Wybrał porę, gdy jestem sama w mieszkaniu.

Wszystko jasne - wpijapaznokcie w kołnierz sukni.

- Co panizamierza?

- pyta bez emocji.

- Sukienka w strzepakach.

Wzywam ratunku na całydom.

Tłum świadków.

Rzucił się, chciał zgwałcić.

- Nie chciał, proszę pani.

Przeprasza, ale niechciał.

Szkoda sukienki.

Halo, Józwiak!

- Co?

- machinalnie odwraca się.

-Nie mnie brać.

Zanimda radę zamkom.

Jeszcze lepiej: postawił kumpla,

żeby mu.

187.

- Jestem, towarzyszu kapitanie.

- W drzwiach przedpokoju wyrasta barczysta sylwetka.

Steinerowa patrzy na niego osłupiałym wzrokiem.

-Jak to?

Zamknięte drzwi?

- Zamknięte?

- Zieliński potrząsa głową.

-Nie, proszępani.

Nie były zamknięte.

Niemogliśmy sobie pozwolić.

Za duże ryzyko.

Kawalerka na Nowogrodzkiej stoi pustką.

U drzwi potężna kłoda.

Dozorca patrzy spod oka.

- Obywatelka Anieli Petri wyjechała na wczasy.

- Niewie dokąd ani kiedy wróci.

-W początkach październikato powinnachyba być.

Studentka przecież.

Pirek ujawnia się.

Skoro już przyszedł, warto pogadać.

Tu właśnie Steiner spędził ostatnie dni swego życia.

- U niej od czasu do czasu mieszkał profesor Steiner?

Dozorca spluwa.

- O, zaraz mieszkał.

- Tego rodzaju sformułowanie najwyraźniej mu nie odpowiada.

Pirek nie ma zamiaru go gasić.

Niech sobie skwierczy.

Nie chodziło o sprawę prestiżową.

Chodziło o informacje.

- No więc przebywał - prostuje zgodnie.

- Zdarzało się.

- Ostatnio w maju?

- Zgadza się.

- Może pan wie, kiedy odjechał?

- Jakżeby - wzdusza ramionami.

- Wszystko na własną rękę.

Potem niejako człowiekowi na duszy się robiło, gdy sobie pomyślał, że w parę godzin później taka go śmierć.

Pirek bierze pod włos.

- Widzę, że pan jest dokładnie wprowadzony w szczegóły.

- Cóż - uśmiecha się z fałszywą skromnością, ale wi188

dać,żego roznosi.

- Kto nie czytuje gazet?

Zresztą, panie, tu wszystko chodziło, jak wydrukowali o tym, co się stało.

Panna Petri całkiem jakby przeczuła.

Caław nerwach mutej ego walizki.

- Skąd pan wie, że zdenerwowana?

- Po niej to nietrudno.

Twarz obrzękła jakby po płaczu.

I rozstać się z nim niemogła.

Jeszcze do wozu doniego zagląda i jakieś tam szepty.

- Wychodziła tego przedpołudniapojego wyjeździe?

- Wyszła.

Może w jakie półgodziny.

Nie, nie mówiła mu dokąd.

Alenie na uczelnię, bonie zabrała teczki, tylko torebkę.

To była duża torebka.

Petri innych nie uznaje.

Nie, nie zauważył, czy specjalnie wypchana.

Nie wierównież, októrej wróciła.

W każdym razie otrzynastej jeszcze jej w domu nie było.

Listonosz pytał, kiedy wróci.

Ona mu zawsze daje piątaaka za każdypolecony.

Kalkulowało się wrócić jeszcze raz.

- Tą taksówką Steiner pojechał prosto do Naukowa?

-Jasne.

- Nie zapamiętał pan przypadkiem numeru?

- oczywiście Pirek nie liczy na konkretną odpowiedź.

Dozorca wybucha śmiechem.

- Przypadkiem?

Dobre sobie!

Taksówka mojego szwagra.

- Świadek Alojzy Góra - zapowiada lakonicznie Pirek.

-Nieźle - Barcik z traskiem rozrywa celofanowe opakowanie mentolowych.

- Rośnienam chłopię w oczach.

Od Siennika do Góry, każdy przyzna: mocny krok.

- Świadek?

- Zieliński przeżuwa zapowiedź bez smaku.

Perspektywa dalszej rozbudowy dochodzenia wcalegonie zachwyca.

Niby względem czego?

-Sensacja na bocznej ulicy.

- Hm.

- Barciktrze czubeknoks.

-Boczna ulica,bocznej ulicy,czyli najdroższy najdroższej Steinera?

189.

- Żadne takie.

Kierowca PT.

- Pleno ttulol' - dziwi się Barcik.

- Prywatna taksówka- rozszyfrowuje Zieliński.

- No - potwierdza Pirek.

- Scena pożegnalna ze śpiewakami.

Oko zbieleje.

, - Tu wciąż, cholera,bieleje.

- Barcik patrzy z dezaprobatą na kłaczki tytoniu sypiące się z dopiero co otworzonej paczki papierosów.

- Szwagier - mówi świadek Góra-jest w tymdomu zadozorcę.

Nadał mi kurs, żeby nibypasażer z pieniądzmiszę nie liczy.

Przyszłoczekacze dwadzieścia minut, wreszcie wyłażą.

Ona, babka w wieku poborowym, walizki tacha.

Pan profesormałą paczuszkę najednym palcu.

Lieberbaron, można powiedzieć.

No więc wsiada, ona mu te walizki, nagle słyszę, jak on do niej nawet nietak znów żebyspecjalnie cicho: "Ty.

chcesz mnie wykończyć,wszystkozrobisz, psiakrew,żebymnie wykończyć, ale nie wyobrażaj sobie.

Ja jeszcze chcę pożyć.

Nie dam się wykończyć".

Ona patrzy na niego - w lusterku dokładnie widać - oczytakie jakieś zwięzione, zupełnie szparki, potem zbliża twarz do jego twarzy i śmieje się cicho, śmiech taki, że ciarkiczyłowieka przechodzą.

"Aja ciebie wykończę.

Rozumiesz?

Jak Bóg na niebie, wykończę.

" Potem, całkiem już blisko.

Jeszcze chwila - myślę - i zębami go za tę pomarszczoną grdykę.

"Nie pożyczysz sobie.

Możesz na to nie liczyć.

Choćbym samamiała.

No więcnie.

Przysięgamci, że nie.

" Jeszcze trzymając kłamekę, tuż przed samym zatrzaśnięciem drzwiczek:"Pamiętaj: nie i już.

Nie pomoże choćbyś nawet nagłowie.

".

- Zbielało?

- triumfuje po jego wyjściu Pirek.

-Jak wrzód na postawie siedzącej w czasie kursokonferencji - malowniczo określa Zieliński.

- Sprawa jak słońca w ostatnim miesiącu.

Ilu już doczepionych do solowego morderstwa?

Byli małżonkowie

190

Roleńscy - liczy na palcach - Sobczański.

Dziewica napracachzleconych.

Hrynowska z parteru.

- Och, gdzie ona jest, ach gdzie?

- śmieje się Barcik.

- Mowa.

Dla nas akurat tam, gdzie i Petri.

Znaczący się miejscu, którego koordynatów z przyczyn niezależnych
chwilowo podać nie potrafimy.

- Kocham upraszczać.

Parę dni, kilka lat, właściwie co

za różnicą?

- I rzeczywiście.

W tej chwili istotne, że ich nie ma.

Reszta - szczegóły drugiego rzutu.

- Dyskusja na poziomie kategorii "S" - przyznaje łaskawie Pirek.

- A ja sobie boczkiem zmoją Anielcią.

Jeżeli dotychczas była kiedykolwiek w Naukowie.

- Tylko bez przesadyzmu - powściąga Zieliński.

- Co

ma Petri do Naukowa?

- On miał trudne dzieciństwo - komentuje Barcik.

Dla wyrównania chce, żeby teraz wszystkiemu było łatwo.

Aniela Petri przebywała w Naukowie od 18 do 30 kwietnia roku bieżącego.

Hrynowska nie wiedziała, że ją coś łączy ze Steinerem.

Formalności związane z pobytem

Petri załatwiła na miejscu.

- W martwym sezonie - tłumaczy Hrynowska - przyjmujemy również osoby spoza kręgu uprawnionych.

Petri okazała pisemko, z którego wynikało, że w jakimś sensie współpracuje z redakcją słownika chemicznego PAN.

Otrzymałaby zresztą pokój również i bez tego pisemka.

Hrynowskiej nic nie wiadomo, aby Petri rozmawiała telefonicznie ze Steinerem.

Proszono ją wprawdzie kilkakrotnie do telefonu i sama dzwoniła do Warszawy, ale Hrynowska nie ma zwyczaju podsłuchiwania.

W momencie przybycia Petri akurat w głównym gmachu wszystkie pokoje stały wolne.

Mogła wybierać.

Wybrała dziewiątkę.

191.

- Czy może pan mi powiedzieć, co ją łączyło ze Steinerem?

- pyta z kolei Hrynowska.

Pirek odchrząkuje z zakłopotaniem.

- Właśnie nie mogę.

- Był pewny, że domyśliła się beztrudu.

Zieliński wysłuchał z ponurą miną.

- Witam specjalnie serdecznie.

Dwurodzinny kociak na uzbrojonym terenie.

Motyw?

Cóż!

Kochanki żonatych panów to już z samej natury rzeczy.

Tego nam tylko brakowało.

Alibi pewno też nie ma.

- A kto tu właściwie ma?

- Barcik jest zde gustowany.

Wątki śledztwa kielkują w coraz to nowych miejscach.

Ale w jaki sposób zebrać to wszystko razem, żeby było z sensem?

- Może i kto ma - Zieliński zmęczonym ruchem kładzie obie ręce na biurku.

- Tylko wołyżnicę jakoś sobie życzy.

Hrynowskiej wciąż ani śladu.

Petri w dalszym ciągu buja gdzieś w bliżej nieokreślonej przestrzeni.

Z samego rana dzwoni telefon.

- Tak.

- mówi Zieliński.

- Zgadza się.

Rozumiem.

No oczywiście.

- Odkłada słuchawkę.

- W czym rzecz?

- pyta Barcik.

- Kobieta - wyjaśnia lakonicznie.

- Jaka?

- włącz się Pirek.

- Zobaczy się.

W ogóle: Janina Metelak.

W sprawie Steinera.

Zobaczyli po paru minutach.

Niskie obcasy, prawdopodobnie ze względu na imponujący wzrost.

Pagórkowatyortalion płaszcz, sukienka o bogatej palecie kolorów.

Włosy blond w dość obnoszonym odcieniu.

Może nawet barwa naturalna.

W każdym razie nie widać odrostów.

Paznokcie przesadnie błyszczące.

Jakby emalia została nałożona dopiero przed chwilą.

Całość owszem.

192

Zaktualizowana do wymogów bieżącego sezonu.

Lat, mówi, że ma dwadzieścia dwa i tyle samo wpisane do dowodu.

Jeszcze sobie nie zaczęła odejmować.

- Czy tu prowadzi się śledztwo w sprawie Steinera?

Mogła sobie zaoszczędzić.

Raz informowała się w biurze przepustek, potem w kancelarii, skąd przekazano ją bezpośrednio.

Alenię było celu obcinania jej na wstępie.

Speszony świadek traci wiele z swych wartości poznawczych.

Choć, prawdę mówiąc, tego świadka raczej chyba niełatwo było speszyć.

Siada, niby to obciąga sukienkę.

Nogi niezłe.

- Boja, proszę panów, jestem narzeczoną plutonowego Wańka.

Pirek patrzy na nią jakoś z boku.

Barcik odkłada pinezki, z których jedna przebiła mu zresztą skórę na

czubku palca.

Widać, że żaden z nich nie jest przygotowany dzisiejszego rana na niczyje narzeczony.

Tylko Zieliński, który twardo sobie postanowił, że w tej sprawie nic go już nie będzie w stanie zadziwić, kiwa ze zrozumieniem głową, jakby jej oświadczenie wyjaśniało wszystko bez reszty.

-Hm..

tak.

jasne.

- No to on kazał mi tutaj przyjść i żebym wszystko powiedziała.

Zieliński odchrząkuje wyczekująco.

Jeszcze jednakandydatka do zajęcia któregoś z pierwszych numerów w sprawie?

-Ja słucham.

- Czy będę ukarana za to, że nie powiedziałam od razu?

- Nie sądzę.

Ale wciąż jeszcze niewiemy, o co chodzi.

- Nie oczekuje rewelacji.

Ale to jest przecież rewelacja.

- Panna Petri, no ta.

narzeczona pana Steinera, kupowała w dzień jego śmierci trixi.

To było z samego rana.

Ponieważ on podobno otruł się trixi.

193.

Barcik aż się wychylił ponad swoim biurkiem.

Pirekmyśli: dobre.

Ale jak to pogodzić zeznaniami Siennik?

Zieliński ma ochotę powiedzieć: "Ludzie, nie pchajcie się".

Oczywiście nie mówi.

- Skąd paniwie o tym trixi?

- Sama jej sprzedawałam.

Trudno o bardziej bezpośrednie źródło.

Metelakmówidalej.

Nie ma potrzeby zadawania pytań.

Nietrzeba ponaglać.

Słowa ciurkają nieprzerwanie, niczym woda z niedokręconego kranu.

Metelak jest ekspedientką w mydlarni.

Petri przychodzi bardzo często.

Mieszka w najbliższysąsiedztwie.

O Steinerze Metelak wie od Kociuby, którejmąż jest dozorcą w domu, gdzie mieszka Petri.

W tamten piątek, gdzieś około dziewiątej, Petri zapukała dotylnych drzwi.

Mydlarnię otwiera się dopiero o jedenastej, ale co piątek przychodzą wcześniej, aby uporządkować towar.

Po co ma im niespodziewanie manko wyskoczyć?

Wpuściła Petri, ta prosi o trixi, tylko koniecznie świeże.

Dobrze trafiła, bo dostarczono akurat poprzedniego dnia.

Jeszcze Metelakostrzegła, że z trixi nie ma żartów, lepiej gdzieś na przewiewie, w prasie właśnie o tym pisali.

Petri roześmiała się.

"Z tym trixi zostanie załatwione tak, jak powinno zostać załatwione.

" Tak to jakoś powiedziała, że Metelak zrobiło się nieprzyjemnie.

Nie umie zresztą wytłumaczyć dlaczego.

O śmierci Steinera dowiedziała się nadrużi czy trzeci dzień z gazety.

Wczoraj Kociuba wpada do mydlarni, o mało spazmównie dostaje.

"Męża -powiada-śledczy na wszystkie sposoby o tym, jak to wtedy Steiner odjeżdżał w ogóle.

A brata bez dania racji do radiowozu na komendę.

" Metelak się przestraszyła.

Ponieważ akurat jej narzeczony Waniek, który jest plutonowym milicji, wrócił z urlopu, opowiedziałam o całej tej historii.

Nawymyślała jej jak mogła tak długo milczeć.

Pirek ma pytania.

194

- Czy świadek zawinął trixi?

-Tak.

Petri prosiła, żeby zapakować w papier.

- Petri była zdenerwowana?

- Ona była dziwna.

Jakby jakoś splakana.

- Śmieszka - mówi potem Zieliński.

Barcik wzrusza ramionami.

- Chyba ostatnie określenie, które bym o niej.

- Omyłka.

Ja nie o Wańkowej narzeczonej.

Ja o Petri.

Śmieje się, zapowiadając wykończenie kochanka, śmiejesię, mówiąc, że z tym trixi "zostanie załatwione.

". Co jej tak, do cholery, wesoło?

O godzinie jedenastej równowaga nerwowa szefowej uległa zachwianiu, w południe przestała istnieć do reszty.

- Dziś nie mówię, sobota także nie wchodzi w rachubę, ale niedziela.

Pytam pokornie, co będzie w niedzielę?

Gdzie ten Salomon, co potrafi niedzielny obiad z niczego, boja, za przeproszeniem, nie podejmuję się.

I jeszcze przecież pan minister Skolski.

Ja nie z tych, co lubią nakogoś bez potrzeby, ale sama pani kierowniczką

wie.

Hrynowska zaciska palcami żyły w skroniach.

Tak, onawie.

Człowiek na wagę złota, charakter chwilami wprost niemożliwy.

Nie jegowina.

Sprawy żołądka.

Ale jeżeli podaćmu coś nie tak, jak być powinno.

- Może pan Komosa przyjedzie.

- na próżno usiłujęchnąć wiaręw swoje słowa.

Szefowa załamuje ręce.

- No czy przez te wszystkie lata zdarzyło się choć raz, żeby o tej porze?

Hrynowska milczy.

Oczywiście nie zdarzyło się.

Niebardzo widzi, co można by dalej.

- No co, pani kierowniczo, no co?

- ma taką minę, że jeszcze chwila i złapie jąza ramię, szarpnie, popchnie, zrobi coś, by ją wprawić w ruch.

195.

- Nic.

Cóż możemy?

Czekać.

- Co da czekanie?

-A co pozostaje innego?

Wieczorem ktoś pojedzie do pana Komosa do domu.

- Wieczorem - szefowa wznosi ruchem pełnym zgrozyrozbuchane ręce.

-Jak można czekać do wieczora?

Pankapitan Lalewicz zawsze dla panikierowniczkę taki uprzejmy.

- Milicja?

- obrusza się Hrynowska.

-No, wie pani, żeby coś podobnego.

- Pokonanie oporów, jakie budził w niej projekt zwrócenia się do Lalewicza, kosztował odużo wysiłku.

Wkońcu machnęła ręką.

- Wszystko jedno.

Ostateczni musimy wiedzieć, na jakim świecie żyjemy.

- Pan Komosa?

Właśnie miałem do pani doktorowej w tej sprawie telefonować.

- Brzmienie głosu Lalewiczawydało się Hrynowskiej jakieś dziwne.

Niewątpliwie byłły.

Gdyby go nieznała, mogłaby przypuszczać, że jest prócz tego speszony.

- Przykro mi, ale on.

hm..

on został zatrzymany.

- Aresztowany przez milicję?

- Oczy Hrynowskiej stają się całkiem okrągłe.

- Wypadek drogowy.

Mam nadzieję, że w najbliższym czasie.

- Wymawiając się nawalem pilnej pracy, przerywa połączenie.

Jest naprawdę speszony.

To prawda, że dwóch przedszkolaków odwieziono do szpitala w stanie niezbyt dobrym, ale ekspert jest prawie pewien, że musieli wpaść pod kopyta w sposób uniemożliwiający uniknięcie "wypadku".

To "prawie" w połączeniu z hasłem: "Uwaga, dziecko na jezdni" wystarczyło.

Asesor Kwisko ani chciał słyszeć o zwolnieniu Komosy.

- Dwoje dzieci, kapitanie.

A jeżeli któreś z nich.

Ludzie muszą widzieć, że bimbanie na jezdni pociąga zasobą natychmiastową reakcję wymiaru sprawiedliwości.

Nie było dyskusji.

Ale stary człowiek powożący starąszkapą nie bardzo pokrywał się z obrazem pirata drogowego.

Kucharka przeżegnała się.

-Jezus Maria!

Pan Komosa w kryminale.

A co on tam mógł komu tą starą bryczuszką?

Wprost wierzyć się niechce.

Chyba że to wcale nie o wypadek, tylko oni tak dla zamydlenia oczu.

W kuchni od początku niewierzono.

Na niego, owszem, mogło najechać, ale gdzieżby tam on.

Cowieczór pewno dziękuje Bogu, że mu się limuzyna nie rozpadła.

- Nic, tylko wzięli go do sprawy Steinera - orzeka Magda.

- Pana Komosę?

- Genia rozmazuje sadze na brodzie.

- Jak mogli?

Przecież całutki czas na ludzkich oczach.

- Żona Steinera wcale tu nie przyjeżdżała i też siedzi.

- Wiadomości Magdy pochodziły od żony pana Trąby, przed którym sierżant powiatówki Sobik nie miał tajemnic.

- W końcu wszystkich nas tu zgnoją.

- Zgnoją.

- Wzdychałzawo szefowa.

-Jak Bóg na niebie.

A jeszcze jakby znaleźli komu łątkę przyczepić.

- Rany boskie - piersią Cesi wstrząsa szloch - gdyby tak na mnie padło.

Ojciec by jak psa.

- O, zaraz: jak psa - powątpiewa kucharka.

- Prawo milicji każdego pod światło.

- On by nie patrzył.

Taki już jest.

- Unurzana w popiele ręką ciera łzy.

Zapada w milczenie, sumując nad czymś niewesoło.

Nagle zrywa się ze stołka i jakimś, pewnym desperacji ruchem wychodzi z kuchni.

- A tę nowu co ugryzło?

patrzy w ślad za nią szefowa.

Magda tylko wzrusza ramionami.

Kto potrafi innemu

człowiekowi zajrzeć do duszy?

Ona w każdym razie.

Każdy ma własne sprawy do przemyślenia.

197.

- Z jego strony zawsze.

Teraz zaś, gdysam meldujeo renowacji swej gotowości psychicznej.

- Cholera -radosnepodniecenie Zielińskiego wyparowujez minuty na minutę.

- Barcikma rację.

Po faceciowszystkiego się można spodziewać.

Właściwie dlaczezonagle zaczęłomu się tak śpieszyć?

- Ewenementy - to słowo Pirek skądś wykopał całkiemniedawno - ostatnich dni.

Powiedzmy sensacja przyniesiona przez Wańkową narzeczoną.

Zieliński obrusza się.

- Zawsze myślałem, że ścisła izolacja to ścisła izolacja.

No, absolutne odcięcie od zdarzeń światazewnątrznego.

- To sobie myśl - zezwalapobłaźliwie Pirek.

- Na obecnym etapie głów za myślenie już się nie ucina.

Aprzecieki wszędziesię mogązdarzyć.

Sam wiesz,jak to jest:

Jesienny wiatrprzynosi wieści z daleka.

".

- Czyj tekst?

- interesuje się mimochodem Barcik.

- Własny - oznajmia z dumą Pirek.

- W ramach produkcji ubocznej.

Nabiurku Zielińskiego rozłożone akta.

Obok dokument, który właściwie nie jest jeszcze żadnym dokumentem.

Zdażył się obrzydliwie już wszystkim opatrzyć.

Blankiet protokołu, jak dotychczas, nie zawierał ani jednego słowa, poza personaliami Roleńskiego i sformułowaniem zarzutu.

Dużo było mówienia na temat przewidywań, nie robiono jednak żadnych planów.

Jakież tu mogły być, skoro wszystko zależało od tego, co on powie.

Zieliński usiłuje nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest niespokojny.

Było załamanie, przeszło, jak się towszystko teraz właściwie będzie przedstawiać?

Wreszcie wchodzi.

Czyściutki jak za poprzednim razem, odprasowany, policzki gładkie i matowe.

Pirek dyskretnie pociąga nosem.

Woda kolońska?

198

Tak samo jak wtedy rozmasowuje końcami palców różowe pręgina nadgarstkach.

Ale na tym kończą się analogie.

To nie jest Roleński z okresu przesłuchań po aresztowaniu.

Nie mówiąc już o tamtym szczytowym momencie jego mieszkania.

Zachowanie się jego przypomina raczej tamtą pierwszą bytność w tym gabinecie.

Gdy jeszcze było mowy o jakimś bardziej konkretyzowanym podejrzeniu.

Opanowanie?

Nie, to jest coś znacznie więcej.

Całkowite rozluźnienie wewnętrzne, jakby już nie istniał żaden powód wymagający natężenia uwagi.

Co znowu, u licha?

Roleński siada swobodnie, zakłada nogę na nogę, podciąga niedbałym ruchem nogawkę.

- Kiedyś- zaczyna tonem konwersacji towarzyskiej- marzyłem, aby siedzieć w więzieniu jak podejrzany o jakąś zbrodnię.

O jakąś ciężką zbrodnię.

Powiedzmy:

o morderstwo.

Spokojnie - mobilizuje się Zieliński.

Tylko spokojnie.

Ale tonie jest dobry wstęp.

I nie zapowiada niczego dobrego.

- Chyba - cedzi powoli -jednak nie w tego rodzajuokolicznościach?
- Ton mabyć kłujący, ukłucie jednaknie dociera.
- Dlaczego?

Nie mam nicokolicznościom dozarzucenia.

Są takie, jak być powinny.

Barcik mruży oczy.

A niemówił?

Nachyla się nad blokiem.

Cóż z tego, że nie ma co zapisywać?

Linieszkicowane przez długopis zaczynają się splatać w gmatwaninę, w której jest coś nieprzyjemnego dla oka.

Nieprzyjemnarzecz może stać się na przykład twarzą upiora.

Albo jeszcze czymś straszniejszym.

W zależności od nastroju.

Pirek przygląda się Roleńskiemu, jakby go widział dopiero po raz pierwszy.

Ta sprawa przynajmniej nie nudzischematyzmem.

199

A.

Dobre - myśli Zieliński - gdy śledztwo wreszcie dobiegnie do jakiegoś tam końca, nerwy będą się nadawać doskładnicy złomu.

Tylko że zdenerwowanym jest wbrew logice nie ten, którego się przesłuchuje.

Bo Roleński nie jest zdenerwowany.

Dziś z całą pewnością nie.

- Więc zdecydował się pan wreszcie złożyć zeznania?

- Zieliński stwierdza, że pytanie zabrzmiało z odpowiedzią do sytuacji dozą urzędowego chłodu.

Ale satysfakcja, jaką z tego powodu odczuwa, jest raczej zupełnie nikła.

Roleński kłania się z wyszukaną uprzejmością.

- Ależ oczywiście.

Przykro mi, że pauprzeciągnęła się nieco nadmiernie.

Nie będę zaprzeczać: wyłączniej mojej winy.

Tłumaczyć mnie w pewnym sensie może jedynie brak przyzwyczajeniado tego rodzaju roli.

Zieliński wygładza zagięty narożnik protokołu.

- Czy przyznaje się.

"Przystępowałeś do celebrowania z odpowiednim namaszczeniem - powie później Pirek- od razu ewidentne:

zdarzenie stulecia.

"

Ale Roleński nie dopuścił.

- Ach nie - komiczne przerażenie, jakby rzecz działa się podczas pogawędki w gronie zgranych przyjaciół.

-Niech pan mi oszczędzi odczytywania.

To byłoby wprost niehumanitarne.

"Że w dniu 10 maja.

" i tak dalej, i tak dalej.

Każde słowo, każdy znak przestankowy odbija mi się psychiczną zgagą po nocach jakocóż, co już nazbyt dawno przestałoby być świeże.

Więc nie.

Oczywiście nieprzyznaję się.

Nie zabiłem Steinera.

Nie zdarzyła się jakoś okazja.

Być może minąłbym się z prawdą, twierdząc, że go kochałem jak brata, a i tak jakoś dziwnie wyszło, że nigdy nie spotkaliśmy się osobiście.

W ogóle nie widziałem go, jak żyję, na oczy.

- Uhum.

- Zieliński poprawia się na krześle.

Jakoś nagle zrobiłomu się niewygodnie.

- Nie zabił pan Steinera.

200

Nie widziałgo pan na oczy.

Wobec tego w jakim celu wracał pan o godzinie jedenastej do Naukowa?

Roleński potrząsa głową.

- Nie było celu.

Nie było absolutnie żadnego celu.

- Nowięc?

-Toteż wcale tam niewracałem.

To już kropka nad i.

Zagubione spojrzenia błakają się bezradnie wśród biurka.

I co dalej?

- Rozmyślił się pan po powrocie do Anina?

Rzecz jasna potrafi pan udowodnić, że powrotna wyprawa skończyła się na Aninie.

- Zielińskinie potrzebuje się starać, by wypadło zjadliwie.

-Bo bez dowodów.

No..

Sam pan sobie zdaje sprawę, że w tej sytuacji.

Roleński rozkłada ręce.

- Niestety, nie mogę służyć dowodami.

Co więcej, takie dowody nie mogą istnieć.

- Dlaczego?

- Zieliński przestaje do reszty zrozumieć.

- Dlaczego nie mogą istnieć?

- Bo wcale do Anina nie wracałem.

To już przechodzi wszelkie pojęcie.

Zieliński patrzy na swój długopis w taki sposób, jakby się zastanawiał, z którego miejscawyskoczy żądło.

No nie.

Wszystko ma swoje granice.

Niech sobie facet nie wyobraża, że mu totak gładko.

Jak wtedy dowiedział się o tym bilecie, zaraz omdlenia, piekło na ziemi, szok i różne takie, a teraz bimba?

Zieliński prostuje się, sztywnieje, jest całkowicie mobilizowany.

Ani myśli o ustąpieniu bez walki.

Już on go zapędzi w kozi róg.

- Bilet - rąbie tak samo jak wtedy przy biurku Roleńskiego.

- Zapomniał pan o bilecie Wiatraczna - Anin, godzina jedenasta.

Nie ma efektu.

Roleński ani drgnął.

Siedzi wciąż w tej samej pełnej swobody postawie.

- Bilet - gładzi końcem palca kant spodni - nie zawsze

201.

znaczy, że jego posiadacz przejechał oznaczoną na bilecie trasę.

Nie na poziomie- myśli Zieliński - w ten sposób tylko się ośmiesza.

- No wie pan.

Ten bilet przecież został zużyty.

Właśnie na tym odcinku i właśnie o tej porze.

Jeżeli to nie przez pana został użyty do przejazdu, to skąd go pan wzięli w jakim celu?

Zbiera pan zużyte bilety autobusowe?

- Nieporozumienie - wzdycha z ubolewaniem Roleński.

- Ten bilet nie został zużyty.

Zieliński stwierdza, że ruch, którym sięgnął do koperty z biletami, jest stanowczo zbyt gwałtowny.

Opanowuje się.

Następne ruchy mają już właściwe tempo.

- Nie rozumiem- wykładając bilet oznaczony numerem jeden -jaki cel widzi pan w zaprzeczaniu rzeczom oczywistym.

Tu -wskazuje kulką długopisu - bilet jest kreślony.

A to oznacza, że został wykorzystany.

-Oznacza wykorzystanie- godzi się Roleński.

- Ale przecież nie jest nim równoznaczne.

- Co pan przez to chce powiedzieć?

-Sądzę, że zagadnienie stanie się jaśniejsze, jeżeli w pierwszym
odpowiem na drugie pańskie pytanie.

Otóż omawiany, powiedziałbym nawet, że chwilami zbyt gwałtownie -
podkreśla dyskretnym uśmiechem - omawiany bilet otrzymałem znacznie
później niż 10 maja od kontrolera Białka.

- Roleński patrzy bez zainteresowania otwartą gościnnie paczkę
papierosów, strzepując coś z kłapy swej marynarki, po czym dyktuje
pedantycznie adres prywatny kontrolera Białka, numery jego służbowego
telefonu i gdzie go można zastać w czasie godzin urzędowania.

To właśnie on zakreślił ten bilet w taki sposób, jakby został sprzedany na
Wiatracznej do Anina.

Twarz Zielińskiego staje się całkiem drewniana.

Jest nieruchoma i nie wyraża żadnych uczuć.

W ogóle mógłby

202

służyć za wzór zachowania się oficera milicji w momencie, gdy
mu sufitwali się na łeb - tak przynajmniej ujął to

potem Pirek.

- Zresztą - ciągnie dalej Roleński - tę historię biletem zna wiele
osób.

Bawiło je, że MPA będzie w jakimś sensie współuczestniczyć w
autorstwie mego następnego

kryminału.

- Więc - Zieliński patrzy ponad głową Roleńskiego

w kierunku okna - ten bilet stanowi rekwizyt
potrzebny do opisania powieści?

- Tak.

- I sądzi pan, że ktokolwiek zdoła w tę koncepcję uwierzyć?

- Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł mieć wątpliwości.

Chciałem się wczuć w doznania mordercy.

Powiedzmy resztą raczej: w doznania człowieka, który zamordował.

Dla mnie osobiście te dwa określenia nie całkowicie się pokrywają.

Trzeba było stworzyć odpowiednią atmosferę.

No więc, między innymi, ten bilet.

Morderca pomylił się zamiast biletu, który miałgo odciążyć, zachował
bilet, który pograża go bez reszty.

Taka rzecz mogła się przydarzyć, tym bardziej w stanie patologicznym
występującym u każdego normalnego człowieka po dokonaniu
przez niego morderstwa.

Sam muszę panowie przyznać, że podobna pointa to pierwszorzędny
big beat.

- Czy scena odegrana przez pana w momencie aresztowania należy
również do elementów tej atmosfery?

- Ach nie.

Nigdy bym sobie nie pozwolił na odgrywanie tego rodzaju komedii
wobec organów ścigania, które tak wiele pomogły mi przy budowie mego
mikroklimatu.

- W takim razie czym wytłumaczyć pańskie wzburzenie?

Przecież doskonale pan wiedział, co to jest za bilet i że jego rozszyfrowanie niczym panu nie grozi?

- Miałem dość poważne komplikacje z sercem.

To

203.

fatalnie wpływa na stan nerwowy.

Przynajmniej umnie.

Poza tym niewątpliwie zbyt daleko posunięta autosugestia.

Bardzo się wstydzę tego.

hm..

melodramatu.

Prawdopodobnie prawdziwy morderca zachowałby się zeznacznie większym umiarem.

Zabiera głos Barcik.

- Fakt, że podniu 10 majawziął pan przedmiotowybilet, wcale nie dowodzi, że nie wykupił pan takiego samego w dniu krytycznym.

Zieliński przyklaskuje w myśli, Roleński czyni to na głos.

- Bardzo słuszna uwaga.

Oczywiście, że nie dowodzi.

Niczego nie dowodzi, poza jednym: że załączony do aktbiletu został przeze mnie wykupiony u konduktora i że nie wykorzystałem go na odcinku Wiatraczna - Anin.

Aby więc definitywnie zakończyć sprawę, pozwolę sobie podać uporządkowany chronologicznie bieg moich czynności, poczynając od godziny dziesiątej pięćdziesiąt siedem, o której to wysiadłem z taksówki na Wiatracznej, w pobliżu przystanku autobusowego.

Przedstawia się on następująco: o jedenastej dziesiąt wróciłem z

Wiatracznej do mego mieszkania.

Rachunek za przejazd taksówką oczywiście panowie nie znaleźli?

Z przykrością muszę stwierdzić, że rewizja widocznie była na poziomie.

Został włożony do książki Szczególne przypadki pozorowania samobójstw doktora Leikinda w mojej bibliotece.

Druga półka oddołu.

W razie czego z odpisemnie będzie trudności.

O godzinie jedenastej trzydzieści pięć telefonowałem do naszego zarządu z prośbą o dostarczenie miewnych akt.

Rozmawiała ze mną sekretarka Wydziału Prawnego Lerska.

Przy sposobności zapytałem ją o godzinę, prosząc jeszcze, aby sprawdziła, bo u mnie dużo później.

Zapowiedziała, że akta zostaną dostarczone około godziny dwunastej, przyniesiono je jednak dopiero dwunasta

204

czterdzieści.

W książce doręczeń kwituje się z podaniem dokładnej godziny.

Poprzednie pokwitowanie pochodziło od Ministerstwa Finansów z godziną dwunastą dwadzieścia, następną, jak to ustaliłem, ex post, wpisała Komisja Planowania o godzinie trzynastej zero.

Doręczyciel znamnie dobrze, poza tymnie zmieniałem charakteru pisma.

Załatwienie zaś tej drobnostki w Naukowie pomiędzy dwunastą

czterdzieści pięć a trzynastą -rozkłada ręce - tojuż panowie sami rozumieją.

Gdybym nawet trzymał tużprzedbramą wyścigowy wóz, gotowy do natychmiastowej

jazdy.

Wyjmujewreszcie z paczki Zielińskiego filtra, nie kwapi się jednak z włożeniem do ust.

Nito ugniata, ni to gładzi.

Głód nikotyny taksilny w czasie pierwszych przesłuchańz jakiegoś powodu wyraźnie osłabł.

Milczenie nabieraposmaku ponuractwa.

Zieliński, któremu się wydawało, że chce tyle powiedzieć, nagle stwierdza, że właściwie niema nic do powiedzenia.

Jedynym człowiekiem, zachowującym pogodę ducha, jest właśnie Roleński.

Zieliński nachyla sięnad protokołem.

Wpisuje pierwszeod tyłudni słowo.

I słowoto brzmi: "nie".

„Ja nie przyznaję się do winy tego, że.

" Całą koncepcję wzięli diabli.

Bez reszty.

A ten człowiek.

Nagle marszczy groźnie brwi.

Ma mu to przejść bezkarnie?

- "Kto fałszywie oskarża sam siebie.

"- zaczyna cytować.

Ale Roleński potraktował to z przymrużeniem oczu.

- Znamy, znamy.

Występek z artykułu stoczterdzieścisześć kodeksu karnego.

Kiedy to, przed kimi o co miałem się, według pana, fałszywie oskarżyć?

- O zamordowanie Steinera.

- Nowie pan, to dla mnie prawdziwa rewelacja.

Ale jakoś sobie nie przypominam podobnego faktu.

205.

- Powiedział pan w momencie aresztowania: Ja przyznaję się.

".

- Ach, to - macha lekceważąco ręką.

- Przecież moje słowa nie miały nic wspólnego z zarzutem morderstwa.

- Tylko z czym?

-Z biletem.

Przyznałem się do omyłki co do biletu.

W pierwszej chwili byłem pewny, że to jest tenz Aninado Warszawy.

Bo przecież i taki przechowywałem w tym samym koszyku.

- Ciekawy schowek.

-Prawda?

Ale nie o schowek przecież teraz chodzi.

Powiada pan: "przyznanie się do morderstwa".

Tylko że o morderstwie w tym momencie w ogóle nie było mowy.

Ani pan o morderstwo nie pytał, ani ja w przedmiocie morderstwa nie odpowiadałem.

- W tej sprawie wszystko i zawsze jest na temat morderstwa.

-Ach tak.

domyślny temat.

Proszę mi wybaczyć, ale to już jest.

Zresztą mniejsza.

W celu uniknięcia nieporozumień pozwolę sobie odtworzyć przebieg tamtej rozmowy.

Gdy pan powtórzył informacje otrzymane z MPA, powiedziałem: "Omyłka".

- Krzyknął pan - prostuje zjadliwie Zieliński.

- Niech będzie, że krzyknąłem.

Wtedy pan: "Czy ja omyłka, panie Roleński".

I to tonem.

Cóż, chyba pansam pamięta.

No więc: moja omyłka.

Ująłem to w formę:

Ja przyznaję się".

Gdzież tu miejsce najakieś niejasności?

Zieliński postukuje lekko długopisem o blankiet.

Rzecz jasna - łże w żywe oczy.

I cóż z tego?

Wyślizgnął się.

Nie było zarzutu, słowo "morderstwo" nie zostało użyte.

Nicmu się nie robi.

Te wszystkie jego łamańce, bo w prawdziwość alibi nie było już co wątpić, pozostaną bezkarne.

Pobytu w areszcie żadną miarą nie można byłouważać za karę.

Siedział, bo chciał i przez taki czas, na jaki miał

206

ochotę.

Zrobił wszystko, co leżało w jego mocy, by skierować na siebie podejrzenie.

W jakim celu?

Czy rzeczywiście wyłącznie dla specyficznych emocji, mających pobudzić jego twórcze inwencje?

Zieliński jakoś nie bardzo w to wierzył.

Wizerunek wdowy Steiner na tle tej sprawy wypadł niedobrze.

Fakty świadczyły przeciw niej.

Groźby, że go zabije.

Gdyby go trafiła tym wazonem, o którym mówiła Siennik.

Motyw.

Och, jej motyw należał do gatunku najpoważniejszych.

Choćby tylko obawa, że okilkanaście lat młodsza kochanka odbierze go wraz z jego bajecznymi dochodami.

Jako wdowa dziedziczyła przynajmniej dotychczas zebrany przez niego majątek, a musiało być tego bardzo dużo.

Widziano ją, jak podjechała samochodem w bezpośrednie sąsiedztwo Naukowa.

Sama przyznaje, że doszła do jego bramy.

A dokąd dotarła w rzeczywistości?

Materiału z górą mogło starczyć na zastosowanie środka zapobiegawczego, na sporządzenie aktu oskarżenia, na proces poszlakowy, na wszystko.

Jeżeli Roleński, kierując podejrzenia na samego siebie, pragnął ją w ten sposób odciążyć?

To on ją rzuciła.

Być może kochał ją jeszcze.

Ale w takim razie z jakiego powodu miałaby zrezygnować?

Czyżby decydującą rolę w tym względzie odegrały zeznania Metelak, Góry i dozorczy, przerzucające główny ciężar podejrzeń na chwilowo nieuchwytną Petri?

Jeżeli Roleński dowiedział się w jakiś sposób o treści tych zeznań, a wie, że Metelak nigdy już nie powróciła do Nowogrodzka, na przykład wyjechała gdzieś na stałe zagranicę.

Przecież mogłoby być własnie tak.

To już nie trwało długo.

Właściwie było o czym mówić.

Ukłon złożony na pożegnanie przez Roleńskiego jest bez zarzutu.

- Mam nadzieję, że zdążycie panowie sprawdzić to jeszcze dzisiaj.

Pirek przeciąga się soczyście.

207.

- Przesłuchanie, przesłuchanie i już po przesłuchaniu.

-Wszyscy zadowoleni, wszyscy sięśmieją.

- Barcik niejest w najlepszym humorze.

- Jeżeli o mnie chodzi, to ja więcej do środka.

-Zieliński niemoże usiedzieć.

- Koniecznie dzisiaj.

On'wczoraj nie, przedwczoraj nie, amy musimy.

- A my musimy.

Ekche, ekche, ekche.

- Barcik pokasłuje starczym dyszkantem.

-Ech, wy, grzechy naszeserdeczne.

Na dobrą sprawę ile czasu zajmie?

Godzinę?

- I dziś jeszcze!

- Głos Pirka nabiera kaznodziejskiegobrzmienia.

-Weźmie kursna horyzont, a my zostaniemyrufą do wiatru.

- Naukowo godzina dwunasta - Lalewicz wylądowałwgabinecie jako skoncentrowany ładunek sensacji - ktośwchodzi na piętro.

Dziubie leci za dyskrecjępięć stów.

- Dawajcie ktosia, kapitanie.

- Zieliński nabiera życia.

- Zielona droga dla nowych osób numer jeden.

Lalewicz kiwa smętnie głową.

- Chwilowo drogi nasze się rozeszły.

Helena Trąbaprzestała być osiągalna w momencie, gdy zapragnąłem ją ujrzeć.

Są kompletnie zaskoczeni.

Nazwisko niekojarzy się z adnemu z konkretnym człowiekiem.

Nie wiedzą jak się ustosunkować.

- Żona dozorca?

- Pirek nie znosi błakania się we mgle.

- Tak.

- Piknie- Barcik podrzuca gumkę- ale co to daje?

- Hm..

Wizyta starszej pani?

- bąkanie pewnie Zieliński.

- Nie tak bardzo starszej.

Odejmijcie dwadzieścia dwa lata od wieku Ignacego Trąby.

Helena?

Phi.

Dla mnie istota nieznana.

Niezastanawiałem się, czy Trąba ma ogóle żonę.

Dziuba mówi: "Zupełnie jego córka".

Wiele

208

to o nich niewie.

Sierżant Sobik przyjaźni się z Trąbą od lat.

No więc małżeństwo powojenne.

Przed ślubem Helen miała duże powodzenie.

- Jak to się czyta?

- interesuje się Pirek.

- Tak, jak napisane.

Sobik na pewno nie szyfrował.

- W takim razie możliwość jakichś poprzednich kontaktów?

- zastanawia się Zieliński.

- Bo to raz zdarza się, że rozwiązanie wyskakuje nistąd, ni zowąd w jakiejś najmniej oczekiwanej formie.

- Och, to już z urzędu.

W jaki sposób można wykluczyć taką możliwość?

- I rozplynęła się w kosmosie.

- Zieliński nie potrafi wyciszyć żalu.

- Rozplynęła się - potwierdza Lalewicz - a wy myślicie:

Lalewicz zbańczył?

- Nie - zaprzecza kategorycznie Zieliński.

-A ja myślę:

może Lalewicz zbańczył.

Aleczóż, my wciąż po linii zasadniczej.

Jeżeli zaśchodzą konkrety.

- Fakt - wtóruje Barcik - konkretami się tu nie przekarmia.

-Ja tam z szarżami nie zadzieram.

- Pirek po obmacaniu paru papierosów w paczce Barcika sięga do paczki,której Zieliński jeszcze nie zdążył schować.

-Ja sięszarżom podlizuję.

Alenadprodukcji konkretów w konkretnymkontekście nie stwierdzasz.

-I zakrakali - śmieje się Lalewicz.

Nie jest tonajweselszy śmiech w jego skali.

- Uwaga:konkrety.

Godzina dwunasta: telefon Hrynowskiej.

Dziuba chce złożyć zeznanie.

Tylko na wynos i siedem pieczęci.

Chyba ze trzykilometrypognała na spotkanie radiowozu.

Brudna jak zawsze!

Załamanie przekracza kulminację.

Powód: aresztowanie Komosy.

Zieliński przechyla się przez szerokość biurka.

- Ładny kwiat.

Komosę też aresztowaliście?

209.

-Tylko nie: "aresztowaliście" i tylko nie: "też".

Wypadek drogowy, dzieci w szpitalu, prokurator uważał, że mus.

A Dziuba nie uwierzy.

Dla niej sprawa Steinera.

Jest około dwunastej - powiada - pan Trąba dzieli mięso w kuchni, przez tylne drzwi wchodzi pani Helena.

Na mój widok kładzie palec na ustach, ale nie zatrzymuje się.

"

- Więc Dziuba była w hallu?

- Wyjrzała z kuchni.

No więc nie widziała, jak Helena wchodzi na schody.

Ale również słyszała, by weszła do jadalni czy saloniku.

Z głównego wejścia Helena nigdy nie korzysta.

Dziubie w tamten piątek jakoś nie skojarzyło się.

Za bardzo była roztrzęsiona.

Na trzeci dzień Helena kładzie jej dwie setki w garść, trzy obiecuje dorzucić pierwszego.

Rzeczywiście wywiązała się, bo ona kiedyś już była świadkiem i ma dosyć do końca życia.

Zaraz pchnąłem kilku oblatanych, drogi się zarygłowało, ale gdzie tam.

Po Helenie, która miała dziś niewychodzić, ani popiołu.

Mąż nie wie, w kuchni nie, Hrynowska nie.

- Helena Trąba.

- Pirekwsłuchuje sięw dźwięk słów.

- Trudno powiedzieć, żeby to nie brzmiało.

Cóż, naturanie znosi próżni.

- O! - Lalewiczpodnosi głowę.

- Roleński odwołał?

Zieliński podsuwa protokół zeznań.

- A co tubyło do odwoływania?

Przyznanie dotyczyłobiletu.

Steinerowa była już w drodze, Zieliński wyraził się natematkomunikacji pomiędzyaresztantami w ścisłej izolacji.

"Ciekaw jestemtylko, czy zna każde słowo, którepowiedział rano Roleński.

"

Dziuba dnia dzisiejszegostanowiła żalosnąruinęDziuby z dni poprzednich.

Wprost dygoce przy każdympytaniu.

"Przecież ja nie dlatego, że te pieniądze.

Ale jaknie powiedziałam od razupierwszego dnia, to potem był

210

już strach.

Pieniądze wzięłam, owszem.

Jak nie brać, kiedy dają?

I pani Helenie byłoby przykro.

"

Wtedy, gdy kładła palec na ustach, nie miała przestraszonej miny.

Tylko, no.

czyja wiem.

Jakbychodziło o jakiś sekret przed mężem, ale nie żeby specjalnie ważny.

Nie, ja za nią do sieni nie wyszłam, ale słyszałam jak schody zatrzeszczały.

Mogę przysięgać, że słyszałam.

Gdyby pani Helena potem nie przyszła, wcale bym sobie nie przypomniała.

Całkiem mi z głowy wyleciało.

- Nie ona niesza wtedy na palcach.

Szła normalnie.

Ani szybciej niż zwykle, ani wolniej.

Niosła paczkę wszarym papierze.

- W wymiarach zakreślonych ruchem rąk Dziuby zmieściłyby się swobodnie wszystkie rekwizyty morderstwa.

- Dzisiaj zapowiedziała, że ani nawet nogą do domu.

Było to akurat na pięć minut przed moim wyjściem do radiowozu.

Wyszłamnie przez bramę, tylko tamwjednym miejscusiatka rozpruta.

Jeśli więcpani Helenawidziała, musiała chyba specjalnie wypatrywać.

- Sekret, ale nie specjalnie ważny - mówi potem Pirek.

-No, bo co właściwie ważnego?

Jedno małe morderstwow samo południe.

Paczka w szarym papierze - strzela palcami - to by odpowiadało.

Tylko gdzie teraz, cholera, możebyć?

- Paczka?

- mruży oczy Barcik.

- Osoba.

Zieliński odbiera telefon.

- Mogę wam służyć.

Osobaw biurze przepustek.

- Helena Trąba?

- Lalewicz zaczyna się już w tymwszystkim gubić.

- Helena Trąba.

A Dziuba sobie poszła.

- Sam siękiedyśw takie coś bawiłem - Barcik ignorując prawa fizyki, usiłuje postawić ołówek pod kątemdoblatu biurka.

- "Czy tu jest komórka dowynajęcia?"

"

Telefonnowu dzwoni.

Zieliński kiwa głową.

211.

Wszystko według rozkazu, przywieziono Steinerową.

Steinerowa uznaje za stosowne usprawiedliwić się.

Przykro jej, że się uniosła, ale w gniewie jest wprost niepoczytalna.

Gotowaby "zamordować".

"Aż zamordować?"

"- dziwi się Zieliński.

Potwierdza.

Cóż, gdy się rzuca w człowieka ciężkim kryształem.

Z tymi kryształamiściska prawda.

I w Roleriskiego ciskała, i w Steinera.

Nieraz w czasie awantur ogarniała ją chęć zaciśnięcia palcami grdyki człowieka, który ją rozgniewał.

Wyciskałaby życie tak boleśnie, by tamten poczuł, że umiera.

Sz szczególnie Steinerowi obiecywała często, że go udusi.

Może by w końcu naprawdę do tego doszło.

Miałaby doprowadzania jej do furii.

Nie doszło jednak.

Nie miało być wspólnego z jego śmiercią.

Dziwne, być może nawet naturalne, bo jeśli już zginął, powinien zginąć z jej ręki.

Wiedziała, że w tamten piątek Steiner miał przyjechać do Naukowa odziewiątej.

Miał zwyczaj przestrzegania pedantycznej punktualności nawet w wypadkach, gdy nie była nikomu potrzebna.

Wzięła wóz po ósmej.

To, oczywiście, nie miało żadnego sensu.

Okolo dziewiątej wyjechała z lasudzielącego szosę od Naukowa.

Zaparkowała wóz na skraju.

Pieszodotarła do narożnika ogrodzenia.

Nie wie, ile czasu stała wpatrzona w bramę.

Nie wie, po co się w nią wpatrywała.

Może chciała sprawdzić, czy Steiner przyjedzie sam.

Nie widziała go.

Nie widziała w ogóle żadnego samochodu.

"Nie pierwszy raz stałam tak przed bramą, nie mając odwagi przekroczenia jej progu.

" Powiedziała totak jakoś beznadziejnie.

Potem wrócił do wozu.

Nie, nikt jej nie widział, ale tonie ma znaczenia.

Naprawdę ma znaczenia.

Nie zdajes o biesprawy, czy od razu ruszyła, czy też jeszcze siedziała przy kierownicy, nie uruchamiając startera.

Potem długo błąkała się poróżnych szosach idrogach, wybierając przeważnie te, na których można rozwinąć naj-

212

większą szybkość.

Jasne, że były to drogimało uczęszczane, przeważnie boczne.

Nie zdaje sobie sprawy, jak długotak jeździła, szukając w pędzie ucieczki przed.

- zacisnęła wargi, mocując się ze słowem, które - jak widocznie uważała - nie powinno spłynąć na wargi.

No, machnęła ręką, krótko mówiąc, jeździła.

Tu również nie posiada dowodów.

Niemoże ich posiadać, boskąd?

Rzecz zresztą bez znaczenia, gdyż czas od godziny jedenastej z jakimiś małymi minutami, o ile się nie myli, w każdym razie mniej niż kwadrans, aż do osiemnastej również z minutami spędziła z panem Andrzejem Tonarskim w jego mieszkaniu, a raczej w jego sublokatorskim pokoju.

Pan Andrzej Tonarski jest jej kochankiem.

Niech ełpi się tym, bo niewidzi powodów do specjalnej dumy, skoro jednak ma stwierdzać fakty.

Nie, pan Andrzej Tonarski nie należy do ludzi zasługujących na zaufanie.

Na pewno zezna, o ile onamu tak każe, nie bawiąc się w żadne dyskrecje, ale jeżeli jego zeznania miałyby być jedyne, potwierdzające jej alibi, zarówno milicja, jaki sąd, odniosłyby się do tego alibi niezmiernie

sceptycznie.

Cóż: prawda jest tylko prawdą.

A więc jeden z żigolaków, o których wspominał jej zmarły mąż w obecności pokojówki Siennik.

W jej nieobecności czynił to zresztą znacznie częściej.

Tak, jeden z takich, którzy kochają za pieniądze, jateż kochał za pieniądze.

Na szczęście o jej bytności u niego w domu 10 maja, właśnie w tych godzinach, wie znacznie więcej osób.

A więc główna lokatorka Sołeczka, od której Tonarski wynajmował pokój.

A więc dozorcę tego domu Delski.

Otrzymała od niej nieskądą pamiątkę, to i pamięta.

Pracownica domowa Sołeczki, niejaka Gruszka.

Powód jak wyżej, poza tym kocha się w Tonarskim i jest o niego zazdrosna.

Oprócz tego współlokator Sieben.

Był tego dnia chory i nie poszedł do pracy.

Jeszcze znalazłoby się parę osób.

Nie robiła z tego żadnej tajemnicy.

Skąd mogła przeczuć, że Erni.

że wtedy, gdy ona z żigolakami.

213.

Przygryzła wargi.

Gdy otarła je wiotkim płatkim jedwabnej chusteczki, pojawiły się na niej świeże plamy krwi.

Zresztą mniejsza.

Co do jej alibi nie może wyniknąć żadna kwestia.

Znajdzie się więcej świadków, niż milicjacy sąd mieliby ochotę przesłuchać.

O ile więc pan kapitan nie uzna za konieczne wyciągnięcie konsekwencji z jej nieodpowiedzialnego zachowania wobec niego, może pozwolono by jej spędzić już dzisiejszą noc we własnym łóżku.

Ona bynajmniej nie twierdzi, że w celi są insekty.

Nie, może po prostu włoś z materaca.

Jednak jeżeli chodzi o stan psychiczny.

No, cóż.

Przestała wytrzymywać tęcałą atmosferę.

- No więc dwa etaty numerów jeden wakat - Zieliński wkłada gęsto zapisany blankiet do obwoluty zmaltretowanej przez Pawłowskiego.

- Eksmałżonkowie Roleńscy:

gremialna wysiadka.

Swoją drogą ciekaw jestem, czy Steinerowa wypociła to wszystko z własnego mózgu.

Pirek kręci młynka palcami.

- Z własnego, nie z własnego.

Z własnego.

- Dla mnie nie bardzo - oświadcza Barcik - koncepcja prawnika, inwencja specja od kryminalistów.

-Dobre - Zieliński gładzi stargany karton.

- On w ścisłej izolacji, ona w ścisłej izolacji.

Lalewicz masuje powieki.

- Przez cały czas widziałem tylko jej paznokcie.

Ten model powinien być milicyjnie zakazany.

Albo niech wydają maski ochronne w ramach BHP.

Po licha pocić się ze strachu o własne oczy?

Choć dzisiaj ona taka więcej, można powiedzieć, aksamitna.

- Z aksamitem też już miewaliśmy zaszczyt.

Nie cieszy.

- Pirek zastanawia się, co dalej.

Sensacja: Helena Trąba raczej spali na panewce.

Ucieczka z Naukowa w po214

łączeniu z zeznaniami Dziuby to było coś.

Ale przecieżnie wtedy, gdy celem tej ucieczki jest Komenda Główna Milicji.

Poszukiwania Hrynowskiej z parteru utknęły w impasie.

Petri kupowała trixi, mogła mieć motyw, niewiadomo, co robiła w krytycznym czasie.

"Wykończę, jak Bógna niebie.

" Tak, ale gdzie ta Petri jest?

Jedynie Sobczanski był uchwytny "Płacę zawiązką.

" "Zabijałem bez sekundantów.

"Minuty, w ciągu których mógłby swobodnie zrealizować scenariusz morderstwa.

Jednak akt oskarżenia oparty na tych podstawach.

Pirka, na przykład, polecenie w tym względzie wcale by nie uszczęśliwiło.

- Była już aksamitna - potwierdza Barcik - izraćca, i wybuchowa.

Kameleon przy niej absolutnie bez szans.

Lalewicz kontempluje fotografię Steinera.

- O wiele lepszy od tego, z którym ja miałem okazję, to on nie był.

A babka.

Cholera, żeby to kto potrafił wytłumaczyć.

-Ja potrafię.

- Zieliński zagląda do paczki, ile papierosów.

- Za pierwszym razem głowę bym dał, że tylko o forszę.

Babka, co tu dużo gadać, szalowa, gdzie jemu tam doniej.

Już nawet niesatyr, to by za wysoka ranga.

Próchno, psiakrew.

Więc wydawało się: co może ją ciągnąć innego?

A teraz widzę: nie forsa.

- Miłośnicie z tej ziemi - Pirek ujmuję podbródek w dwa palce i szarpie, jakby go zamierzał oderwać.

- Właziw tę gnojówkę, w błoto, żeby tylko jego zabolalo.

Aongwiżdże.

Tu wszystko szło nietypowo.

Owszem, Ignacy Trąbka był modelem starego dozorca.

Ale co ta kobieta mogła mieć wspólnego z Ignacym Trąbką?

Włosy na popielato, lat trzydzieści parę, całość wcale, wcale.

To, co miała na

215.

sobie, nie pochodziło na pewno z pierwszorzędnymi pracownikami, za to od razu widać: moda bieżącego dnia.

Siedzi swobodnie, nogami nogami, ani śladu zmieszania.

- Matematyczny pewnik -jakby rozpoczynała wykład- Dziuba puchnie ze strachu, wiadomość o aresztowaniu Komosa załamuje ją do reszty.

Od razu wiadomo, że powie omnie.

Ale taksamo wiedziałam, że nie uczyni tego na terenie Domu.

- Skąd pani wiedziała?

- pyta Zieliński.

- Wystarczyło poznać rodzaj jej mentalności.

Nie wydusiłaby z siebie słowa, wiedząc, że znajduję się gdzieś w pobliżu.

Ponieważ sprawę prowadzi Komenda Główna, nietrudno było przewidzieć, że Dziuba w ostatecznym rezultacie wyląduje właśnie tutaj.

Przecieżnie omyliłam się?

Logicznie - myśli z uznaniem Zieliński - mogłaby babka prowadzić śledztwo.

W końcu Pirek niewytrzymał nerwowo.

-Jakie pani ma właściwie wykształcenie?

- Średnie.

- Ale odpowiedź poprzedza krótka chwila wahania.

- Hm.

Średnie - wycieniowuje niewiarę.

- Średnie.

Jakież znaczenie mają wyższe studia, skoro nie zostałyukończone?

Rzeczywiście: jakie znaczenie?

I jakie znaczeniema tajemniczy powód, który skojarzył to małżeństwo?

Niezależnie od wszystkiego tu było miejsce do wielu pytań.

Brakło tylko tymczasem powodu, byje zadać.

- Więc nie chciała pani, aby jej mążdowiedział sięowizycie u Steinera?

- znowu pyta Zieliński.

- W pokoju numer dziewięć.

O Steinerze wtedy w ogóle nie było jeszcze mowy.

Nie zdawałam sobie sprawyzjegoistnienia.

Szłam do Roleńskiego.

Nie wiedziałam, że wyjechał.

W każdym razie poprzedniego dnia po południu,gdy z nim rozmawiałam, nie wybierał się nigdzie.

Miał po216

zostać w Naukowie do końca miesiąca.

Chodziło o sprzedanie mecenasowi listów, które znalazłam na strychudozorcówki.

Sądząc zdaniem, pozostawiła je żona volksdeutcha, który był tu dozorcą w czasie okupacji.

Było w nich dużo o miłości, ale jednocześnie coś, co przypominało wątek kryminalny.

Jakaś grubsza afera z antykami pochodzącymi z getta.

Dotyczyła wujka tej osoby i jeszcze paru ciemnych typów.

Pan Roleński chciał wykorzystać materiał dla swojej powieści.

Proponował tysiąc złotych.

Gdyby mąż dowiedział się o sfinalizowaniu transakcji, musiałabym oddać pieniądze na potrzeby domowe.

Masę kosztuje nasz ogródek, mąż stale pragnie w nim wprowadzać coraz to nowe ulepszenia.

Dla kobiety, nie posiadającej własnych dochodów, zdobycie ekstrasy tysiąca złotych, o których mąż nic nie wie, stanowi łakomą gratkę.

Dlatego prosiłam Genię.

Genowefę Dziubę o dyskrecję.

Sądziłam zresztą, że cała rzecz zakończy się paczką cukierków.

Tragiczna śmierć profesora Steinera skomplikowała sytuację.

- Znała pani Steinera?

- Nie.

Nigdy o nim nie słyszałam.

- Nie rozumiem więc, na czym mogła polegać komplikacja.

Podczas gdy ofiarowanie Dziubie pieniędzy zamilczenie.

- Pieniądze dałam jej, aby sobie kupiła prezent w związku z nadchodzącymi imieninami.

O dyskrecję zaś prosiłam ją jedynie do czasu, gdy sama wszystko panom wyjaśnię.

Wpłatanie mnie do sprawy groziło zwichnięciem dalszej naszej egzystencji.

- Ma pani na myśl posadę męża?

- Tak.

Pani kierowniczką jest niezmiernie wrażliwa na wszystko, co mogłoby rzucić cień na sylwetkę moralną członków personelu.

- Hm.

- odchrząkuje z namysłem Zieliński.

- Wyjawienie czegoś, co dotyczy pani przeszłości?

217.

- Wyrok karny.

Sześć miesięcy za manko.

Już sam wymiarkary świadczy, że sprawa błaha.

Alemusiałam odsiedzieć.

Brakuje jeszcze kilkunastu miesięcy, aby wykreślić rejestru.

Za wszelką cenę próbowałam uniknąć, by zostało ujawnione.

Ale teraz.

- Mytego w każdym razie nie podamy do wiadomości
uspakaja Zieliński.

Proszę opowiedzieć dokładnie, co się działo od momentu zauważenia
panią przez Dziubę.

-Ona wycofała się, ja weszłam po schodach.

- W jaki sposób uniknęła panitrzeszczenia stopni?

-Trzeszczały.

Nie zależało mi na tym.

Niemiałam przecież potrzeby ukrywania się ani przed panią
kierowniczką, ani przed panem Komosą.

Gdy w odpowiedzi na moje pukanie ktoś się odezwał w spokoju, nie
zorientowałam się, że to nie jest głos mecenasa.

Drzwiotwierają się.

To było jednak duże zaskoczenie.

Nie wiedziałam, co myśleć.

Zapytałam, gdzie się podział Roleński.

"Roleński?"

"

- powtórzył obcy pan z bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

"To on mieszkał przedtem w tym pokoju?"

"Sprawa się wyjaśniła, przeprosiłam i odeszłam.

- Zamknęła drzwi na klucz?

Zastanowiła się.

- Chyba nie.

Gdy przyszłam, to były zamknięte, słyszałam, jak dwukrotnie przekręcał klucz w zamku.

Ale później .

Nie, nie przypominam sobie, żeby zamykał.

- Steiner był sam?

- W pokoju z całą pewnością.

Ale co na balkonie, tego, stojąc przed progiem, nie widać.

- Czuliście zapach jakichś chemikaliów?

- Chemikaliów nie, tylko wodę kolońską.

- Jak był ubrany?

- Pidżama w drobne, niebieskie paski.

Jedwab, popelina czy coś w tym rodzaju.

Na nogach miękkie ciapki.

- Umywalnia była otwarta?

218

-Tak.

- A drzwi balkonowe i okno?

-Również.

- W takim razie powstał przeciąg?

-Nie byłoprzeciągu.

Po wejściu do przedpokoju, zamknęłam drzwi na korytarz.

- Wjaki sposóbniosła pani te listy?

W torebce?

- Nie miałam z sobą torebki.

Byłyzawinięte w szary papier i przewiązane sznurkiem

- Czy sądzi pani, że stukanie obudziło Steinera?

-Nie wiem, czy spał.

Jeżeli tak, musiał mieć bardzolekki sen.

Odezwał sięnatychmiast,gdy tylko zapukałam.

Ale na pewno wstał z łóżka.

Tobyło po nim widać.

- Orientuje się pani, która była wtedy godzina?

-Wracając, spojrzałam na zegar w hallu.

Było dziesięć

po dwunastej.

Nie było co dalej pytać.

Do czasu wyjścia na jaw jakichś nowych okoliczności problem Heleny Trąby w tej sprawie przestał istnieć.

Petri została zatrzymana na Marszałkowskiej.

Doprowadzono ją na komendę.

Ze wszystkimi szykanami.

Potem okazało się, że nie było powodu.

Wróciła z Sopotu poprzedniego dnia.

Taksówką, z bagażami, w sposób jak najbardziej jawny.

Do własnego mieszkania na Nowogrodzkiej.

Tylko funkcjonariusz, który miał zleconą obserwację, prosto przegapił.

Zdarza się.

Ludzkarzecz.

Zresztą Petrinie miała specjalnych pretensji.

"Cóż.

w takiej sprawie.

"

Drobna, zdawałoby się, krucha figurka z saskiej porcelany.

Rysy delikatne, makijaż stonowany, ledwo dostrzegalny.

Całautrzymana wpastelowych półtonach.

Głos wyciszony, przez cały czas na tłumiku, jakby nieśmiały, choć to, co mówi, wcale nie jest nieśmiałe.

219.

Czyżby punkt znaczący przeciwległy kraniec rozległej skali upodobań starszego pana?

Ale wmiarę trwania rozmowy rośniewątpliwość, czy ta krańcowość nie ograniczała się wyłącznie do cech zewnętrznych.

Petri nie uznaje potrzeby retuszu.

Nie ma żadnego cieniowania.

Stwierdzenia są kontrastowo jednoznaczne.

- Tak, łączyły mnie bliższe stosunki z profesorem Ernestem Steinerem.

Był moim kochankiem.

Co pewien czas przebywał poparę dni w moim mieszkaniu.

Gdyby to zależało ode mnie, byłibyśmy ze sobą stale.

Ale on.

on...

- wciska dłonie pomiędzy kolana.

Filigranowy model sprzed pierwszej wojny światowej, może nawet raczejz ubiegłego stulecia on.

powtarza po raz trzeci, łykając ślinę - nie znosił awantur.

Wpędzały go w panikę.

Ta niepoczytalna kobieta awanturowała się bez przerwy.

Gdy wpadała w furję, przestawała się liczyć z czymkolwiek, w ogóle

niezdawała sobie chybasprawy z tego, coczyni.

Atakowała Erne.

profesorawszystkim,co znalazłosię pod ręką.

Ciężkie popielniczki o dziesiątkach ostrzyszlifu.

Wazonny.

Mogła go zranić, okaleczyć, nawet zabić.

Nie był człowiekiem zupełnie zdrowym.

Po takimprzejściu.

- palce splatają się ciasno.

-Widziałam przecież,co się z nim działo.

Kiedyś zatelefonowałamdo niej.

Błagałam, żeby mu zwróciła wolność.

Odpowiedziała krzykiem i obelgami.

Groziła, że mnie zamorduje.

To ja.

Janaprawdę się bałam.

Wciąż sobie powtarzałam: muszę doniej iść, muszę to załatwić.

Cóż.

nie zdobyłam się.

Tak,kupowałamtrixi.

On był już ubrany do drogi, kiedy chlapnąłoliwę na spodnie.

Jadł akurat sałatę.

Bardzo się rozzłościła tę plamę.

"A ja i tak w tych spodniach będę chodzić do wieczora.

Postanowiłem i żadna siła.

dawaj trixi.

"Ale jak mu podałam, wyrzucił do śmieci, że zwietrzałe i nic niewarte.

"No to będę chodził z taplamą.

Dużo mi zależy.

"Potrafił być okropnie uparty.

220

Przypomniałam sobie, że w sąsiedniej mydlarni pracownicy co piątek przychodzą z samegorana.

Gdy przyniosłam trixi, oświadczył, że plamę oczyści w Naukowie.

Podpłaszczem i tak nie będzie widać.

Lubił własnoręcznie czyścić plamy czy coś przybić.

Takie różne robótki, to mu dawało odprężenie.

"Relaks" - słowo zabrzmiało w jej ustach anachronizmem

Nie wiem, czy w domu też te rzeczy robił.

Zresztą jego prawdziwy dom był właśnie u mnie.

Tamto mieszkanie, gdzie rządziła się taksychoopatka.

- odyma usta.

Tak, wyszłam z domu w jakie pół godziny po jego odjeździe.
Byłam niespokojna, czy nie zasłabł gdzieś po drodze.
W chwili gdyśmy się rozstawali, nie czuł się zbyt dobrze.
Przez telefon.
Przez telefon nie.
Nie.
To było beznadziejne.
Przez telefon nie dowiedziałam się nic.
Nieznosił rozmów na temat własnego zdrowia.
Poza tym.
tak..
No cóż.
Myślałam sobie: rozejrzę się, czy tam niema jakiejś kobiety, z którą się umówił.
Albo po prostytutak.
Kobiety, która go mogła zainteresować.
Która mogłaby mi go odebrać.
Nonsens, ja wiem, że nonsens, ale to nie tak łatwo sobie wytłumaczyć.
, Nie zastanawiałam się.
Gdy człowiek działa pod nakazem chwili.

- to zabrzmiało jakby żywcem wyjęte ze staroświeckiego romansu.

Tak kropni się bałam, żeby go nie utracić.

Zawsze się bałam.

Wsiadłam do autobusu dziesiąta piętnaście.

Tak, domiejskiego.

Tego, co odjeżdża z Wiatracznej.

Ale już w Aninie.

Tak, już w Aninie cała ta wyprawa dobiegła

kresu.

- Na chwilę przed odjazdem Steiner zagroziła mu pani, że go zabije - strzelała Zienacka Zieliński.

Ma już dość tej miłosnej opowieści dla podlotków z minionej epoki.

Przez cały czas widzi twarz Steinera z fotografii.

Pieniądzetak, ale po licha komu te sentymentalne bzdury?

221.

-Ja? - Oczy jej stają się wielkie i świetliste.

- To przecież.

Nie.

To nieprawda.

Nigdy mu nie groziłam.

Jakżeby.

On wiedział, że nie byłam w stanie przeciw niemu nic.

Choćby mnie sponiewierał.

Choćby mnie.

- brak jej tchu.

Cholera- myśli Zieliński.

Cholera.

Petri potrząsa głową.

- Nie, ja Ernestowi.

Nie.

Zieliński zagląda do akt.

- Świadek Góra zeznał: "Petri powiedziała do Steinera:

Ja ciebie wykończę.

Jak Bóg na niebie.

Niepożyjesz sobie.

Przysięgam ci, że nie.

". No, więc przypominaj mi sobie?

Drobnatwarz spływa ciemnym rumieńcem.

-Ja..

Tak.

ale.

- rumieniec dopowiada resztę.

Myśli Zielińskiego znowu są pełne choler.

Coś podobnego, to już diabli wiedzą co.

I żeby taka.

No, w milicji zdążył się przyzwyczaić do niejednego.

Ale jeszcze rutyna niestrawiła wrażliwości.

- Tak.

-ciągnie dalej Petri.

Oczywlezione wczubki pantofli.

Chyba zresztą jeden z najmniejszych numerów.

Powiedziałam.

Powiedziałam towszystko.

I myślałam.

Ichciałam, żeby tak się stało.

Tylko że nie chodziło o jego życie.

Zieliński wie.

Nietrudno się domyślić, patrząc w tejchwili na nią.

Ale Barcikowisię jakoś nie kojarzy.

Podnosigłową, wzrok jego staje się twardy.

- Tylko o co?

Zielińskiledwopowstrzymuje się od wzruszeniaramionami.

On taki dziś zahamowany?

Petri splata i rozplata palce.

- On.

Cóż.

Jego interesowały innekobiety.

Jego zawsze interesowały kobiety.

Byłnienasycony.

Chciałam, żeby był.

Żeby niebył wstanie realizowaćtych zainteresowań.

222

Barcik szybko odwraca głowę.

Ale nie tak szybko, byZieliński nie zdążył dostrzec jego twarzy.

Dostał.

Ależ maminę.

Rany!

Za to już nie ma wątpliwości, co chciała powiedzieć ta rozkoszna panienska.

- Hm.

tak - Zieliński postukuje palcami w akta.

Sensacja nie jest żadną sensacją.

Pastelowa dziewczyna z starego portretu wykańcza kochankę jako mężczyznę, aby jej nie mógł zdradzać.

Żeby to wszyscy diabli.

- Jakiego dowodu stwierdzającego godzinę powrotu do Warszawy?

- pyta od niechcienia.

Ma tego już dosyć.

- Od dziesiątej czterdzieści pięć do czternastej trzydzieści pracowałam w laboratorium.

Moją obecność w tym czasie będziemy mogli potwierdzić dwudziestu kilkukolegów.

Zieliński zamyka z trzaskiem akta.

- Jest pani wolna.

- Na dwudziestu kilku nie ma mocnych konstatuje

Pirek.

- Tramwaj - Barcik splatające na karku - co chwilaktoś wsiada, co chwila wysiada.

Zdawałoby się kandydatka na miejsce mordercy, wszystko, co należy, ażanim zdążymy się z takim zapoznać: "Przepraszam, akurat mój

przystanek" i tyleśmy widzieli.

- Fakt - wzdycha Pirek.

- Co nam zostało z wyżu?

Hrynowska, tej której nie ma.

- I Sobczański, który wciąż jeszcze jest - dopowiada

Barcik.

- Ale nam słodkie ciziatkozakomplikowało.

- Zieliński pociera brew.

- Jak się z tym rozpakować?

- Ja się nie podejmuję.

- Barcik turla długopis.

- Szkoda łez.

- Zieliński przytyka palcami w obwolotę.

- Scenariusz tak diabli wzięli.

Morderca nie mógł przewidzieć, że Steiner przybędzie w zaplamionych spodniach,

223.

przywiezie trixi i będzie tę plamę na tych spodniach tym trixi w umywalni.

- Petri mogła - przypomina Pirek.

-Jeżeli nie wróciła przykład z Anina.

- Och, tak -potakuje Zieliński - ona nie potrzebowała nawet przewidywać.

Ona wiedziała.

No to powiedz, w jaki sposób przeskoczył dwudziestu i jeszcze iluśtam yesmanów?

Sam mówiłeś: nie ma mocnych.

A teraz chciałbyś.

- Nic nie chciałbym - broni się Pirek.

-Ja tylko przykładowo w kategorii "jeśli.

".

- Runda skończona - stwierdza uprzejmie Lalewicz -któraty już z rzędu?

Zwycięstwo dla gości.

A my znowu od pieca.

Zielińskiego jakby ktoś pilnikiem po obnażonych nerwach.

- Cóż.

przecież nie wróci - uśmiech fałszywą słodyczą przypomina lep na

muchy.

Tylko że Lalewicz nie ma ochoty na rolę muchy.

- Niech przeciągowi powietrze będzie lekkie.

On nie powróci już.

Roleński nie powróci.

Nie powrócą spadli z etatu aresztanci, ilu ich tam było.

Zieliński uśmiecha się nijako.

No i dostał.

Polichabyło zaczynać?

Wiadomo, że chłop z zębami.

- Powiedzmy ktoś działający w porozumieniu z Petri
- wysuwa Pirek.

- Przychodzi na wszystko gotowe.

- Cóż - wzrusza ramionami Barcik - jedyna możliwość pod
względem przygotowania technologii.

Tylko czym podeprzeć?

- Podeprzeć rzeczywiście nie ma czym - przyznaje Pirek.

- Jeżeli ktoś.

- zaczyna Zieliński.

- Powiedzmy Sobczanski - precyzuje Barcik.

- Powiedzmy.

No więc wchodzi.

Drzwi nie były za224

mknięte naklucz.

Steiner w umywalni.

Trixi podjeżdżana całą moc.

Jedyna, niepowtarzalna okazja.

Starczypchnąć nogą drzwi.

Zbieg okoliczności?

Owszem.

Ale czy nie zdarza się?

Barcik ma wątpliwości.

- Małoprawdopodobne, żeby Steinernie wyszedł z umywalni, zapraszając kogoś do pokoju.

-No więc ktoś nie pukał.

Nachama.

Nacisnął kłamekę, wchodzi.

Na przykład Sobczakańskiego to jakby widział.

- Ale jeżeli morderstwo nie zostało w ogóle przygotowane, po co przychodzi?

- Jakaś rozróbka w związku z poprzednim zajściem.

- W warunkach kameralnych?

- Ta koncepcja Lalewiczowi nie przemawia.

Steiner sponiewierał go publicznie, a on przychodzi, żeby się odegrać wcztery oczy?

Barcik przyłącza się.

- Mnie też nie gra.

- Może - zgadza się Zieliński - powiedzmy, chciał porozmawiać o prolongacie płatności długu.

- Ale w takim razie odpada zagadnienie premedytacji - stwierdza Pirek.

- Odpada - potakuje Lalewicz.

- A co tu właściwie odpada?

Szefowa przepasza.

- To, proszę pani kierowniczkę, taka sprawa.

- Zamyka drzwi kancelarii, otwiera je, wygląda do hallu, znowu zamyka.

- Bo tonie można, żeby czyje uszy.

Ręce Hrynowskiej zaciskają się na torebce.

Serce zaczyna męcząco gubić normalny rytm.

Od tamtego piątku wystarczy byle drobnostka.

Twarz szefowej jeszcze bardziej spocona i jeszcze bardziej lśniąca.

Jakby ją pokrywała gruba, nieporządnie nałożona warstwa ordynarnego lakieru.

225.

- O co chodzi?

- pyta Hrynowska.

- To już przekracza ludzkie pojęcie - ręce szefowej latają.

- Niech pani kierowniczką sama popatrzy - kładzie naburknął banknot pięćsetzłotowy.

- Magda u mnie rozmieniła.

I kto by pomyślał.

Hrynowska patrzy zafasowana.

Ostatnie pobory wypłaciła z bieżących wpływów.

Sporo osób dopłacało zaprzędluzone pobyty.

Gdzie tu teraz dojść, od kogo pochodzi pięćsetka?

Falszywa to falszywa.

Trudno.

Odpisana straty.

Oczywiście własne.

- Jest pani pewna, że falszywa?

- Falszywa?

- wytrzeszcza oczka.

- A czy ja mówię, że falszywa?

Także coś.

Phi!

Żeby to.

Steiner, pani kierowniczo macha w podnieceniu rękoma.

Steiner!

-Co Steiner?

- nie rozumie Hrynowska.

- Tu -krótco przycięty paznokieć celuje w margines banknotu.

- Czy pani kierowniczo nie widzi?

Hrynowska nachyla się nisko, mruży oczy.

Wciąż nie potrafi zdać sobie sprawy, o co właściwie chodzi.

-Jakby jakieś zadrapania?

- mówi niepewnie.

- Zadrapania - sapie ze zgrozą kucharka.

- O Boże!

Zadrapania!

- Podchodząc do okna, wygładza banknot na szybie.

-Niech pani kierowniczo pozwoli - wtyka jej doreki wielkie szkło powiększające w staroświeckiej oprawie.

- No, ale teraz chyba.

- wciąż wskazuje palcem.

Hrynowskiej aż oczy zasły łzami.

To jest coś w rodzaju wydrapanych liter.

Ależ tak.

Niewątpliwie litery.

Widzi je coraz wyraźniej.

"E.n.

st. St.

in.r".

Brakujące "e" i "r" też można odczytać, jeśli się wie, że tam mają być.

- Co to znaczy?

- patrzy bezradnie na kucharkę.

- Dlaczego on wydrapał swój podpis?

- I w tej samej chwili pojmuję, że pytanie o to kucharki pozbawione jest sensu.

- Skąd Magda?

- Jezus Maria - jęczy niecierpliwie.

- Że też pani kiedyś

rowniczka.

Przecież nie tylko podpis.

Niech pani przeczyta tu paznokiec przesuwając się ku górze marginesu.

- Wszystko.

Od samego początku.

A skąd Magda, to już ona sama będziemy miała powiedzieć.

Ludzi przecież noją kryminalne.

I gdyby mi nie wpadło, aby wziąć podświetło, bo tyle teraz podobno fałszywych.

- O łaskę.

wszystko w niej rozdygotane i płynne.

-Ja przecież do panów.

- znowu próbuje.

Konwojentma szybszy refleks.

Kładzie jej obie ręce na ramionach.

- Siedzieć, obywatelko, siedzieć.

- Teraz już wie, ani na chwilę nie wolno spuszczać z oczu.

Ona tylko czeka okazji, by zerwać się z krzesła i grzotnąć kolanami o podłogę.

Na samym początku przegapił i potem było cholernie głupio.

Zieliński patrzy z niesmakiem.

Zgrywa.

Jarmarcznazgrywa.

Chwilami jednak nie jest już taki pewny.

Przestrach wycierający z oczu jest autentyczny.

Tego niepotrafiłaby udąć.

- Jakdo rodzonych ojców.

- Magda składa dłonie.

-Cóż ja.

sierota nieszczęsna.

- Tylu rodzonych i sierota.

- Pirek masuje podbródek.

Bawi go cała tascena.

Co właściwie może mieć wspólnegoz prawdą?

- Czy podejrzana ma zamiar wreszcie odpowiedzieć?

-zżyma się Zieliński.

Ale jego głos brzmi rzeczowym chłodem.

- Święci pańscy.

Podejrzana - ciężkie łyzy spływają popoliczkach.

Ja bije siękułakiemw piersi.

Japodejrzana.

Gdyby mój ojciec to usłyszał.

Gdybymój ojciec.

On by mnie jak wściekłego psa.

-szarpie się,ale konwojent czuwa.

- Spokojnie, obywatelko - kiwa dobrodusznie głową.

-Tu trzeba spokojnie.

Tu przecież Komenda Główna.

227.

Barcik szybko odwraca twarz.

Dobry, Główna.

Na niższym szczeblu już nie trzeba.

- Tylko podpociąg - rozpacza- albo do studni.

-Dosyć!

- Dłoń Zielińskiego wali z trzaskiemo szklaną płytę biurka.

-Gadaćpo ludzku.

Czy podejrzana ukradła ten banknot?

Długopis Barcika podważa krawędź bakelitowego korytka do ołówków.

To nie jest ustawowy stan faktyczny i ten tryb nie jest przewidziany przez ustawę.

Ale w tym konkretnym wypadku, bodaj jedyny, który nadawał się do zastosowania.

Magda podskoczyła na krześle, potem zaczyna się cała kulić.

- Ukradłam?

- wciąż jeszcze próbuje odeprzeć słowa, którymi ją atakują, ale już cicho, bez szłochu i zawodzeń.

- Niby komu miałam?

Czy można ukraść nieboszczykowi?

No i wyduśliła wreszcie z siebie to najważniejsze.

- Skąd podejrzana wiedziała, że banknot należał do Steinera?

- A czyj mógł być?

Tuż zanim przyjechał, także sam oraz z Rózią sprzątałyśmy pokój, a pod łóżkiem wtedy też tylko ja sama.

Potem jak milicjanci odjechali, patrzę.

Rózia jak raz stała tyłem.

Przecież milicjant nie będzie rzucał pięćsetek.

A takiemu co.

opowiadają, że on sam nie wiedział, ile ma tego bogactwa.

Myśl mi tak przyszła, że jak ci z milicji nie znaleźli, choć wszędzie zawsze zagląдают, to znak dla mnie, że ja mogę te pieniądze dla siebie.

Lalewicz w tym momencie skupia całą uwagę na czymś, co było poza oknem.

Po jaką cholere mieli wytknąć pod łóżko na etapie przeciągu?

Ale na dobrą sprawę lepiej było jednak wetknąć.

Bo przecież przegapili dokument rozstrzygający całą sprawę.

228

"P.e-.

esi.t.

t.si.

cy 50 000" - zera rozbiegają się po całym marginesie, ale nie do tego stopnia, aby nie dało się ich zebrać w zrozumiałą całość - zł A.

.cliP.

tri".

Steinerowaniemalsinieje.

- Co?

- zrywa się.

-Żebym ja miała tej dziewczce.

-zaczyna wywrzaskiwać.

Zielińskinie bardzo przysłuchuje się.

Obrzydła mu.

Wtedy w mieszkaniu była gotowa zniszczyć go tylko dla wyładowania swej furii.

- My tu urzędujemy - przypominachłodno.

To ją gasisz miejsca.

Opada z powrotem na krzesło.

- Nie dam jej ani grosza - mówi cicho.

Zieliński demonstruje brak zainteresowania.

- To już, proszę pani, sprawa cywilna.

Jedna warta drugiej.

W końcowym jednak efekcie Petri swoje pięćdziesiąt tysięcy i tak będzie miała.

- Chciałabym otrzymać ten banknot.

-To jednak nie takie proste - mówi z wahaniem Zieliński.

- Dlaczego?

W czym znowu problem?

- Niezależnie od roli w dochodzeniu, banknot jest dokumentem prawa cywilnego.

-Bzdura.

Banknot to banknot.

- Testament, proszę pani.

Właśnie to słowo najłatwiej odcyfrować.

Nie brak w nim ani jednej literki.

Podpis, data, rozporządzenie majątkiem.

Nie chciałbym wkraczać w cudzą kompetencję, powinna pani zasięgnąć porady cywilisty, ale moim zdaniem dokument jest zupełnie formalny.

- Dobrze.

Dam jej te pięćdziesiąt tysięcy.

Niech.

-Wszyscy są pewni, że powie: "Niech się udławi".

Może miała zamiar, ale mówi: "Niech ma".

- Oddałabym Jej wszystko do ostatniego grosza, do ostatniej rzeczy, żeby znalazł się ktoś, kto mi by potrafił oddać.

-Twarz jej

229.

w tej chwili jest czymś, co nie żyje.

Zieliński szykuje się skoczyć na pomoc.

Gotowa rymnąć na podłogę.

Nie padaj jednak.

- Przepraszam - nie patrzy na nikogo - to było niepotrzebne.

Taka mała gierka - uśmiech jej wypada nader żałośnie.

Pakuje do torebki zdjęcia banknotu wykonane przez Instytut Ekspertyz, wychodzi.

- To nie była gierka.

- Zieliński patrzy w ślad za nią.

- Tu same inteligentne ludzie.

- Barcik próbuje użyć długopisu jako katapulty do pudełka zapalek, ale w długopisie coś trzaska i zaczynają ociekać gęste krople tuszu.

Ledwo zdążył wsadzić do kałamarza, żeby nie poplamzić całej płyty.

- Tyż, jak który widzi, potrafi czasem zrozumieć.

- Miłość, cholera - kiwa głową Barcik.

- Tak - Pirek dopiero po dłuższej chwili zabiera głos.

- To chyba jeszcze gorsze od zapalenia okostnej.

- Prosimy.

- Żaden się nie zdradził, że właśnie mówił o nim: "Na pewno lada chwila nadciągnie".

- Spóźnił się pan - Pirek szeleści pakowym papierem-eksperymentskończony.

Warto było popatrzeć, jak jaz tymi spodniami trupa i szelkami trupa do tej trupiejumywalni.

Roleński wchodzi głębiej.

Wieszakwrócił na swoje miejsce, sprężyna klamki również.

- Zdziałało?

Pirek wydyma usta.

- Pytanie.

Zresztą, kogo się sprawdzało?

NieboszczykaS.

A przecież on wszystko jednoosobowo.

Istworzył zagadkę, i rozwiązał ją.

- Gdyby nie Magda.

- przypomina Barcik.

- W porządku.

Nowięc: nieboszczyk S.

i żyjąca Magda.

A my raczej na uboczu.

Tylko na ten list z za grobu jak namannęniebieską.

- Rzeczywiście więcej w trybie spirytystycznym przy230

znaje matowo Zieliński.

- Co się wie, to od Steinera.

Samibezsukcesów.

- Szelki - oznajmia Pirek.

- Łatwobyło?

Owszem, łatwo.

Ale nasłatwizny nie cieszą.

Dłanas koniecznie zzagwozdką.

I to żeby pierwszy gatunek.

Steinerowi starczył odwa i pół słowa: "szelki, wieszak, szarp.

". No bo w jakisposób się przenosi spodnie z przyczepionymi szelkami?

- Hm.

- zastanawia się Roleński - chyba przez ramię?

- Tylko przez ramię.

Jeśli inaczej, to szelki wciąż włożą pod nogi.

To one stanowiły tu klucz generalny.

Ale nam się akurat zgubił.

Bywa.

- Czy treść listu z za grobu stanowi tajemnicę?

- Jasne.

Co u nas nie tajemnica?

Ale przecież jednocześnie list jest testamentem.

Testament nie może być tajemnicą.

W tej sprawie same supelki.

- Ma się parę tych fotosów dla wielbicieli - Zieliński podsuwa odbitkę.

Roleńskinachyla się nad nią.

- "Woda nie.

Zatyczka nie.

" O wodzie to się wiedziało.

Inaczej trudno by zrozumieć, dlaczego po prostu niespłukał trixi.

- Niektórzy zainteresowali się.

- Zieliński patrzy gdzieś ką.

- Sęk w tym, że nie wszyscy.

A zatyczkę Próchnik musiała potem wyciągnąć cęgami.

Też stwierdziło się expost.

Z sugestii denata.

- Jedna z hipotez biegłego lekarza - wtrąca Lalewicz - dopuszcza, że Steiner nie odzyskał przytomności.

Zieliński kwituje nijakim uśmiechem.

- Nie dałbym złamanego grosza, czy uderzenie wieszakiem w ogóle go zamoczyło.

- Z tego wynika, że eksperymentnie został przeprowadzony w tym

kierunku - domyśla się Roleński.

Pirek masuje palcami kark.

- Dziękuję, nie.

Ale jeżeli pan ochotę, proszęSię

231.

nie krępować.

Spodnie trupa i szelki trupa do dyspozycji.

Wieszak także.

- Autornie musi wszystkiego próbować na własnej skórze.

U mnie wypowiedź lekarza będzie brzmiała kategorycznie:
"Bezwzględnie został oszołomiony".

List na pięćsetce zostanie adaptowany.

d propos, skąd on ją tam wziął?

- Okazuje się, że miał zwyczaj noszenia pięćsetek luzem w kieszeni spodni.

Widocznie zapomniał wyjąć z poplamionych.

- Dobrze -kiwa głową Roleński.

-Ja, rzecz jasna, list fałszuję, żeby udziwnić.

- Morderstwo?

- mruży porozumiewawczo oko Pirek.

- Oczywiście.

Nie mogę sobie pozwolić na rozwiązanie bezkolizyjne.

- Kto zostanie mianowany mordercą?

-Kłopot z nadmiarem kandydatów.

Co najmniej cztery osoby nadają się bez zarzutu.

- Na poczesnym miejscu ceniony autor - podpowiada Pirek.

- Ale on ciężko musiał na to pracować.

- Bez pracy też by się nadawał.

Wystarczyło, żeby niewziął rachunku za taksówkę.

- Nawiasem mówiąc, dlaczego wziął?

- Uśmiejcie się.

Odwołali go z urlopu.

Wszedłem do kancelarii, akurat dzwonią.

Hrynowska po coś wyszła.

Przegapił termin i gwałt.

Mnie mieli najbliżej.

Powracając do kwalifikacji namordercę, obawiam się, że tak samo by się to przedstawiało w procesie poszlakowym.

Co dziwniejsze, nawet nasza Hrynowska nie wymagałaby większego przemeblowania.

- No, to już chyba przesada - protestuje Pirek.

- Proszę osądzić samemu, powiedzmy, ówczesny dozorca nie żyje.

Opowieść o siostrzenicy, samobójstwie i pogroźkach dociera do organów śledczych za pośrednictwem osoby trzeciej.

232

- Trzecie piętro i parter.

Dwie Hrynowskie.

- Informator słyszał tylko o jednej.

Nikt mu niewspomniał parterczy piętro.

- Sama Hrynowska wie.

-I co z tego?

Świadków bezpośrednich nie ma.

Drugiej Hrynowskiej niema.

Pierwsza żona Steinera nieżyje.

Steiner nie żyje.

Nasza Hrynowska wie tylko, że w tym samym domu mieszkała inna doktorowa Hrynowska.

Dalszej historii nie zna.

Siostrzenica nie zawsze oznacza nas córkę rodzonej siostry.

A udowodnić brak dalszego pokrewieństwa.

- macha ręką.

- Cały ciężar zagadnienia przenosi się na okoliczność, czy z podwórka można usłyszeć groźby wykrzykiwane przy otwartym oknie trzeciego piętra.

Zapewniam panów, że jak najbardziej.

- Hm.

- odchrząkuje Pirek.

-Racja.

Najtrudniej dowieść, że się nie jest wielbłądem.

- W rezultacie nawet fakt, który, logicznie rzecz biorąc, dowodzi, że wiedziała o pierwszej żonie Steinera, spada na szalę dowodów obciążających.

-Jaki fakt?

- zainteresował się Zieliński.

Barcik skrobie się w szczękę.

- Kwestia pustych minut pobytu Steinera w kancelarii?

-Otóż to.

Gdyby w jakikolwiek sposób była związana ze Steinerem, nie zaryzykowałaby tego rodzaju rozbieżności w zeznaniach.

Ba! Żart powiedzieć: kilkanaście minut, które mogły decydować o wszystkim.

- Mogła mieć powód.

- Pirek szuka czegoś na suficie.

- Miała.

Niechęć do ujawnienia tego, że wtedy zasłała, byłaby najzupełniej uzasadniona.

Ale przecież nie w sytuacji, gdy grozi podejrzeniem o morderstwo.

To jest inteligentna kobieta.

Zaraz, co to ja jeszcze chciałem?

-Wyjmuje z kieszeni nierozpieczętowaną paczkę silesii, przygląda się jej z roztargnieniem i chowa z powrotem.

- Aha.

Podobno była u was niedawno Steinerowa?

233.

Nie ma porozumiewawczych spojrzeń, choć bezpośrednio przed jego przyjściem mówili, że o to właśnie zapyta.

- Była- potwierdza Zieliński.

- Miała chęć jeszcze razdać nam próbkętemperamentu.

Ale my dziś coś nie amatorzy.

- Może - Roleński zagłąda do niszy - dałoby się uszczknąć co nieco tworzywa?

-Steiner.

- Zieliński gładzi się po kolanie.

-Steineri tylko Steiner.

Roleński nachyla się nad miską.

Może właśnie przetogłos jego brzmitak głucho.

- Tak.

A przecież on o innej.

owszystkim.

tylkoo niej nic.

Cóż.

- Milczał dłuższą chwilę, potem opowiedział najkrótszą bajkę o koguciku i poszedł.

- Dziadek za babkę- Zieliński zaciąga paski swej teczki- babka za rzepkę.

Nie wiedziesię im jakoś z tająchmiłością.

Barcik wstaje, tupie mocnoprawą nogą, jakbymuścierpła.

- Mocna rzecz.

Gdyby morderstwo popełniłaSteinerowa, nikt nie dowiedziałby się nigdy, że dowodyobciążające Roleńskiego nie są dowodami obciążającymiRoleńskiego.

- Miłość - Lalewicz obciąża marynarke - to się zgadzaze statystyką motywów.

I

NOTA EDYTORSKA

Prezentowany kryminał ukazał się dotychczas dwukrotnie - w odcinkach na łamach prasy: w "TrybunieRobotniczej" w numerach 199-251 w roku 1964 pod tytułem Śmierć przyszła w południe oraz w "Głosie Robotniczym" w numerach 260-309 w roku 1964 i ciąg dalszy w numerach 1-20 w roku 1965 pod tytułem To przyszło w południe.

Edycja niniejsza jest pierwszym wydaniem książkowym tejże powieści Tadeusza Kosteckiego.

Tekst książki został zaczerpnięty z "Głosu Robotniczego", czyli najnowszej dostępnej wersji.

Zachowano natomiast pierwotny

tytuł.

Dla wygody Czytelnika tekst został ponownie opracowany pod względem ortografii i interpunkcji, a także poprawiono w nim oczywiste błędy stylistyczne i rzeczowe.

Earl Derr Biggers Dom bez klucza

Kiedy Dań zostaje odnaleziony martwy, na jaw wychodzą mroczne tajemnice z jego przeszłości.

Kto rozwiąże zagadkę morderstwa?

Czy krewny zamordowanego John Quincy?

Czy jego współpraca z detektywem Charlie Chanem zaowocuje sukcesem?

Czy to możliwe, że życie Johna pod wpływem czarującego Wypoczynku Hawajskich zmienią się diametralnie?

Gorący klimat Hawajów.

Tajemnice z przeszłości.

Morderstwo.

Earl Derr Biggers Strażnik kluczy

Tym razem słynny detektyw staje przed najtrudniejszą zagadką w swojej karierze - morderstwa równie słynnej, co pięknej śpiewaczki, Ellen Landini.

Zbrodnię popełniono w domu pełnym ludzi, tuż pod nosem komisarza.

Podejrzani - czterech byłych mężów diwy, dwie zazdrosne kobiety, wierny sługa, młody kochanek.

Każde z nich miało motyw, by zabić śpiewaczkę, a żadne alibi nie jest przekonujące.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

Szlafrok barona Boysta

Stasiak postanawia zagrać nawłasnąrękę.

A sytuacja temu sprzyja.

Czyprzyjmie propozycję tajemniczegobarona Boysta?

Czy zostanie niemieckim szpiegiem?

I co wspólnegoz tą sprawą ma tytułowy szlafrok?

Czas płynie, a sprawy komplikują sięcoraz bardziej.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

Wernisaż

Inspektor Paweł Zwoliński próbujeozszyfrować zagadkętajemniczejśmierci swojego brata Roberta.

Niespodziewanie sprawa przybiera charakter międzynarodowy.

Nie chodzijuż tylko o zabójstwo malarza, alei o przemyt narkotyków na skalęświatową.

Do działań włączająsięfunkcjonariusze z kilkukrajów, a lenarkotykowa mafia pilnie strzeżeswych tajemnic i szybko likwidujenipotrzebnych świadków.

Czy Zwoliński przyczyni się do rozgromieniapotężnej siatki przestępczej?

Czydowie się,dlaczego zginął jego brat?

Tadeusz KostECKI

Cień napokładzie

Kostrzewa który wyrusza w rejs jako zwykły marynarz pokładowy na M/S "Jedność", będzie musiał wykazać się nadprzeciętnymi zdolnościami i niesłychaną czujnością, aby nie dopuścić do katastrofy, zwłaszcza że na pokład statku ma wsiąść słynny profesor Tomski, a gęsta mgła, która pojawia się nad morskimi odmętami, przesłania tytułowego cienia - wrogię agenta.

Kim jest ów tajemniczy cień?

Czy jest kimś z załogi?

Tadeusz KostECKI

Smuga grosy

Doktor Kostrzewa ma rozwikłać zagadkę anonimów z pogroźkami, które mogą być związane z tajemniczą sprawą sprzed 13 lat i szkatułą pełną biżuterii.

Daleka leśniczówka, gdzie dzieje się akcja, szybko zostaje odcięta od świata przez powódź, następuje seria dramatycznych wydarzeń, a zabójca jest jednym z domowników.

Paradoksalnie wszelkie dowody zdają się wskazywać na Kostrzewę.

Czy zdoła on oczyścić się z zarzutów?

Kim naprawdę jest autor listów?

I gdzie znajduje się skradziona biżuteria?

Tadeusz KostECKI Kaliber 6,35

Trzymający w napięciu do samego końca kryminał, którego treścią jest śledztwo prowadzone przez płk.

Penthama w sprawie podwójnego zabójstwa.

Szybka akcja, nagłe zwroty akcji.

nieoczekiwane zakończenie.

James Oliver Curwood

Odwaga kapitana Pluma

Debiutancka powieść Curwooda.

Jej akcja rozgrywa się w 1856 roku, a główny bohater trafia na Wyspę Bobrów, którą zamieszkują mormoni.

Pierwsza powieść przygodowa Curwooda opublikowana po raz pierwszy w 1905 r.

Edycję oparto na tłumaczeniu polskim z 1929 r.

-jedynym dotychczas polskim wydaniem tej książki.

liMNRf

Tadeusz Kosteki.

(8lgivii'i.

[\\aM,itr.](#)

-.

Tadeusz Kostekd(Krystyn T.

Wand)

Czerwony diabeł

Akcja rozgrywa się na Dzikim Zachodzie, a główny bohater jest przywódcą bandy, która dokonuje brawurowych napadów.

Wielokrotnie umyka okolicznym szeryfom.

Ale ten Dzik Zachód powoli staje się coraz mniej "dziki", a i sam Czerwony Diabeł w miarę rozwoju wydarzeń jakby łagodnieje.

Czy jednak ma szansę uniknąć szubienicy?

Co go skłoniło do tak dramatycznych wyborów?

Czy znajdzie się ktoś, kto wyciągnie rękę do bandyty?

Tadeusz Kosteki(Krystyn T.

Wand) Kanion Słonej Rzeki

Akcja powieści rozgrywa się w Stanach Zjednoczonych, gdzie przebywa Jacek Bandera aby odebrać spadek po zamordowanym stryju.

Aby osiągnąć swój cel Jacek musi wyjaśnić zbrodnię i doprowadzić do

ukarania winnych śmierci stryja.

T.

